MAŁGORZATA

STAROSTA

KOMU ZGINĄŁ TRUP?

MAŁGORZATA

STAROSTA

KOMU ZGINĄŁ TRUP?

Spis treści

1 JESTEŚ GENIALNY, DOKTORKU!
2 ROZRYWKA, RADOŚĆ, DOBRA ZABAWA I... LINDA
3 TO DZIECINNIE PROSTE, JEREMI. NAZYWA SIĘ SZANTAŻ
4 ZAPEWNE ZNA PANI PANA BARTMANA?
5 NIECH ŻYJE PRZEDWCZESNA ŚMIERĆ!
6 PRZEPRASZAM WCALE NIEUPRZEJMIE, KOMU Z PAŃSTWA ZGINĄŁ TRUP?!
7 JA ZA EKS DENATA NIE PÓJDĘ SIEDZIEĆ!
8 TO JEST WIADOMOŚĆ, DŻER
9 WIEDZIAŁEM, ŻE TEN CHŁOPAK OZNACZA KŁOPOTY!
10 JA WŁAŚCIWIE TO CHYBA WIEM, DLACZEGO EKS DENAT ZOSTAWIŁ MI TEN SAMOCHÓD
11 ZAWSZE ZNAJDZIE SIĘ JAKIEŚ ROZWIĄZANIE. CZASEM ŁADNIEJSZE, CZASEM BRZYDSZE, WAŻNE, ŻEBY BYŁO SKUTECZNE
12 WIDZIAŁEŚ, DŻER, JAKI NAM SIĘ ALAN TURING TRAFIŁ?
13 Z ZIEMI, KWIATKÓW I PYŁKÓW IM WYSZŁO?
14 SPRAWA ŚMIERCI I ŚMIERCI!
15 PAN WYBACZY, MUSZĘ PANA TROCHĘ POMACAĆ
16 KLĘSKA URODZAJU BOGATYCH Z DOMU PRÓŻNIAKÓW
17 PRAWDOPODOBNIE NIGDY NIE POZNAMY PRAWDY
18 W TWOIM WIEKU TO NIEMAL GRZECH CIĘŻKI ŚMIERTELNY
19 DOBRZE SIĘ SKŁADA, BO PRZYJADĄ GOŚCIE
20 TO ONA, PANIE KOMISARZU!
EPILOG

OD AUTORKI

Copyright © Małgorzata Starosta, 2024
Wydanie I
Warszawa MMXXIV

1
JESTEŚ GENIALNY, DOKTORKU!

Jesień tego lata zaskakiwała nieustannie. Z naciskiem na nieustannie – jak zaczęła piątego lipca, tak w połowie sierpnia wciąż nie odpuszczała. Może jeden czy dwa dni pozwalały zostawić parasol w domu, ale poza tym – nędza.

Jeremi Organek w skupieniu wysłuchał niepokojących prognoz IMGW informujących o kolejnych odcinkach Odry, na których przekroczone zostały stany alarmowe, i z wdzięcznością pomyślał o wyprowadzce z Siechnic. Co prawda powtórki powodzi z dziewięćdziesiątego siódmego się nie spodziewał, ale kto ich tam wie… Tak jak ze śmiercią, tylko odwrotnie: niby człowiek wie, że umrze, ale zawsze zdaje się zaskoczony, kiedy ten moment nadchodzi. On więc wolał być zawsze przygotowany. Nigdy nie wkładał podartej bielizny ani spranych koszulek. Eddie z Iron Maiden musiał być wyraźny, żeby nie było wątpliwości, jaką muzykę będzie trzeba zagrać w ostatniej podróży Organka. Niby oczywiste, a jednak warto mieć pewność.

Wspomnienie o lipcu dziewięćdziesiątego siódmego roku niespodziewanie przeniosło jego myśli do osoby, która – jak sama wielokrotnie mówiła – urodziła się chwilę po tym, jak miasto wytępiło grasujące po nim stada szczurów. Linda Miller. Pyskata, zbyt dużo mówiąca, impulsywna, nieznośna i zaskakująco interesująca historyczka, dla której problemy stanowiły jedynie kolejne etapy wielkiej przygody, jaką jest życie. Mogłaby być jego córką, o ile kiedykolwiek dałby sobie prawo do posiadania dzieci, a mimo

to stanowili znakomity duet i dogadywali się jak mało kto. Już ten fakt dziwił Jeremiego niewymownie, nie wspominając o tym, że lubił przebywać w jej towarzystwie, zwłaszcza odkąd nauczył się wyłączać uwagę i nie słuchać trudnego do zatrzymania potoku słów.

Za kilka dni miała obchodzić urodziny, a Organek wciąż nie miał pomysłu, co mógłby jej z tej okazji sprezentować. Coś tam przebąkiwała, raz czy dwa, o mózgu seryjnego mordercy, który mogłaby zbadać, ale nie brał tego na poważnie. Jeśli jednak nic nie wymyśli, chyba będzie musiał rozejrzeć się za jakimś…

Dopił kawę, umył kubek i ledwo zdążył wytrzeć ręce, kiedy jego komórka zaczęła wygrywać *Can I Play with Madness*, który to utwór Linda sama przypisała do swojego numeru w jego telefonie.

– Hej, Dżer! – rozległ się jej głos, gdy tylko Organek odebrał. – Pamiętasz, że niedługo mam urodziny?

Mężczyzna stęknął i przewrócił oczami. Nie było szans zapomnieć o urodzinach Lindy Miller, nawet gdyby bardzo się chciało.

– Oczywiście, że pamiętam – odparł grzecznie. – Dzień dobry, Lindo.

– A dobry, dobry, nawet bardzo – zaszczebiotała dziewczyna. – Co robisz w sobotę za tydzień?

– W sobo…?

– To będzie dokładnie dwudziesty szósty – weszła mu w słowo, doskonale wiedząc, że Jeremi posługiwał się konkretnymi datami.

– Ach tak, dwudziestego szóstego wyjeżdżam na wystawę.

– O! – Tym razem w głosie panny Miller wyraźnie zabrzmiały zaskoczenie i zawód.

– Dlaczego pytasz?

– Chciałam cię zaprosić na imprezę, ale skoro wyjeżdżasz, to trudno…

– Bardzo mi przykro, czekałem na nią prawie cztery lata. Pandemia, choroba, znikające zwłoki, sama rozumiesz…

– Jasne, że rozumiem. Trochę mi smutno, ale rozumiem. Czekaj! – uniosła się nagle, jakby doznała boskiego oświecenia. – Czy ty mówisz o tej wystawie?!

Organek nie bardzo wiedział, czym jest ta wystawa, ale jego intuicja zaczęła mruczeć.

– To… możliwe. O ile masz na myśli wystawę samochodów kolekcjonerskich.

– O norko w norze, no oczywiście! Że też wcześniej na to nie wpadłam, przecież ty jesteś samochodowym świrem! Jadę z tobą!

– C… co? – zająknął się, zaskoczony. – J… jak to: jedziesz? A impreza?

– Chromolić imprezę, chcę zobaczyć te wszystkie cacuszka, pomiziać karoserię, wymacać tapicerkę…

– Obawiam się, że w rzeczywistości wygląda to nieco mniej romantycznie, Lindo – próbował ratować sytuację Jeremi. – Mnóstwo nudnych facetów rozmawiających o nudnych sprawach, takich jak różnice w budowie silników, wzmocnienia karoserii i tym podobne przyjemności. Zanudzisz się tam na… – Ledwo się powstrzymał przed użyciem słowa, którego nie zamierzał używać w kontekście wyczekiwanego wydarzenia. – Na amen.

– Bzdura! Czy dziecko może się nudzić w fabryce Willy'ego Wonki? To będzie najwspanialszy prezent urodzinowy w historii świata! Jesteś genialny!

Organek zamrugał kilka razy; z wrażenia zaschło mu w gardle, więc zamiast artykułowanej odpowiedzi wycharczał coś, co bynajmniej nie było zrozumiałe dla nikogo, ale Linda już go nie słuchała. Pocmokała chwilę do słuchawki w ramach wyrażania wdzięczności i zakończyła rozmowę.

– Aha… Jesteś genialny, Jeremi – szepnął do siebie, wpatrując się w ekran telefonu. – Przynajmniej mózgu nie trzeba szukać. Dobre i to.

Czas to interesujące zjawisko – potrafi doskonale grać człowiekowi na nerwach i w zależności od humoru ciągnąć się jak guma balonowa albo przeciekać przez palce. Jeremi rzadko się nad tym zastanawiał, gdyż uważał czas za pewną stałą fizyczną, ale ostatnie dni sprawiły, że musiał przewartościować swój światopogląd.

Pochłonięty obowiązkami, w ostatniej chwili zorientował się, że urodziny Lindy nastąpiły dokładnie wtedy, kiedy powinny nastąpić, i co do

tego Organek większych zastrzeżeń nie miał. Zdumiało go jednak, jak szybko ów dzień nadszedł i jak bardzo on nie był nań przygotowany.

Skończywszy wypełniać dokumenty dotyczące ostatniej autopsji, jakiej poddał nieszczęśnika, który zbyt dosłownie potraktował zasadę pierwszeństwa pieszego na pasach, dokonał stosownych ablucji, przebrał się w strój cywilny i z miną zbitego psa opuścił skrzydło szpitala stanowiące miejsce jego pracy. Nie obrał żadnego konkretnego kierunku, zatem ze zdziwieniem zorientował się, że nogi poniosły go nie gdzie indziej, tylko do kantyny, królestwa pani Helenki.

– Oho, wiedziałam! – parsknęła na jego widok przysadzista kobieta, układając obfity bufet na bufecie.

– Przepraszam? – Organek zamrugał nieprzytomnie. – Co takiego pani wiedziała?

– Że przysłowie „z kim przestajesz, takim się stajesz" jest prawdziwe. Siedzi doktor z tymi zmarlakami, sztywną atmosferą się otacza, to i w końcu życie z doktora uciekło. Lico blade, oczy rozbiegane jak u kotki z chcicą… A taki był piękny mężczyzna! No szkoda chłopa!

– Naprawdę jest aż tak źle? – Jeremi opadł na krzesło i podparł brodę na dłoniach. – Ech, pani Helenko, chyba się starzeję…

– Dziwne by było, gdyby doktor młodniał. – Kobieta otaksowała go krytycznym spojrzeniem, oderwała obfity bufet od bufetu i sięgnęła pod ladę. Po chwili na talerzyku, który pojawił się nie wiadomo skąd, leżały trzy rogaliki z nadzieniem różanym, a ekspres mielił kawę, wydając przy tym dźwięki niczym wiertarka udarowa. – No, niech doktor się pożywi, bo na głodnego to o problemach rozmawiać nie ma co.

Organek podniósł wzrok i w okamgnieniu jego przystojna twarz George'a Clooneya nabrała zdrowych barw. Skoczył jednym susem do lady, pochwycił talerzyk i już po chwili chrupał rogalika, pojękując z rozkoszy na podniebieniu.

– Matko, jakie pyszności – bąknął z pełnymi ustami, kiedy pani Helena postawiła przed nim filiżankę z aromatycznym espresso i nie pytając o zgodę, usiadła naprzeciwko lekarza.

– Niech się tylko doktor nie udławi, bo jesteśmy w szpitalu i tu wszyscy zajęci pacjentami, a ja umiem tylko ciasta piec – ostrzegła lojalnie. – No, to w czym kłopot, doktorze?

– A, nic takiego… – Jeremi machnął ręką, rozsypując wokół okruszki ciasta.

– Kobieta?

– Poniekąd…

– Nie chce pana?

– Boże, mam nadzieję! – Wciągnął powietrze tak gwałtownie, że faktycznie zaczął się dławić.

Pani Helenka klepnęła go dwa razy w plecy, ratując mu życie. Przynajmniej w teorii.

– Pan jej nie chce? – kontynuowała śledztwo.

– Absolutnie! – zapewnił, ocierając łzy z oczu. – To znaczy: chcę, ale jako przyjaciółkę, rozumie pani…

– Mhm, rozumiem. – Skrzyżowała ręce na obfitym biuście, odchyliła się lekko i spojrzała na Organka spod zmrużonych powiek. – Ja pana miałam za porządnego człowieka, doktorze. Zawsze wszystkim mówiłam, że pan to taki dżentelmen, że każda kobieta marzy, żeby spotkać w swoim życiu takiego mężczyznę. A tymczasem z pana zwykła świnia.

Na całe szczęście kantyna była pusta. Godziny odwiedzin dawno minęły, pacjenci – ci żywi – szykowali się do kolacji, a lekarze do domów. Nikt więc, poza panią Helenką, nie był świadkiem tego, jak Jeremi Organek spąsowiał, zatchnął się, otworzył usta jak karp i próbował złapać oddech.

– C… co pani mówi? – wydusił z siebie jakimś cudem po kilku nieudanych próbach. – Ś… świnia?

– Tak – potwierdziła bez mrugnięcia okiem. – A właściwie nie. Nie świnia. Wieprz. Świnie są mądre i dobre, a pan zachowuje się jak ordynarny wieprz.

– Ale dlaczego pani tak mówi?!

Pani Helenka nachyliła się nad stołem, zmarszczyła czoło i wycelowała serdelkowatym palcem prosto w pierś medyka.

– Bo tylko wieprz wykorzystuje kobietę, a potem odziera ją z kobiecości. Przyjaźń! Widzieliście go! A jak się panu znowu zachce, to co? Przyjaźń z benefitami?!

Gdyby pani bufetowa wyciągnęła spod lady kij bejsbolowy i zaczęła nim walić Organka po głowie, nie czułby się bardziej ogłuszony niż w tej

chwili. Niewiele brakowało, a zacząłby się szczypać po rękach, tak bardzo był przekonany, że śni.

– Ależ ja nie chcę od Lindy żadnych benefitów – wyszeptał, łapiąc się za głowę. – Ja nie mam pojęcia, co jej kupić na urodziny, a przecież coś muszę… Chciałbym jej pokazać, że jest dla mnie ważna, ale nigdy nie byłem dobry w tych sprawach. Właściwie to chyba nigdy nie kupowałem prezentu żadnej kobiecie.

Tym razem to panią Helenkę odrobinę przytkało, jednak jak każda rozsądna kobieta natychmiast się otrząsnęła i w mig zrozumiała, w czym rzecz.

– Linda to ta ruda? – upewniła się. – Ta od afery zwłokowej?

Organek pokiwał głową, choć na hasło „afera zwłokowa" poczuł niesmak.

– To trzeba było od razu mówić, niemądry doktorze – obsztorcowała go bufetowa. – Kupi jej pan piękne wydanie *Wichrowych Wzgórz*, bukiet piwonii i będzie pan miał przyjaciółkę na całe życie.

– *Wichrowych Wzgórz*? – zdumiał się patolog. Jakoś piwonie go nie zastanowiły… – To może lepiej jakiś krwawy kryminał…?

– A co to za brednie!? Widać, że doktor o kobietach wie tyle, co mój ślubny wiedział o przyzwoitości. Mówię panu, że nie ma na tym świecie kobiety, która skrycie nie marzyłaby o wielkiej, dzikiej i namiętnej miłości.

Jeremi Organek rzeczywiście niewiele wiedział o kobietach, choć chwilami odnosił wrażenie, że ta niewiedza jest raczej błogosławieństwem. Stojąc jednak przed alternatywą słoja z mózgiem w formalinie, zakup książki uznał za rozwiązanie rozsądniejsze.

Podziękował bufetowej, która zdawała się nie pamiętać, że całkiem niedawno nazwała go wieprzem, po czym pognał do księgarni, dokonał stosownego zakupu i pojechał do Lindy, zahaczając po drodze o plac Solny, gdzie – o dziwo! – znalazł pięknie pachnące piwonie.

Na progu domu zawahał się jeszcze, bo ten Heathcliff nie dawał mu spokoju, jednak na odwrót było już za późno. Ruda głowa Lindy pojawiła się w oknie przy drzwiach i po chwili przytwierdzona do głowy reszta ciała rzuciła się na Jeremiego z impetem, omal go nie przewracając.

– Jejku, jejku, moje ukochane piwonie! – zachwycała się ogromnym bukietem w odcieniach różu i fuksji. Na widok książki zaczęła piszczeć, jakby

znalazła w papierowej torebce co najmniej pierścionek z brylantem wielkości strusiego jaja. – *Wichrowe Wzgórza*! O, jakie piękne wydanie! Skąd wiedziałeś?!

– Eeee… – Jeremi nie potrafił kłamać; nawet gdyby bardzo chciał, łgarstwo nie przeszłoby mu przez gardło. – Miałem… eee… doradcę.

– Koniecznie muszę ją uściskać, gdy tylko będę miała okazję – szczebiotała uradowana dziewczyna. – Poza tym dawno nie jadłam tych pysznych rogalików… Uuuups. – Zakryła usta dłonią i zachichotała. – No nie patrz na mnie tym wzrokiem głodnego chomika. Wiedziałam, że sam sobie nie poradzisz, mój kochany socjopato.

Powinien był to przewidzieć. Podstępna żmija. Ale jaka zaradna!

– Uważaj na walizkę – ostrzegła go, kiedy szli ciemnym korytarzem, ale było za późno. Jeremi wlazł prosto w wielki sakwojaż ustawiony na środku wąskiego przedpokoju i dotkliwie uderzył w niego piszczelem.

– Chryste, co to takiego?! – wysyczał patolog, rozmasowując nogę.

Linda zapaliła światło, dzięki czemu pękata waliza wielkości solidnego kredensu ukazała się w pełni.

– To? Walizka – odparła Linda bez mrugnięcia okiem.

– Wyjeżdżasz dokądś? – zdumiał się szczerze, bo przecież za moment mieli jechać do Topacza.

– A ty co, cierpisz na demencję? – oburzyła się dziewczyna. – Przecież pojutrze jedziemy na wystawę!

Jeremi jeszcze raz spojrzał na walizę i oszacował, że zmieściłby do niej zawartość całej swojej szafy i wszystkie komplety pościeli. Wraz z ręcznikami. I szlafrokiem.

– Lindo – zaczął delikatnie – to jest wyjazd na dwa dni.

– Dlatego biorę tylko jedną walizkę.

– Trumny bywają mniejsze! – Organek nie wytrzymał.

– No wiesz co… – Rudowłosa solenizantka spojrzała na przyjaciela z odrazą. – Nie podejrzewałabym cię o takie żarty. Tak się składa, że na tej wystawie może pojawić się mój eks, a mnie bardzo zależy na tym, żeby na mój widok dostał poplątania zwojów mózgowych, udaru, pląsawicy wnętrzności i ślinotoku jak buldog patrzący na karkówkę.

Mina Jeremiego dobitnie świadczyła o tym, że związek ślinotoku z wielką walizką zupełnie mu się nie kleił.

– O matko, ale ty jesteś niedomyślny! – Linda przewróciła oczami. – No przecież nie wiem, czy on się spasł jak świnia, czy może wyszczuplał. Czy zbrzydł, czy wyprzystojniał, wyłysiał, czy wręcz przeciwnie. Muszę być gotowa na każdą okoliczność, więc zabieram wszystko: sukienki koktajlowe, suknię balową, bikini…

– Bikini?! – Organek wyglądał na coraz bardziej oszołomionego.

– No bikini, a co? Myślisz, że może być za chłodno? Zapowiadali drastyczną zmianę pogody, mają być upały. – Zmarszczyła czoło i wyglądała na niezadowoloną.

– Miałem na myśli raczej to, że bikini nie jest najlepszym strojem do paradowania pośród samochodów i tłumu facetów – odparł łagodnie Organek. – To nie są wyścigi rodem z *Szybkich i wściekłych*, tylko dość ekskluzywne wydarzenie. Mężczyźni w garniturach, kobiety ze snobistycznymi chustkami na szyjach…

– Masz rację, wezmę pareo. Na wszelki wypadek! Widzisz? – Złapała twarz Jeremiego w dłonie i nachyliła się do niego, niepomna tego, że wielka waliza boleśnie wbija się w łydki patologa. – Ty naprawdę jesteś genialny, doktorku.

2

ROZRYWKA, RADOŚĆ, DOBRA ZABAWA I... LINDA

Jak gdyby specjalnie dla Lindy i jej bikini pogoda diametralnie się odmieniła i weekend zapowiadał się upalnie. Afrykański żar lał się z nieba ku ogromnemu niezadowoleniu Organka, który swoją pracę lubił także z powodu temperatury panującej w prosektorium. Takie plus pięć stopni było dla niego optimum.

Jeremi siedział przy stole kuchennym i mieszał świeżo zaparzoną kawę łyżeczką w łowickie wzory. Robił to bezmyślnie i nieświadomie, ponieważ całą jego uwagę pochłaniała lektura najnowszego numeru magazynu „Classicauto". Skoncentrowany na artykule poświęconym mercedesowi klasy G, nie usłyszał wibrowania telefonu, oznajmiającego nadejście wiadomości. Dopiero po doczytaniu do końca zerknął na ekran.

– A kogóż to niesie o tej nieludzkiej porze?

Odpowiedź mogła być tylko jedna.

Dzień dobry, Słoneczko, niech Ci żywi nie zepsują zabawy, a martwi nie pchają się do światopoglądu. Szkoda, że nie mogę wybrać się z Tobą, ale ktoś musi dotrzymywać towarzystwa tym mniej rozrywkowym. Pozdrów Lindę i Kazika!

Minęło niemal pół roku, odkąd Organek wrócił do pracy, ale wciąż nie potrafił się przyzwyczaić do nowego szefa. Prometeusz Płomyczek. To

bynajmniej żaden dowcip, jak początkowo sądził, gdy pani Helenka przekazała mu radosną nowinę, kiedy w końcu pozwolono mu przerwać urlop zdrowotny. Myślał, że bufetowa żartuje, kpi z niego, znając Organkowy brak poczucia humoru i niezdolność do wyczuwania ironii, że o sarkazmie nie ma nawet co mówić. Najwyraźniej jednak rodzice Płomyczka poczucie humoru mieli wyjątkowe, a w dodatku los postanowił podrasować ich żart i obdarzył przyszłego toksykologa, już i tak hojnie obdarowanego imieniem, wzrostem odpowiadającym niedorosłemu Indonezyjczykowi. Gdyby nie atletyczna sylwetka, mógłby ubierać się w sklepach z odzieżą dla dzieci.

Jednak to nie oryginalne personalia ani też sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu nowego kierownika Zakładu Medycyny Sądowej stanowiły o jego wyjątkowości. Pełni tego nietuzinkowego obrazu nadawała bowiem tak ekstrawertyczna osobowość, że postać Prometeusza stała się legendą w zaledwie pięć minut po jego pojawieniu się w szpitalu. A do tego, nad czym Jeremi nieustannie ubolewał, profesor Płomyczek należał do kategorii najgorszej z możliwych: pomimo nieuleczalnego gadulstwa, nadużywania żartów, śmiechu tak głośnego, że jedynie lokatorzy chłodni go nie słyszeli, i roztaczania wokół siebie aury człowieka szczęśliwego aż do rozpęku wprost nie dawało się go nie lubić.

Jeremi zmielił w ustach niezbyt uprzejmą odpowiedź, jaka cisnęła mu się na język, upił dwa solidne łyki gorzkiej kawy i dopiero wtedy odpisał:

Pozdrowię, dzięki.

Odetchnął głęboko, jakby właśnie wykonał niewiarygodnie wyczerpującą pracę umysłową, odłożył telefon i wrócił do lektury magazynu. Przez dwa najbliższe dni nie miał zamiaru myśleć o zwłokach, szpitalach, lekarzach ani niczym, co nie byłoby cackiem na czterech kółkach. Mowy nie ma! Jubileuszowa edycja wystawy MotoClassic odbywająca się na malowniczych terenach wokół zamku Topacz w Ślęży miała być nagrodą za dwa lata pandemicznej przerwy, dwa lata horroru, wielką bliznę na głowie i odkrycie morderczego procederu w Mokrzeszowie. Tak postanowił i tak będzie: rozrywka, radość, dobra zabawa i… Linda.

Ten ostatni element stanowił szczyptę dziegciu w beczce miodu, a to ze względu na swoją nieprzewidywalność. Nie było na tym świecie człowieka – wliczając w to samą zainteresowaną – który mógłby choćby w najmniejszym stopniu przewidzieć, co strzeli do głowy Lindzie Miller. Istniało co prawda

spore prawdopodobieństwo, że kilkaset odpicowanych klasyków motoryzacji zajmie ją na tyle, żeby nie zrobiła żadnego głupstwa, jednak nigdy nie można było mieć stu procent pewności.

– Do miliona piorunów kulistych! – Jeremi odłożył gazetę, której i tak nie czytał, bo myśli wciąż dokądś mu zbaczały. – Owszem, nie wierzę, ale dziś robię bezprecedensowy wyjątek. Bogowie, magowie, moce nadprzyrodzone – zwrócił się do sufitu. – Obiecuję, że nigdy więcej nie pomyślę źle o człowieku, który mówi „motor" zamiast „motocykl", ale miejcie pieczę nad Lindą przez te dwa dni. Pilnujcie jej, niech niczego głupiego nie zrobi, najlepiej niech będzie tak oszołomiona, że słowem się nie odezwie.

Być może gdyby bogowie, magowie albo inne moce nadprzyrodzone nie byli w tej chwili zajęci spacerowaniem alejkami w ogrodach zamku Topacz, ktoś wysłuchałby jego prośby. Niestety stało się inaczej, a Linda Miller miała się szybko przekonać, że w życiu niczego nie ma za darmo, a im droższy prezent, tym wyższa zań zapłata.

– Gotowy? – Linda wparowała do mieszkania Jeremiego, jak zwykle zresztą, więc gospodarz zdążył się już przyzwyczaić.

– Prawie.

– Kawę masz?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła prosto do kuchni, gdzie obsłużyła się kawą z ekspresu przelewowego i usiadła przy stole.

– Lindo…? – Organek walczył ze sobą, żeby nie zabrzmieć zbyt obcesowo.

– Hm?

– Gdzie masz…? Co zrobiłaś z…?

– A co ty się tak jąkasz? – Linda spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. – Golnąłeś sobie coś? Tak skoro świt?

– Nie! Skąd! – Jeremi wyglądał na przerażonego absurdalnością zarówno samego pomysłu, jak i podejrzenia, że mógł ów pomysł wdrożyć

w życie.

– Szkoda… – Dziewczyna westchnęła głośno. – Miałam nadzieję, że dasz mi poprowadzić Kazika.

Niedorzeczność tego pomysłu sprawiła, że Organkowi zrobiło się słabo. To już chyba szybciej ubzdryngoliłby się zaraz po przebudzeniu, aniżeli pozwolił komukolwiek prowadzić swój samochód. A już na pewno nie Lindzie, która przepisy ruchu drogowego traktowała raczej jak fakultatywne zalecenia Ministerstwa Transportu.

– Wiesz, Lindo… Nie obraź się, ale bardzo wątpię, abym kiedykolwiek pozwolił ci poprowadzić mój samochód, ponieważ nikomu innemu też nie zamierzam na to pozwolić. Chyba że…

– Tak, wiem, po twoim trupie. – Linda machnęła ręką. – Jasne, że się nie obrażam, przecież cię znam jak zły szeląg. Ale zawsze warto próbować, nie? – Mrugnęła filuternie i upiła łyk kawy. – Walizkę zostawiłam na dole, tak przy okazji. Waży prawie czterdzieści kilo i nie wniosłabym jej po schodach.

Jeremi jęknął w duchu, choć może jednak coś przebiło się do strun głosowych. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że dziewczyna się opamięta i zrezygnuje z tego klabzdrona mogącego pomieścić zawartość kawalerki. Niestety, jak zwykle, gdy chodziło o pannę Miller, nadzieja, że zachowa się choć odrobinę bardziej… standardowo, okazała się płonna.

– Czterdzieści? – zapytał niemal obcym głosem. – To taka przenośnia?

– No może trochę. – Linda wzruszyła ramionami. – Ale kto by się tam czepiał o dwa kilo w tę czy we w tę. Wiesz, teraz robią torebki z takimi fikuśnymi łańcuchami i sprzączkami jak z czasów procesów w Salem. Ty wiesz, ile one ważą?! Mam podejrzenie graniczące z pewnością, że to ukryta kampania na rzecz promowania samoobrony kobiet. Zamachniesz się tym łańcuchem i po gościu! Ewentualnie po jego zstępnych, jeśli będziesz nisko celować. A ja popieram każdą aktywność, która prowadzi do zwiększenia bezpieczeństwa kobiet, więc…

– Więc zapakowałaś do walizki torebki ważące tyle co dorodny cielak. Rozumiem…

– Ty to naprawdę jesteś dinozaur, w dodatku z tych głupszych. – Rudowłosa zmierzyła Organka wzrokiem wyrażającym jedynie czystą pogardę. – Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak wiele różnych kreacji potrzebuje

kobieta, żeby móc wybrać spośród nich akurat tę jedną, w której w danej chwili będzie wyglądała i czuła się jak milion funtów szterlingów? Ile?!

– Nie… mam pojęcia…

– Bo nikt go nie ma, geniuszu!!! – wykrzyknęła z taką furią, że kubki podskoczyły na stole. – Ale im więcej możliwości, tym większe prawdopodobieństwo zwycięstwa. Teraz już rozumiesz?

– Taaa… Jasne. Rozumiem – mruknął, przewracając oczami. – I przepraszam za swoją niedomyślność.

Ni w ząb nie rozumiał, a szczególnie tego, w jakim celu i z jakiego powodu ktokolwiek chciałby wyglądać jak milion funtów szterlingów w trakcie zlotu fanów zabytkowej motoryzacji, doszedł jednak do wniosku, że dla własnego bezpieczeństwa, a przede wszystkim spokoju, powinien przytaknąć. I najlepiej przytakiwać przez cały weekend, w końcu spokój to jest luksus nie do przecenienia.

– Wypiłam. Jedźmy – zadecydowała Linda, odstawiając kubek nieco nazbyt dynamicznie. – I naprawdę mam nadzieję, że mój eks ma parchy, kaprawe oko, ciążę spożywczą i łyse placki.

Temat byłego Lindy, którego Organek już zdążył wyobrazić sobie jako Quasimoda skrzyżowanego z jakimś bagiennym potworem z licznymi mackami, cierpiącym na łuszczycę, w ostatnich dniach pojawiał się coraz częściej. Z jednej strony kindersztuba nie pozwalała mu dopytywać o tak intymne przecież kwestie jak relacje damsko-męskie, z drugiej zaś miał niejasne wrażenie, że właściwie dziewczynie zupełnie by to nie przeszkadzało. Walka w jego duszy toczyła się zawzięcie, aż w końcu szalę przechyliła zwykła ludzka ciekawość.

– Ekhm, Lindo… – Wyprostował się jak struna, jakby przygotowywał się do oratorskiego wystąpienia. – Wiesz, że w tych sprawach jestem trochę… niedzisiejszy, ale szalenie mnie intryguje, dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby zrobić wrażenie na tym twoim eks. Niewiele o nim mówiłaś, ale domyślam się, że to musi być raczej nieprzyjemny typ.

– Nieprzyjemny? – Linda wyglądała na szczerze zaskoczoną. – Czy ja wiem… jeśli chodzi o jego oględność, to nawet bardzo przyjemny. Znaczy taki był – zastrzegła pośpiesznie. – I właśnie dlatego mam nadzieję, że już nie jest, żeby przypadkiem znowu mnie nie zaczarował.

– Ale ty, zdaje się, jego oczarować bardzo byś chciała?

– No raczej! – prychnęła, przewracając oczami. – Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby to jego głupie serce nie piknęło mu na mój widok, chyba że oślepł od czasu naszego rozstania.

– Czyli chciałabyś, żeby znów się w tobie zakochał?

– Wypluj te słowa, Jeremiaszu!!! – ryknęła z zadziwiającą wściekłością. – Na życie mojej mamusi przysięgam, że nigdy, przenigdy już nie zwiążę się z tym człowiekiem, który nie miał do mnie za grosz szacunku. Co za absurdalny pomysł…

– Nic z tego nie rozumiem… – Jeremi złapał się za głowę i wpatrywał w rozdrażnioną dziewczynę. – To po jakie licho chcesz się dla niego stroić?

– Bo nic tak nie boli jak szczęście byłej i nic tak nie cieszy jak utyty, zapuszczony i smutny były – odparła z powagą. – Dlatego ja zamierzam być piękna i szczęśliwa, żeby mu te jego czarujące gały wyszły z orbit. Możemy już jechać?

Im dłużej Jeremi Organek znał Lindę Miller, tym bardziej przekonywał się do tego, że różnica płci jest nie do pokonania. Zrozumienie pokrętnej logiki dziewczyny chwilami graniczyło z cudem i zazwyczaj odpuszczał sobie po kilku nieudanych próbach. Co prawda skłamałby, gdyby powiedział, że ta znajomość nie poszerzała jego horyzontów, ale nie był ani trochę bliżej zrozumienia toku myślenia kobiet. Tym razem także czuł się skonfundowany, wzruszył więc ramionami, odsuwając problem „eksa” do lamusa pamięci.

– Mam szczerą nadzieję, że twoje przygotowania jednak okażą się zbędne – mruknął, zamykając drzwi mieszkania.

– Wiesz, co się mówi o nadziei – odpowiedziała mu, zbiegając po schodach. – Ale nie martw się, Dżer, mam przeczucie, że to będzie szałowy weekend!

3

TO DZIECINNIE PROSTE, JEREMI. NAZYWA SIĘ SZANTAŻ

Już od trzech minut Jeremi Organek przyglądał się dziwnemu obrazkowi, który napawał go rosnącym geometrycznie niepokojem o dalszą część weekendu. Zaczynał wątpić w słuszność decyzji o zabraniu Lindy ze sobą. Z drugiej jednak strony – jak słusznie skonkludował – ona i tak by się tam wybrała, więc właściwie nie miał wyboru.

Rudowłosa Linda Miller rozpłaszczyła się na masce mercedesa 280 SL w kolorze tunis beige i gładziła błyszczącą karoserię, czule przemawiając do wycieraczek. Niektóre słowa nie docierały do uszu Jeremiego wyraźnie, ale zrozumiał „cudeńko", „cacuszko", „skarbeniek" i tym podobne czułe zwroty, ponad wszelką wątpliwość kierowane do samochodu, nie do jego właściciela.

– Lindo? – W końcu zdecydował się przerwać te miłosne uściski. – Musimy jechać, bo niedługo zrobi się okropnie gorąco.

– Daj mi jeszcze minutkę. No, może dwie, w porywach do pięciu.

Organek westchnął i przewrócił oczami. Wolał nie ryzykować, że będzie zmuszony jechać z ozdobą na masce samochodu.

– Dobrze, pójdę po walizkę. Tylko nie ośliń Kazika, bo nie będzie miał szans w konkursie.

Linda sapnęła z oburzeniem, ale przestała całować lakier. Przemówiła na koniec niemal niesłyszalnym szeptem, po czym zsunęła się z maski. Obeszła samochód dookoła, głaszcząc każdy milimetr wypielęgnowanej karoserii. Dach był rozłożony, ale nie odważyła się sama tego zmienić, w obawie, że Organek jednak może mieć swoje granice.

Po kilku chwilach w garażu rozległo się głośne stękanie, po czym na betonowej posadzce zaszurały kółka walizy. Jeremi wyglądał, jakby właśnie wykąpał się w fontannie.

– Następnym… razem… – dyszał ciężko, szamocząc się z potworem – wyślij swoje… cholera jasna! – Kółko się zablokowało i walizka stanęła jak wryta. Organek pociągnął mocniej i w końcu ruszyła. – Następnym razem skorzystaj z paczkomatu.

– Przecież Kazik ma wielki bagażnik!

– A twój sakwojaż ledwo się w nim zmieści – prychnął Jeremi. – Dwieście sześćdziesiąt litrów, a ja będę musiał wieźć torbę w kabinie…

– No już, już, proszę przestać być gburkiem. Lepiej otwórz dach, chcę zobaczyć to dzieło sztuki w pełnej krasie.

Załadowanie sakwojażu do pojemnego bagażnika stanowiło nie lada wyzwanie, na szczęście Linda Miller nie uważała się za księżniczkę i pomogła przyjacielowi nie zginąć pod ciężarem poliwęglanowego mordercy. W ramach nagrody Jeremi pozwolił jej dokonać otwarcia dachu, na co ruda historyczka zareagowała histeryczną radością.

W końcu, który według Organka nastąpił jakieś trzy lata później, wyruszyli.

– Wsi spokojna, wsi wesoła – nuciła Linda, trzymając dłonią chustkę, która uparcie ześlizgiwała się z czubka jej głowy. – I zapewne trochę śmierdząca, ale co zrobisz…

– Nie jest najgorzej – odparł Jeremi.

– No pewnie, nie najgorzej… Ty w ogóle nie powinieneś się na ten temat wypowiadać, bo pracujesz z padliną. W perfumerii nie miałbyś czego szukać.

– Ty raczej też – odgryzł się Organek. – Mieć przytłumiony zmysł to i tak lepiej niż nie mieć go wcale.

– Racja – przyznała Linda. – Daleko jeszcze?

Mijali Zabrodzie, co oznaczało, że zostało im jeszcze kilkanaście kilometrów. Słońce świeciło z taką intensywnością, jakby postawiło sobie za cel usmażenie ludzi na skwarki. Na szczęście złożony dach kabrioletu pozwalał nieco się ochłodzić, a przy okazji można było zrobić na drodze show. Wyprzedzające ich auta zwalniały, żeby chwilę dłużej nacieszyć się widokiem doskonale zachowanego mercedesa. Linda czuła się jak w niebie, a w dodatku – w odróżnieniu od Jeremiego – pycha ją wprost rozsadzała.

– No i co się gapisz, dziadku?! Było sobie sprawić takiego mesia, a nie to potworne beemwu! – krzyczała do kierowcy mijającego ich właśnie potężnego SUV-a. – My mamy silnik dwa osiem, a nie byle jakieś tam…

– Trzy zero – mruknął Organek. – I trzykrotnie większy bagażnik.

– Słuchaj, Dżer, trochę się stresuję – odezwała się ni stąd, ni z owąd, zaskakując Organka.

– Ty się stresujesz? A z jakiego powodu?

– No wiesz… Tym moim byłym. Ostatnio lekko przybrałam na wadze, zmarszczki mi się porobiły wokół oczu. Możesz udawać mojego superbogatego faceta?

Z wrażenia Jeremi omal nie stracił kontroli nad kierownicą i nie skręcił na sąsiedni pas.

– C… co takiego? Twojego „faceta”? Lindo, to… To byłoby niestosowne. Przecież ja mógłbym być twoim ojcem.

– Gdybyś był moim ojcem, to ja z całą pewnością byłabym olśniewającą pięknością – odparła niestropiona dziewczyna. – Posłuchaj, doktorku, pozwól mi wyjaśnić mój plan.

– Czyli masz cały plan… Któż by się spodziewał…

– Hej, bez sarkazmu, panie sztywniaku! – ofuknęła go rudowłosa. – Słuchaj uważnie i nie odzywaj się, dopóki nie skończę. Otóż chciałabym ci przypomnieć, że niegdyś tak duża różnica wieku była nie tylko normą, ale nawet wymogiem. Czterdziestolatkowie poślubiali dwudziestolatki, bo dopiero

oni mogli zapewnić kobiecie stabilność ekonomiczną i opiekę. Poza tym już się wyszumieli, więc nie było tak dużego prawdopodobieństwa zdrady. Zawsze możemy powiedzieć, że ty jesteś rozwodnikiem, żeby nie było podejrzeń, że szumiałeś do pięćdziesiątki.

Jeremi otworzył usta, by wyrazić stanowczy protest, jednak ściągnięte brwi i spoglądające na niego spod rudej grzywki oczy skutecznie go od tego odwiodły.

– Przypomnę ci jeszcze, że w naszych czasach też zdarzają się pary z dużą różnicą wieku – kontynuowała prelegentka bez zająknięcia, co nasuwało wniosek, że rzeczywiście temat dobrze przemyślała. – Taki Andrzej Łapicki na przykład albo Marek Kondrat i Antonina Turnau… O, o! A Pazurowie? Albo Rubik i ta jego Agata!

Jeremi nie miał pojęcia, kim są wymienieni przez Lindę ludzie, mgliście kojarzył nazwiska aktorów, którzy byli starsi nawet od niego, ale nigdy nie interesowało go ich życie prywatne.

– Nadążasz, Dżer?

– Mhm.

– Znakomicie. No więc sprzedamy temu mojemu eks legendę, że jesteśmy parą, zakochaną w sobie bez pamięci; nie martw się, jestem znakomitą aktorką i zagram to wprost olśniewająco, zwłaszcza że ty jesteś raczej niepodły. O jasna cholera!!!

Linda nieomal zapadła się w sobie i zjechała na fotelu, jakby była kawałkiem bezwolnej tkaniny.

– Co się dzieje? Lindo?

– Nic, nic, zwolnij troszkę – szepnęła na bezdechu.

– Źle się poczułaś? Myślałem, że lubisz duże prędkości…

– To nie to. Pozwól tej corvetcie zniknąć z przodu.

Jeremi odpuścił gaz i mercedes zaczął nieco zwalniać. Dopiero teraz Organek dostrzegł wyprzedzający ich samochód, na którego widok gwizdnął z uznaniem.

– O kurczę, ale okaz – skomentował z szacunkiem. – Gdybym miał obstawiać, to raczej sądziłbym, że chciałabyś się do niej przytulić.

– Taaaa… – Linda naciągnęła chustkę na oczy. – Na pewno nie w tym stroju – stwierdziła z goryczą.

– Wybacz, ale chyba nie rozumiem.

– Widziałeś kierowcę? Jak wyglądał? Był gruby? I obleśny?

Organek zerknął na dziewczynę z wyraźnym niepokojem. Może dostała udaru?

– Nie widziałem, skupiłem się na lakierze. Zauważyłaś go? Boski!

– Taaaa… Rally red – mruknęła dziewczyna. – Chromowane zderzaki, krótka szyba czołowa, manualna skrzynia biegów, silnik pięć koma cztery litra, moc trzysta koni… Prawdziwy stingray.

– Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego nie chcesz poleżeć na jego masce…

– Bogowie olimpijscy i ci wszyscy inni, ale ty jesteś niedomyślny, Jeremi! – Linda podniosła się na fotelu i poprawiła chustkę. – To samochód mojego byłego. Wszędzie poznam to cacko, mam z nim tyle wspomnień…

– Ale niekoniecznie musisz się nimi ze mną dzielić – przerwał jej zawczasu Organek. – Pewne rzeczy powinny pozostać prywatnymi.

– Chciałam powiedzieć o tym, jak własnoręcznie wymieniłam pokrycie kierownicy i czyściłam chromowaną skrzynię biegów osobistą szczoteczką do zębów, ale dobrze, panie delikatny – zaperzyła się Linda. – Przynajmniej już wiemy, że go tam spotkamy, więc tym bardziej musimy przećwiczyć role.

– Nie jestem przekonany do tego pomysłu, Lindo – zaprotestował Jeremi, acz na razie bardzo delikatnie.

– To zaraz się przekonasz, to znaczy: ja cię przekonam.

– Naprawdę? Bardzo jestem ciekaw twoich metod perswazji.

– To dziecinnie proste, Jeremi – prychnęła dziewczyna. – Nazywa się szantaż. Albo będziesz udawał mojego bogatego faceta, który właśnie postanowił oświadczyć mi się w Cannes, albo zadzwonię do Płomyczka i poproszę, żeby tu przyjechał ratować mnie z opałów. Wiesz, że jego nie będzie trzeba namawiać, a ja już widzę, jak bryluje w towarzystwie i opowiada te swoje anegdoty z chłodni, witając wszystkich swoim słynnym „pokój temu domowi". Wybieraj.

Jeremi przełknął ślinę z wyjątkowym trudem, ale nie oderwał wzroku od jezdni. Przystojna twarz medyka nie zmieniła wyrazu, jakby kompletnie nie wzruszyło go oświadczenie Lindy. O jego zdenerwowaniu świadczyły jedynie pobielałe kostki dłoni zaciśniętych na kierownicy.

– Domyślam się, że mam nawet ze sobą pierścionek, który zamierzałem wsunąć ci na palec podczas romantycznej wycieczki na Lazurowe

Wybrzeże? – zapytał głucho.

– No widzisz? Jak cię porządnie zmobilizować, to nawet dochodzisz do logicznych wniosków – pochwaliła go panna Miller. – Chyba włożę tę ciemnozieloną suknię, będzie pasowała do twojego… paska.

Jeremi odruchowo spojrzał na trzymający jego spodnie parciany pasek w kolorze militarnej zieleni. Jeśli cokolwiek mogłoby do niego pasować, to jedynie wojskowy mundur.

– Dobrze, rozumiem, mam się przebrać – mruknął, wciąż nie patrząc na Lindę, która uśmiechnęła się z triumfem i zaczęła nucić jakąś skoczną melodię.

Resztę drogi pokonali w milczeniu, jedno radosne jak szczeniak, który dostał nową zabawkę, drugie zachmurzone jak niebo w listopadzie. Żadne jednak nie było w stanie przewidzieć, że plan Lindy, a także każdy inny plan, nada się psu na budę.

4

ZAPEWNE ZNA PANI PANA BARTMANA?

Stwierdzenie, że Linda dostała oczopląsu, byłoby koszmarnym niedopowiedzeniem. Głowa niemal jej się odkręciła, oczy ledwo nadążały z rejestrowaniem obrazów, a na dodatek – Jeremi mógłby przysiąc, że to widział! – śliniła się jak pies na widok sztuki mięsa.

Teren należący do hotelu Zamek Topacz budził zachwyt także w Organku, jednak jego stoicka natura i spokojne usposobienie, ale przede wszystkim doświadczenie, pozwalały mu rejestrować wszystko ze spokojem i godnością. Choć musiał przyznać, że szpalery klasyków, legend i arcydzieł motoryzacji także na nim zrobiły wrażenie. Ustawione na trawnikach, pod wiatami, w rzędach, kolumnach, fantazyjnie i pod kątami samochody lśniły w promieniach słońca, które grzało jak szalone, jakby chciało jednak, aby Linda wystąpiła w swoim bikini.

Prowadzony przez Jeremiego Kazik toczył się z prędkością patrolową wzdłuż alejki, pozwalając zwiedzającym wzdychać na swój widok. Utrzymana w doskonałej kondycji pagoda budziła zachwyty i wywoływała cmokanie oraz gwizdanie, co Jeremi przyjmował z cichą dumą. Linda tymczasem wcale się nie krępowała ani nie kryła z okazywaniem zadowolenia i co chwilę machała do

ludzi albo wykrzykiwała radosne: „Piękny jest, prawda?!" albo „Tak, tak, podziwiajcie!".

Zaparkowawszy w miejscu wyznaczonym przez organizatorów wydarzenia, Jeremi odczekał chwilę, zanim pozwolił obsłudze przypiąć do samochodu właściwą kartkę, i wysiadł ostrożnie. Następnie otworzył drzwi swojej towarzyszce i pomógł jej wysiąść, jak przystało na dżentelmena. Zachwycona Linda oniemiała z wrażenia, co należało odnotować w annałach historii, jednak wszyscy ewentualni świadkowie tego bezprecedensowego wydarzenia, jakim było jej milczenie, byli zbyt zajęci podziwianiem mercedesa. Czar prysł przy wyjmowaniu zawartości bagażnika, czym – rzecz nader oczywista – zajął się Jeremi.

Jeszcze gorzej zrobiło się po kilku minutach, kiedy okazało się, że walizkę rozmiarów czterodrzwiowej szafy trzeba było zatachać do hotelu, a żwirowe alejki bynajmniej tego nie ułatwiały.

– Chyba musisz się przebrać – stwierdziła Linda z niesmakiem, patrząc na mokrą koszulkę Organka, który dyszał przy ladzie recepcji i wyglądał, jakby walczył o życie.

– Co ty powiesz… – mruknął ledwo słyszalnie, ale Lindy już nie było. Zniknęła natychmiast, wypatrzywszy jakiś obraz w zabytkowej ramie. – Proszę powiedzieć, że winda działa – rzucił błagalnym tonem do recepcjonistki, która kończyła formalności związane z ich meldunkiem.

Dziewczyna uśmiechnęła się ze współczuciem i skinęła głową.

– Życzę państwu spokojnego pobytu – powiedziała z ciepłym uśmiechem, wydając mu karty do pokojów.

– Wcale nie wątpię, że taki będzie – odpowiedział, odzyskawszy głos. I w chwili, kiedy to powiedział, poczuł dziwne ukłucie za mostkiem.

Lawirując między alejkami, Linda starała się wyglądać tak, jakby znajdowała się w sali balowej angielskiej rezydencji prosto z powieści Jane Austen. Pierś dumnie wypięta, brzuch wciągnięty, broda wysoko. Świeżo ułożone

płomiennorude kędziory podskakiwały delikatnie przy każdym stawianym z wystudiowaną gracją kroku. Co prawda spacerowanie na bezdechu było odrobinę uciążliwe, ale czego się nie robi dla zemsty.

Jeremi zniknął w tłumie pozostałych uczestników konkursu elegancji, w którym jurorował Allan Starski, jednak Linda nie zamierzała dać losowi satysfakcji i pozwolić nakryć się eksowi w chwili, gdy będzie się rzucać do stóp słynnego scenografa. Zrobi to później, gdy już tamtemu wyjdą oczy na jej widok.

Rozkoszowała się widokiem cudów motoryzacji i myślą o tym, jak piorunujące wrażenie wywrze na tym dziadzie, który – jak miała nadzieję – aktualnie przypomina spasionego knura. Przechadzając się między samochodami, przeglądała się ukradkiem w lusterkach i z zadowoleniem rejestrowała kierowane w jej stronę powłóczyste spojrzenia odwiedzających wystawę. Wszystko szło zgodnie z planem. No, prawie wszystko. Jak na złość tego jednego, który powinien paść trupem na miejscu, gdy tylko jego migdałowe brązowe oczy spoczną na jej absolutnie fenomenalnej sukni, wciąż nigdzie nie było widać.

Kiedy już zaczynała tracić nadzieję, za jej plecami rozległo się głośne chrząknięcie.

– Ekhm – powtórzył męski głos, kiedy Linda wciąż się nie odwracała. – Przepraszam?

– Nic nie szkodzi, nie gniewam się już od dawna – odparła słodkim głosikiem i wykonała piruet, żeby suknia w kolorze jadeitu odpowiednio zaszumiała i zafalowała. – O!

Nie tego kogoś się spodziewała. Gorzej! Tego kogoś zupełnie nie znała.

– Panna Miller, jak mniemam?

– To zależy.

– Za… zależy? – Stojący przed nią mężczyzna w wieku bliżej nieokreślonym, ale raczej zaliczającym się do zbioru „okołoemerytalny”, przyglądał jej się z wyraźnym frasunkiem.

– Zależy, kto pyta. I dla kogo.

– Ach tak… – Jegomość się stropił. – Ja pytam, a właściwie zgaduję, tylko nie mam pewności, czy trafnie.

– A pan to, za przeproszeniem szanownego, kto? Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek wymieniali uprzejmości.

Stojąca naprzeciwko siebie dziwaczna para – wystrojona jak choinka w Boże Narodzenie rudowłosa dziewczyna i wyglądający niczym wprost wyjęty z *Lalki* leciwy dżentelmen – wywoływała nie mniejsze zainteresowanie niż otaczające ją rzadkie samochody. Zwiedzający przystawali w niewielkiej odległości i przyglądali się zaskakującej scenie.

– Nazywam się Maksymilian Petrycki, szanowna pani. – Mężczyzna ukłonił się nisko, po czym sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej eleganckie metalowe puzderko na wizytówki. Podał jeden kartonik Lindzie, obdarowując dziewczynę jowialnym uśmiechem.

– Prawnik? – Brwi dziewczyny schowały się pod grzywką.

– To tylko zawód – odparł z wyraźnym usprawiedliwieniem dżentelmen. – W tej chwili jednak występuję w roli wykonawcy testamentu.

– O! – Usta Lindy złożyły się w idealne kółeczko. – Kto umarł? Miałam jakiegoś bogatego wujka w Kalifornii?

– Yyy… – Staruszek wyglądał na zagubionego. – To bardzo możliwe, panno Miller, jednak nic mi na ten temat nie wiadomo. – Rozejrzał się dyskretnie po twarzach ludzi, którzy nawet nie próbowali udawać, że nie interesuje ich widowisko na środku alejki. – Może zechce pani porozmawiać ze mną… yyy… w jakimś… yyy… bardziej odosobnionym miejscu?

Linda zmarszczyła czoło i bez zastanowienia palnęła:

– Jeśli liczy pan na to, że zaproszę go do pokoju, to może pan już przestać! Ja tu jestem z narzeczonym. Znaczy: przyszłym narzeczonym, który zamierza oświadczyć mi się w Cannes. Ale ja przyjmę oświadczyny, więc tak jakby już jesteśmy. Narzeczeni w sensie. Po słowie. – Dziewczyna wyrzucała z siebie słowa z prędkością broni maszynowej, równocześnie świdrując przestrzeń rozgorączkowanym wzrokiem. Jak na złość akurat teraz ten cholerny sobowtór Clooneya musiał się gdzieś zapodziać!

Oszołomiony wybuchem prawnik oblał się purpurą i zapowietrzył, nie mogąc znaleźć słów sprzeciwu. Pot ściekał mu po skroniach, a nozdrza rozdymały się jak u rozwścieczonego byka w Pampelunie. Niechybnie padłby trupem wskutek przeżytego szoku, na szczęście – jego i zapewne Lindy – Jeremi Organek zmaterializował się nagle znikąd i podjął próbę ratowania ludzkiego życia, jak nakazywała mu zawodowa etyka.

– Co tu się dzieje, Lindo? – warknął, zdzierając z duszącego się staruszka marynarkę. – Jestem lekarzem! – krzyknął w stronę gapiów.

– Od nieżywych – mruknęła Linda, obrażona tonem przyjaciela. – Nie wiem, co się dzieje, dla mnie jest to tak samo zaskakująca sytuacja jak dla ciebie. Widocznie przecenił swoje siły witalne; nie dla psa kiełbasa.

– Nie mam pojęcia, co ty bredzisz, ale porozmawiamy o tym za chwilę – wysyczał Organek. – Już, już, spokojnie, muszę panu rozpiąć guziki, żeby odzyskał pan przepływ powietrza. Lindo, podaj wodę!

Akcja ratunkowa na szczęście szybko przyniosła efekt, a leciwy prawnik – już zdecydowanie mniej elegancki niż wcześniej, za to na pewno żywy – odzyskał naturalne kolory i rezon. Możliwe, że obecność kogoś, kto w odróżnieniu od Lindy Miller wydawał się osobą stabilną i rozsądną, podniosła go na duchu, czemu zresztą nie sposób się dziwić. Patrzył teraz na Organka wzrokiem zakochanej sarny i spijał z jego ust każde słowo.

– Wszystko już z panem w porządku, kryzys opanowany – mówił łagodnie Jeremi, badając puls pacjenta. – Oddech się uregulował, serce bije mocno i równo, skóra ma normalną temperaturę. Wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję panu – wyszeptał staruszek. – Jestem pana dłużnikiem.

– A co też pan wygaduje! – zdumiał się medyk. – Przecież niczego specjalnego nie zrobiłem, to był mój obowiązek.

– Niemniej dziękuję – powtórzył prawnik. – To chyba ten upał…

– Albo niemoralne propozycje… – skomentowała Linda jadowitym szeptem, jednak Jeremi doskonale go usłyszał.

– Jakie propozycje? Czyżby Linda złożyła panu jakąś… niestosowną…? – Samo wyobrażenie tej potworności sprawiło, że Jeremiemu poranna kawa podjechała z powrotem aż do migdałków.

– No wiesz co?! Jak możesz! Że niby ja? Jemu? O rany, zaraz to mnie będziesz musiał ratować, jak mi się żołądek przewróci na lewą stronę! A fuj, Dżer, a fuj, bleeee! – Dziewczyna wywaliła język na brodę i skrzywiła się teatralnie. – To ja tu jestem ofiarą!

Mina Jeremiego dobitnie świadczyła o jego pogubieniu się w sytuacji. Patrzył nic nierozumiejącym wzrokiem to na Lindę, to na uratowanego właśnie człowieka, który – jak można było zrozumieć – czynił dziewczynie odrażające awanse.

– Najmocniej panią przepraszam, panno Miller – wychrypiał prawnik – ale chyba doszło do nieporozumienia. Mam pani do przekazania

poufne informacje, a w tych warunkach to raczej niemożliwe. I prawnie niedopuszczalne – zaznaczył twardo.

– Pan ma dla mnie poufne informacje? – Linda wyprostowała się jak struna. – Przecież ja pana nawet nie znam.

– Ale zapewne zna pani pana Bartmana?

Syk wciąganego przez dziewczynę powietrza rozbrzmiał ogłuszająco w nienaturalnej ciszy. Jeremi zerknął na Lindę z niepokojem i natychmiast zrozumiał, że nie powinien o nic pytać. Przynajmniej dopóki nie znajdą się w miejscu bardziej sprzyjającym rozmowom.

Prawnik z pomocą Organka stanął na nogach, poprawił rozchełstaną koszulę i mrugnął do dziewczyny.

– To jak? Wciąż jest pani przeciwna bardziej ustronnej lokalizacji?

5
NIECH ŻYJE PRZEDWCZESNA ŚMIERĆ!

– Nie mogę w to uwierzyć! To jest niemożliwe, w głowie się nie mieści!

Linda wędrowała pomiędzy stolikiem kawowym, kanapą i dwoma fotelami, na zmianę łapiąc się za głowę i potrząsając nią. Jej naturalnie jasna skóra była blada, jedynie na policzki wystąpił rumieniec świadczący o wielkim wzburzeniu.

– Niestety to prawda – odezwał się cicho prawnik siedzący w jednym z foteli. Minę miał poważną i zatroskaną. – Bardzo mi przykro.

– Niech mnie ktoś uszczypnie! To się nie może dziać! Nie, po prostu… nie!

Jeremi przyglądał się w milczeniu zamaszystym krokom wprawiającym w ruch zieloną suknię. Oburzenie i szok, w jakim niewątpliwie znalazła się Linda, jasno wskazywały na wyparcie, które w zaistniałych okolicznościach było stanem naturalnym i oczekiwanym. Przynajmniej tak mu się wydawało, w końcu medyk sądowy stykający się na co dzień ze śmiercią miał do tego nieco inne podejście, ale przecież doskonale rozumiał, że młodym ludziom pogodzenie się ze stratą przychodzi zdecydowanie trudniej.

– Jest pan pewien? – Linda zatrzymała się raptownie i utkwiła wzrok w twarzy prawnika. – Jest pan pewien, że Ajax Bartman nie żyje?

– Ponad wszelką wątpliwość, panno Miller – potwierdził z powagą mężczyzna.

– O bogowie rzymscy, nie mogę w to uwierzyć… – Dziewczyna spuściła głowę i splotła dłonie na wysokości podołka. Przez chwilę stała bez ruchu. – Chyba muszę usiąść.

Jeremi zerwał się z fotela, w dwóch susach znalazł się obok przyjaciółki i objął ją ramieniem. Delikatnie pociągnął Lindę ze sobą, po czym posadził na pokrytej aksamitem kanapie.

– Podać ci wody? – zapytał miękko.

– W tej chwili to chyba tylko okowity, ale dziękuję, nie trzeba. No i cały misterny plan wziął w łeb… – westchnęła ciężko i podniosła zielone oczy na twarz Organka. – Już nie musisz się martwić, że wezmą cię za pedofila.

– Nie rozumiem, co do mnie mówisz, ale zrzucam to na karb szoku – odparł Jeremi, nie okazując ani grama oburzenia. – Wolałbym jednak, żebyś wyjaśniła mi, co tu właściwie się wydarzyło. I byłoby znakomicie, gdybyś zaczęła od tego, kim jest Ajax Bartman.

– Był – poprawił go prawnik.

– Z całym szacunkiem, panie Maksymilianie, ale w tym towarzystwie o zmarłych mówimy w czasie teraźniejszym – zaoponował Organek. – To taka nasza niepisana zasada.

– To prawda, Maksiu – potwierdziła Linda. – Mogę do pana mówić „Maksiu”?

Petrycki nie wyglądał na zadowolonego, ale zaczynał wątpić, czy jego protest na cokolwiek by się zdał. Kiwnął głową z rezygnacją.

– Babcia tak mnie nazywała; trochę mi ją pani przypomina, Lindo.

– O, też była ruda? – Linda w końcu się uśmiechnęła.

– Nie, blondynka. Ale tak samo… niepokorna i spontaniczna.

– Ładnie pan to ujął – skomentował Jeremi. – Zatem, Lindo, pan Bartman?

Rudowłosa niepokorna i spontaniczna – zdaniem jednych – dziewczyna przewróciła oczami i ułożyła się wygodniej na kanapie.

– Pan Bartman, mój szalenie nudny przyjacielu, był mi niegdyś wyjątkowo bliski. Można powiedzieć, że niewiele zabrakło, a zostałabym panią Bartman, na szczęście los nade mną czuwał i uchronił mnie od popełnienia tego ogromnego błędu.

Jeremi uniósł brwi w wyrazie głębokiego zdumienia.

– Zaczynam podejrzewać, że twój przyjazd do Topacza miał być jakimś odwetem na wszystkich twoich byłych. Jeszcze jakiegoś trzymasz w sekrecie?

– Oszalałeś? – oburzyła się dziewczyna. – Szanowny Ajax wystarczył mi do końca świata. Odkąd go porzuciłam, nie związałam się już z nikim, żeby nie mieć innego eksa do nienawidzenia.

– A ten od corvetty? – Organek wciąż nie nadążał.

– No przecież o nim mówię! – Linda wróciła do pozycji siedzącej. – Ajax Bartman to jest właśnie ta szujowata menda, której własną krwawicą pomogłam odrestaurować najpiękniejsze auto we wszechświecie, żeby potem ta gnida dworska mogła mnie w tym aucie zdradzać z cycatymi blondynkami. Niewdzięczny parszywiec!

– Ekhm, proszę wybaczyć… – Petrycki uśmiechał się odrobinę nieśmiało. – Co do parszywca i tych innych inwektyw nie mam zdania, ale chyba jednak nie był aż tak niewdzięczny.

Linda jednak wcale go nie słuchała, bo dopiero w tej chwili dotarły do niej istotne skojarzenia.

– Zaraz… Jeśli Ajax nie żyje, a jego samochód jest tutaj, to albo ktoś inny przyjechał tym samochodem, albo duchy zachowują uprawnienia do prowadzenia samochodów – myślała na głos. – Maksiu?

– Nic mi nie wiadomo o uprawnieniach duchów, ale właśnie usiłuję pani wytłumaczyć…

– A skoro to drugie jest mało prawdopodobne, choć zostawiam jednak margines błędu na istnienie rzeczy niepojmowalnych rozumem, to znaczy, że ta łajza sprzedała swój samochód. A tak się zapierał, że „po jego trupie”. Jak nasz Dżer!

Tym razem Organek, który nie musiał angażować w tę sprawę żadnych emocji, zwłaszcza że ich nie miał, dużo szybciej niż Linda zrozumiał sens słów prawnika.

– Lindo… Pan Petrycki usiłuje ci właśnie wytłumaczyć, że skoro pan Bartman nie żyje, to jego samochód ma nowego właściciela – powiedział spokojnie patolog.

– Właścicielkę – poprawił go Maksymilian.

– Co takiego?! – Tego już było za wiele dla panny Miller. – Wszystko wszystkim, ale nie po to spędziłam godziny na garbowaniu skórki na

kierownicę, żeby teraz jakaś lampucera mogła się nią wozić! A to podły gnojek! Zaraz mu porysuję to jego cacuszko. Ciekawe, skąd weźmie oryginalny lakier…

– Panno Miller! – Głos Petryckiego zabrzmiał niemal groźnie. – Czy może pani choć na chwilę zamilknąć i pozwolić mi wreszcie przekazać to, co od godziny usiłuję powiedzieć?

Linda ucichła jak rażona piorunem, a Jeremiemu z wrażenia także odebrało mowę. Z wrażenia, że komuś w ogóle udało się uciszyć słowotok jego przyjaciółki.

– Świetnie, dziękuję. – Maksymilian ukłonił się z gracją. – Pani Lindo, jak już wspomniałem, jestem wykonawcą testamentu pana Ajaksa Bartmana. Zgodnie z jego wolą samochód chevrolet corvette C3 z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku z chwilą śmierci pana Bartmana stał się pani pełnoprawną własnością. Pan Bartman *expressis verbis* zażądał, żeby samochód został pani dostarczony dokładnie w trakcie wystawy MotoClassic na zamku Topacz, bez wcześniejszego uprzedzenia pani o legacie.

Zapadła cisza. Cisza tak głęboka, że niemal można było usłyszeć iskrzenie synaps w mózgu Lindy, która z wrażenia przestała nawet mrugać. O tym, że żyje, świadczył jedynie fakt, że jej ciało wciąż trzymało się w pozycji półpionowej.

– Panno Miller? – Petrycki przechylił głowę i przyglądał się dziewczynie spod zmrużonych powiek. – Czy słyszała pani, co powiedziałem?

– Zdaje się, że jest w szoku – bąknął półgębkiem Organek. – Niech pan jej da jeszcze kilka sekund. Spodziewam się raczej gwałtownej zmiany zachowania. O, już…

Linda wystrzeliła z kanapy, jakby siedzisko nagle stanęło w płomieniach, i z wrzaskiem mogącym obudzić zmarłego rozpoczęła szalony taniec wokół mebla. Sukienka plątała jej się wokół nóg, więc podwinęła ją niemal do wysokości bioder i uskuteczniała kankana, zupełnie nie przejmując się kwestią przyzwoitości.

– Oł je, oł je, mam kor-we-tę! – skandowała, kręcąc piruety. – Jednak jest sprawiedliwość na tym najpiękniejszym ze światów, niech żyje przedwczesna śmierć! Oł je, oł je!

– Chyba wolałem poprzednią reakcję – mruknął speszony prawnik.

– Co pan powie… – Jeremi splótł ręce na piersiach i chrząknął. – Lindo, wolałbym, żebyś jednak zachowywała się bardziej cywilizowanie. Bądź co bądź

jeszcze kilka minut temu opłakiwałaś ową przedwczesną śmierć.

– Pffff, nie żartuj! Ani trochę mi go nie szkoda! – Dziewczyna nie ustępowała. – Nikt mu nie kazał łazić po drabinach i z nich spadać. Skoro nie potrafił zachować ostrożności, to dosięgła go selekcja naturalna. Naturalna, kochany Jeremi. Nie wolno żałować praw natury, bo one stoją ponad wszystkimi innymi. Prawda, Maksiu?

Wywołany Maksymilian Petrycki nie zaszczycił Lindy żadną reakcją, gdyż wydawało mu się to dalece niestosowne. Wyjął ze skórzanej aktówki teczkę z dokumentami i eleganckie wieczne pióro.

– Musimy jeszcze dopełnić formalności i samochód należy do pani. Zaparkowałem go na prywatnym parkingu właścicieli, żeby nie przykuwał zbyt wiele uwagi – wyjaśnił profesjonalnym tonem.

– Słyszysz, Dżer? Nie mogę w to uwierzyć! Wrócę do domu corvettą! – Linda wciąż tańczyła i podśpiewywała pod nosem.

– Mhm, ja również nie mogę – odpowiedział Organek, kręcąc głową w zadumie. – Panie Maksymilianie, a skąd pan wiedział, że Linda zjawi się tu dzisiaj? Przecież to wcale nie było takie oczywiste.

– Ja jedynie wykonałem polecenie spadkodawcy – odrzekł ze spokojem legalista. – Moim obowiązkiem było dostarczenie samochodu tutaj, a gdybym jednak nie zastał panny Miller, pan Bartman zostawił także adres domowy.

– Wygląda na to, że twój eks rzeczywiście przemyślał sprawę, Lindo.

– Eks denat – skomentowała Linda. – To brzmi niemal jak „królowa matka" albo „książę małżonek", nie uważasz? Tak… godnie. – Powiodła wzrokiem po twarzach mężczyzn, którzy wyglądali raczej na wątpiących. – No dobrze, dopełnijmy formalności i niech ten eks denat zniknie już z mojego światopoglądu.

Czerwona corvetta w innych okolicznościach z całą pewnością rzucałaby się w oczy, jednak towarzystwo bentleya po jednej i porsche po drugiej stronie skutecznie odbierało jej wyjątkowość. Gdyby tak porządnie się nad tym

zastanowić, to pośród tylu zabytkowych i kolekcjonerskich samochodów trudno było o zachwyty nad jednym. Tak można by sądzić, jednak Linda Miller, od kwadransa właścicielka pięćdziesięciopięcioletniej ce trójki, miała na ten temat zdanie zgoła odmienne.

– Dżer, czy ty to widzisz?! – piszczała, obskakując samochód. – Czy ty widziałeś kiedyś piękniejszy model?

Jeremi Organek, dżentelmen w każdym calu, stoik z charakteru i milczek z zamiłowania, uśmiechał się uprzejmie, unikając odpowiedzi na to pytanie. Stojący zaledwie kilkaset metrów dalej mercedes nazywany Kazikiem był zdaniem patologa najpiękniejszym samochodem w dziejach, jednak nie zamierzał odbierać Lindzie radości. W końcu jak często człowiek dziedziczy samochód wart pół miliona złotych, w dodatku po swoim byłym?

– Spójrz na to, Dżer – trajkotała Linda, gładząc kierownicę. – To moja robota, własnoręczna! Ach, jak pięknie to pachnie! Baziu wierzbowa, moja mamusia chyba mi nie uwierzy. Chociaż nie, ona akurat lubiła eks denata, zdaje się, że do dzisiaj nie potrafi przeboleć naszego rozstania.

– Wiesz, ja wciąż jestem pod wrażeniem, że akurat tobie zostawił ten samochód – stwierdził Organek, nie bacząc na radość dziewczyny. – Nie wiem co prawda, w jakiej atmosferze się rozstaliście, ale to raczej rzadkość, żeby byli partnerzy zostawiali sobie tak cenne… prezenty.

Linda spojrzała na Jeremiego z uwagą.

– Ty wiesz co… Masz rację! – wykrzyknęła, olśniona nagłą myślą. – Oczywiście, że to jest prezent, przecież miałam urodziny! No patrz, chyba muszę zweryfikować zdanie na temat eks denata. Mimo wszystko zawsze miał gest. Na dwudziestkę zabrał mnie do Chorwacji.

– Lindo – odparł Jeremi z naciskiem – nie wydaje ci się jednak, że to dosyć zaskakujący podarunek? Nawet z okazji tak… istotnej jak twoje urodziny?

– Phi! A kto bogatemu zabroni? – Wzruszyła ramionami i pogładziła chromowany zderzak. – Widocznie zależało mu na tym, żebym dostała coś porządnego.

– Ale to również oznaczałoby, że musiał zaplanować swoją śmierć – zauważył patolog. – Albo przewidzieć, że nastąpi w okolicy twoich urodzin. Biorąc pod uwagę dokładną instrukcję jego dostarczenia, musiał także sądzić, że umrze raczej szybciej niż później, przecież nie mógł mieć pewności, że za

dwadzieścia czy pięćdziesiąt lat ta wystawa wciąż będzie odbywać się w Topaczu.

Logika argumentów Jeremiego wreszcie przykuła uwagę Lindy. Z niechęcią oderwała wzrok od błyszczącego w promieniach słońca samochodu i przyjrzała się przystojnej twarzy Organka. Twarzy, na której aktualnie rysowały się troska i niepewność.

– Zaczynam się martwić, że uczeń przerósł mistrzynię – mruknęła po chwili. – To raczej ja z nas dwojga mam skłonność do wymyślania sensacyjnych scenariuszy, ale teraz aż boję się zapytać, co przyszło ci do głowy.

– Właściwie to jeszcze niczego konkretnego nie mam na myśli, ale wyraźnie coś mi tu nie pasuje – odparł Jeremi.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że mam oddać corvettę, to absolutnie się nie zgadzam i jestem gotowa nawet poświęcić naszą przyjaźń – oburzyła się świeżo upieczona spadkobierczyni. – Eks denat zapisał samochód mnie, nawet wysłał Maksia tutaj, co oznacza, że taką miał intencję. Prawdopodobnie nie był całkiem poczytalny, z tym mogę się zgodzić, ale: nie mój cyrk, nie moje małpy, samochodu nie oddam. Mój ci on!

Na dowód prawdziwości tej deklaracji zrobiła to, czego świadkiem Jeremi był we własnym garażu, czyli położyła się na masce auta i mruczała do niego z czułością.

– Nie parzy cię to? – zapytał Organek z szelmowskim uśmiechem, doskonale znając odpowiedź. – Będziesz miała czerwony policzek.

– Trudno! – parsknęła Linda. – Skoro eks denat już się tu nie pojawi, to nie muszę się starać. Nie twój interes, były przyjacielu.

– Eks denat, eksprzyjaciel, no, no. Niezły wynik jak na jeden dzień – skomentował medyk. – Dobrze już, wcale nie twierdzę, że masz zwracać samochód, jednak zastanów się nad tym, co powiedziałem.

– A ty dokąd się wybierasz? – Linda oderwała się od nagrzanej maski i powiodła wzrokiem za oddalającym się Organkiem.

– Na rozstrzygnięcie konkursu. Widzimy się za godzinę, postaraj się nie zrobić nic głupiego i… – zawiesił głos, po czym mrugnął zaczepnie – … przebierz się w coś mniej wymyślnego.

To powiedziawszy, ruszył w stronę terenu wystawy, gdzie tłumnie gromadzili się uczestnicy i widzowie konkursu elegancji.

Linda, w której ziarno zwątpienia kiełkowało stanowczo zbyt intensywnie, ukucnęła przy lusterku corvetty i obejrzała zaczerwieniony policzek.

– Widzieliście go, Ian Fleming się znalazł… – mruknęła, wściekła jak osa.

Wtem tuż za sobą poczuła czyjąś obecność. Obróciła się raptownie, zahaczając skronią o lusterko.

– Auuu! – syknęła. – Niech mnie pani nie straszy! O ja cię…

Z trudem podniosła się z kucek i stanęła na wprost elegancko ubranej kobiety, której jeszcze przed sekundą w duchu życzyła wylądowania w pokrzywach.

– Dzień dobry, proszę wybaczyć, nie chciałam pani wystraszyć! – odezwała się łagodnym altem nieznajoma.

– O wow, to ja! – wyrwało się Lindzie.

– Nie, nie, to z całą pewnością moja wina, nie powinnam była zachodzić pani od tyłu.

– Nie! To znaczy: owszem, nie powinna była pani, ale chodzi mi o to, że pani to ja. Jak już będę stara. Chciałabym tak wyglądać.

Kobieta uśmiechnęła się mimowolnie, a wokół jej wielkich zielonych oczu pojawiły się promienie zmarszczek.

– To dość oryginalny komplement, ale… dziękuję. Naprawdę uważa pani, że jestem stara? Wydawało mi się, że wciąż daleko mi do starości.

Linda dopiero teraz zorientowała się, że palnęła bezmyślnie głupstwo, a jej rozmówczyni mogła być tylko nieco starsza od Jeremiego. Z drugiej strony Jeremi wcale już nie był młody…

– Na pewno uważam, że jest pani piękna, a piękno podobno nie ma wieku – wykręciła się sprytnie.

– Z tym mogę się zgodzić. Niektóre rzeczy też dopiero z wiekiem nabierają prawdziwego piękna – odrzekła z uśmiechem kobieta. – Na przykład ten samochód. To pani?

Linda z dumą wypięła pierś i wyszczerzyła się, jakby prezentowała ortodoncie zgryz.

– Mój, najmojszy. I najpiękniejszy, z całym szacunkiem dla pani.

– Wystawia go pani na sprzedaż?

– Co takiego? – Linda ze zdumienia omal się nie opluła. – No co pani! W życiu! I to dosłownie!

– Ach, szkoda… – Piękna nieznajoma przesunęła smukłą dłonią po błyszczącej karoserii. – Ale rozumiem. Gdyby jednak zmieniła pani zdanie…

– Nie ma mowy – stwierdziła ostro Linda. – Zastanawiam się nawet, czy nie zabronić jego sprzedaży swoim dzieciom. I dzieciom ich dzieci. Muszę się dowiedzieć, czy prawo spadkowe dopuszcza takie rozwiązanie.

– Ma pani dzieci? – Na twarzy kobiety zarysowało się szczere zdumienie.

– Owszem, w planach. Odległych.

– Rozumiem… No nic, gdyby jednak…

– Dziękuję, ale nie ma takiej opcji. Mogę panią zabrać na przejażdżkę, ale to wszystko.

Nieznajoma roześmiała się perliście i pokręciła głową, po czym złożyła Lindzie delikatny ukłon i odeszła bez słowa.

– Do widzenia? – szepnęła dziewczyna, patrząc, jak kobieta znika we wnętrzu zamku. – Jak mamusię kocham, nie mam pojęcia, co tu się dzisiaj odjaniepawla, ale to na pewno nie jest normalne. Może znowu coś spuścili do Odry i ludzie zaczynają świrować?

Z dziedzińca dobiegał coraz głośniejszy gwar, który zwiastował zbliżający się moment kulminacyjny konkursu. Linda po raz ostatni spojrzała na swój nowy-stary samochód i postanowiła zastosować się do rady Jeremiego. Zielona suknia była trochę zbyt ekstrawagancka, a do tego dość niewygodna. Dziewczyna z żalem zostawiła corvettę na parkingu i udała się do pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Gdyby zaś wychodziły na prywatny parking, być może udałoby jej się dostrzec niepokojące zamieszanie, którego skutki okazały się co najmniej zaskakujące.

6

PRZEPRASZAM WCALE NIEUPRZEJMIE, KOMU Z PAŃSTWA ZGINĄŁ TRUP?!

Otworzenie bagażnika corvetty zajęło pół minuty, zatrzaśnięcie go z powrotem ledwie sekundę. To, co wydarzyło się w międzyczasie, trwało najdłużej, bowiem przesłanie impulsu nerwowego pomiędzy okiem a mózgiem i odesłanie właściwej interpretacji chwilę zajmuje. Zwłaszcza w takich sytuacjach.

– No dobra – wycedziła Linda przez zaciśnięte zęby i trzasnęła klapą. – Teraz to naprawdę przesadziliście.

Odetchnęła głęboko, z zamkniętymi oczami odczekała, aż szczękościsk troszkę się rozluźni, po czym ruszyła na dziedziniec zamkowy z miną tak wściekłą, jakby właśnie nakryła eks denata z cycatą blondynką in flagranti.

Przy każdym kroku płomiennorude włosy Lindy podskakiwały, jakby były samodzielnym bytem chcącym wyrazić swoją wściekłość. Dziewczyna wpadła w zgromadzony tłum ludzi niczym starożytna bogini zemsty, a w jej oczach płonęła żądza mordu. Ów płomień nie uszedł uwagi Organka, którego podniesiona do powitania ręka zastygła w połowie ruchu, a na twarzy pojawiło się przerażenie. Usta nieprzyzwoicie przystojnego medyka ułożyły się w nieme

O, nie zdążył jednak zareagować, zanim panna Miller, napędzana wewnętrznym pożarem, podeszła do Allana Starskiego wygłaszającego laudację na cześć zwycięzcy konkursu, wyszarpnęła mu mikrofon z dłoni i wysyczała:

– Przepraszam wcale nieuprzejmie, komu z państwa zginął trup?!

Zastygły w stuporze Organek doznał nieprzyjemnego uczucia w okolicach żołądka, a na jego czole pojawiły się wielkie krople potu. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że Ziemia przestała się kręcić, a atmosfera zupełnie zniknęła, odbierając ludziom możliwość oddychania. Pomyślał nawet, że może właśnie nadszedł ten dzień, kiedy przyjdzie mu pożegnać się z tym ziemskim łez padołem i wreszcie pozna swoich „podopiecznych", których cielesną powłoką zajmował się z racji wykonywanego zawodu. Trwało to okamgnienie, może dwa lub trzy, ale wystarczyło, by szósty zmysł jęknął z tyłu głowy i szepnął: „Jeremi, masz przegwizdane".

Ponieważ nikt nie zareagował na słowa Lindy, dziewczyna – coraz bardziej wzburzona – znów zabrała głos:

– Czy państwo nie dosłyszeli pytania? To ja powtórzę: kto, do wszystkich demonów i innych potworności, bezczelnie zgubił trupa w bagażniku mojej corvetty?!

Tym razem szósty zmysł Organka klepnął go w głowę od środka, powodując, że nogi patologa poruszyły się bez udziału jego woli. Jakby sterowała nim jakaś zewnętrzna siła, podszedł do Lindy, wyjął jej z ręki mikrofon i wcisnął go w dłoń oszołomionego Allana Starskiego, po czym złapał dziewczynę za łokieć i pociągnął za sobą.

Tłum, jakby obudzony z letargu, zaszumiał, zaszeleścił i po chwili obok Lindy i Organka zmaterializował się dobrze im już znany Maksymilian Petrycki, a zaraz po nim pojawili się właściciele Zamku Topacz i organizatorzy wydarzenia motoryzacyjnego.

– Co tu się dzieje, panie Organek? – wysyczał czerwony jak lakier corvetty wiceprzewodniczący Towarzystwa Automobilowego „Topacz", od lat doskonale znający się z Jeremim.

– Sam chciałbym to wiedzieć, panie Adamie – odparł zgodnie z prawdą medyk. – Lindo, coś ty znowu wymyśliła?! Wzięłaś sobie za cel zrujnowanie mi imprezy, na którą czekałem trzy lata?

– Ktoś ponad wszelką wątpliwość obrał sobie taki cel – odparła wciąż rozsierdzona dziewczyna. – Ale to z całą pewnością nie byłam ja, aż tak szalona nie jestem. I na pewno nie chowałabym obcych zwłok do bagażnika swojego nowiusieńkiego zabytkowego auta! Może masz tu jakiegoś arcywroga, Dżer?

W pierwszym odruchu Jeremi chciał zaprotestować – skąd! On, wroga? Niemożliwe. Po chwili jednak przeszło mu przez myśl, że może któryś z tych namolnych gości, nieustannie składających mu propozycję odkupienia Kazika… Ale nie, bez przesady.

– Czy powinniśmy wezwać policję? – zapytał właściciel zamku.

– No raczej! – Linda prychnęła jak byczek Fernando. – Chyba że dla pana to jest taka normalna codzienność. W środę meczyk Ligi Mistrzów, w piątek rybka na obiad, w sobotę zwłoki w bagażniku…

Jeremi parsknął mimowolnie, szybko jednak przywołał go do pionu wzrok właściciela.

– Tak, niech pan wezwie policję – powiedział, już całkiem poważnie – a ja zajrzę do tego bagażnika. Bądź co bądź parę zwłok w życiu widziałem i potrafię je rozpoznać.

Konkluzja wydawała się słuszna, więc nikt nie zaprotestował. Właściciel zamku oddalił się w pośpiechu z telefonem przy uchu, wiceprzewodniczący związku motoryzacyjnego ruszył, żeby zapanować nad zaczynającą panikować publicznością, a Organek, Linda i skonfundowany Petrycki skierowali się na parking.

– Panie Maksymilianie…? – zaczął Jeremi, nie bardzo wiedząc, jak sformułować pytanie.

– Nie, panie Jeremi, z całą pewnością bagażnik samochodu był pusty, kiedy go zostawiałem – odrzekł cicho prawnik.

– Był pusty, zanim poszłam się przebrać – dodała Linda. – Wszystko dokładnie obejrzałam.

– Jeżeli rzeczywiście znajdują się w nim zwłoki, to znaczy, że ktoś musiał je tam umieścić, gdy zmieniałaś strój – skonkludował Organek.

– Chyba nie sądzisz, że sobie to wymyśliłam?! – zaatakowała go Linda.

– Nie, nie sądzę – uspokoił ją patolog. – Jednak mamy już pewne… doświadczenie ze znikaniem i pojawianiem się zwłok. Zaczynam się spodziewać wszystkiego.

– Tym razem nic nie zniknęło – skomentowała dziewczyna, otworzywszy klapę bagażnika. Ludzkie, na pierwszy rzut oka męskie, zwłoki leżały dokładnie tam, gdzie je zostawiła. Czy raczej ktoś je zostawił. – Proszę uprzejmie, trup jak się patrzy.

Organek i Petrycki ostrożnie nachylili się nad znaleziskiem, żaden jednak nie odezwał się ani słowem. Jeremi z uwagą obserwował ciało młodego człowieka, milimetr po milimetrze, marszcząc czoło w wyrazie głębokiej zadumy.

– Co sądzisz? – zapytała go Linda.

– Bez wątpienia nie żyje co najmniej od trzydziestu sześciu, może czterdziestu ośmiu godzin – stwierdził fachowo i pociągnął nosem. – Linda nie ma węchu, więc pewnie nie zauważyła – wyjaśnił Petryckiemu, który również czuł nieprzyjemną woń wydobywającą się z bagażnika. – Stężenie całkiem ustąpiło, skóra jest wysuszona i zaczyna się łuszczyć. No i ruszyły już procesy gnilne. Chłopak nie żyje od kilku dni.

– Boże wszechmogący… – Prawnik zatkał dłonią usta i cofnął się.

– Coś mi mówi, że żaden bóg nie ma z tym nic wspólnego – mruknął Jeremi. – Pomijając fakt, że ktoś go umieścił w bagażniku, zamiast oddać zakładowi pogrzebowemu, ta pręga na jego szyi nie wygląda na naturalną.

– Ktoś go udusił? – Linda upewniła się, że właściwie zrozumiała.

– Tak bym obstawiał, ale bez dokładnych oględzin głowy nie dam. Wiesz, kto to jest?

– Nie mam najbledszego pojęcia – zaprzeczyła natychmiast. – Pierwszy raz moje piękne oczy go widzą i mam nadzieję, że ostatni. Może Maksiu go zna?

– Ja? Nie! – zapewnił gorliwie Petrycki. – Być może kiedyś go spotkałem, w końcu w mojej karierze spotkałem tysiące ludzi, ale z całą stanowczością stwierdzam, że nie rozpoznaję tego młodego człowieka.

– Hmm, myślałem, że to ten twój Ajax. – Jeremi przygryzł dolną wargę.

– No skąd, Dżer! Eks denat był szatynem, miał oczy niczym fiołki na alpejskiej łące, szeroką szczękę z dołeczkiem w brodzie, piękne kości policzkowe i chyba był wyższy, chociaż trudno powiedzieć, ile wzrostu ma ten tutaj. Na pewno to nie jest Ajax.

Jeśli wierzyć opisowi Lindy, z wyłączeniem wzmianki o fiołkach na alpejskiej łące, leżące w bagażniku corvetty zwłoki nie mogły być Ajaksem

Bartmanem. Przeczyły temu jasne włosy, niewątpliwie naturalne, dość okrągła twarz bez widocznych kości policzkowych i dołeczka w brodzie. Również Petrycki zaprzeczył jakiemukolwiek podobieństwu z testatorem.

– No to by było na tyle ze spokojnego weekendu bez trupów i zagadek – westchnął Jeremi, zamykając bagażnik. – Powinniśmy odstawić samochód w chłodniejsze miejsce.

Linda jęknęła głucho, wyobrażając sobie nieodwracalne zniszczenia, jakie spowodują wyziewy i płyny ustrojowe rozkładającego się ciała, nie zdążyła jednak wyrazić rozpaczy na głos, kiedy od strony hotelu rozległy się pośpieszne kroki właściciela zamku.

– Policja już jedzie – rzucił, strzelając oczami dookoła. – Mają przysłać kogoś z wojewódzkiej.

– Oho… – mruknął Organek i spojrzał na Lindę, która chyba czytała mu w myślach. – Mam złe przeczucia.

– Witaj w klubie, doktorku. Mamy przechlapane.

Komisarz Michał Bączek oddawał się właśnie relaksowi na działce kuzynki po tym, jak od świtu przekopał grządki, posadził kilka drzewek, naprawił dwie dziury w ogrodzeniu i wymienił rączkę w pompie, którą jakiś pijany młodzieniec złamał podczas zbyt dobrej zabawy. Weekend zapowiadał się upalny, można więc było odpocząć, a przy okazji nałapać promieni słonecznych i uzupełnić poziom witaminy D. Znakomity początek zasłużonego urlopu.

– Michał, nie rób tego więcej i nie chwal dnia przed odebraniem pierwszego telefonu! – upomniał się głośno, po raz kolejny złamawszy dane sobie słowo. – Może złośliwy los jeszcze śpi i nie usłyszał… – dodał szeptem i zachichotał, po czym z sykiem otworzył puszkę ulubionego napoju gazowanego, który w upały zastępował mu kawę.

Naiwny ten Bączek, nie ma co.

Ledwo upił pianę, która wydobyła się przez otwór w puszce, a jego telefon wydał z siebie upiorne dźwięki *The Number of the Beast*, który to utwór komisarz przypisał numerowi swojego szefa. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że Wilczyński dzwoni towarzysko, bo na przykład poczuł potrzebę usłyszenia głosu ulubionego podwładnego, jednak było to prawdopodobieństwo porównywalne do tego, że Bączek zostanie zawodowym łyżwiarzem figurowym.

– Zarządzanie terenami zielonymi, w czym mogę pomóc? – odebrał, nie tracąc jeszcze nadziei.

– Międzynarodowy zakład do spraw zagłady ekologicznej. – Nadinspektor Wilczyński przyjął konwencję rozmowy. – Dostaliśmy polecenie zamknięcia działalności wszystkich inżynierów środowiska i zajęcia się katastrofą humanitarną.

Bączek wyprostował się na leżaku, przy okazji oblewając pepsi świeżo włożoną koszulkę.

– Proszę cię, Kazik, powiedz, że żartujesz – rzucił błagalnym tonem do słuchawki.

– Niestety, smyku, żarty się skończyły w poprzedniej kwestii dialogowej. Zbieraj swoje blade cztery litery i jedź do Zamku Topacz. Może to nic, ale wolę dmuchać na zimne. Jeśli się okaże, że jednak się mylę, wracaj na to swoje ROD-os i dalej rób to, co tam robisz.

Połączenie zostało przerwane, ale sekundę później na wyświetlaczu telefonu Bączka pojawiła się wiadomość. Komisarz zamrugał energicznie, wypił jednym haustem zawartość puszki, zgniótł ją w dłoni i zaklął nieparlamentarnie. Podobnie jak Wilczyński, on również miał intuicję, która w tej chwili rzucała klątwy pod adresem niejakich Lindy Miller i Jeremiego Organka, głównie życząc im niestrawności i wynikającej z niej konieczności załatwienia się na polu pełnym pokrzyw.

7
JA ZA EKS DENATA NIE PÓJDĘ SIEDZIEĆ!

Pomimo niezwykle sympatycznej, niemal przystojnej twarzy komisarz Michał Bączek tym razem nie budził ciepłych uczuć, wręcz strzelał na lewo i prawo tymi wyjątkowo lodowatymi. Poleciwszy Lindzie i Jeremiemu „unieruchomienie ciał w pozycji siedzącej i odzywanie się wyłącznie w celu udzielenia jasnych i jednoznacznych odpowiedzi", zaczął przechadzać się w tę i z powrotem krokiem defiladowym z rękami splecionymi za plecami. Sapał przy tym i parskał jak zatkana lokomotywa parowa.

– Mam uwierzyć, że ni z gruszki, ni z pietruszki odziedziczyła pani samochód wart, na oko licząc, kilkaset tysięcy polskich złotych, a ten legat zawdzięcza pani swojemu byłemu partnerowi, z którym nie miała kontaktu od lat i, z tego, co wykoncypowałem, rozstała się w raczej mało przyjacielskich stosunkach? Dobrze zrozumiałem, panno Miller?

– Tak, dobrze pan zrozumiał, komisarzu, ale na to, w co pan wierzy albo nie…

– Nie filozofować! – ryknął Bączek, przerywając dziewczynie w pół zdania.

Linda zamknęła usta z głośnym kłapnięciem, czując się zbesztana jak niesforny dzieciak. A przecież wszystko, co powiedziała Bączkowi, było

najprawdziwszą prawdą. Czy to jej wina, że akurat kiedy idiota eks denat postanowił wynagrodzić jej dawne boleści, jakiś inny idiota wykorzystał samochód w charakterze transportera dla martwej natury?

– Czyli dobrze – stwierdził Bączek, zwracając się do samego siebie. – Nie żeby mnie to cieszyło, ale dobrze, znaczy: zgodnie z prawdą. Przynajmniej do tej pory.

– Ej! – obruszyła się Linda. – A co to niby ma znaczyć?

– Cicho bądź, Lindo – szepnął Jeremi. – Myślę, że pan komisarz ma podstawy do tego typu złośliwości.

– Bo niby co? Bo raz popełniliśmy błąd? Wielkie mecyje! Nawet morderców się nie rozstrzeliwuje, tylko poddaje resocjalizacji.

– Gdyby to ode mnie zależało, wyglądałoby to zupełnie inaczej, proszę mi wierzyć – mruknął z przekąsem Bączek. – Zatem odziedziczyła pani niezwykle wartościowy samochód po człowieku, który był dla pani właściwie zupełnie obcy, a pięć minut później w tymże samochodzie znalazła pani zwłoki człowieka. Także zupełnie obcego. Wciąż jestem na właściwym szlaku myślowym?

– Zasadniczo tak – potwierdziła dziewczyna.

– „Zasadniczo" antycypuje „ale" – stwierdził wyraźnie niezadowolony komisarz.

– Ten z bagażnika jest mi obcy nawet zupełniej niż szanowny eks denat – wyjaśniła ze spokojem. – Spadkodawca znaczy. Z nim niegdyś intensywnie wymieniałam płyny ustrojowe, wybaczcie mi, bogowie, bo nie wiedziałam, co czyniłam, a z tym w bagażniku nigdy niczego nie wymieniałam i raczej już nie będę. W życiu na oczy go nie widziałam, nie mam pojęcia, kto zacz.

– Powiedzmy, że pani wierzę. Pan, panie Organek, pewnie też nie zna denata?

– Którego? – odparł nieprzytomnie patolog.

– A któregoś pan znał?

– Nie, żadnego.

Bączek zgrzytnął zębami, ale dzielnie zmilczał. Jeszcze nad sobą panował. Jeszcze.

– Dobrze, czyli ustaliliśmy stan rzeczy. Przynajmniej o tyle o ile – podsumował. – Dopóki nie zidentyfikujemy denata, nie mam do państwa

więcej pytań, ale z całą pewnością wrócimy do tego w odpowiednim czasie. Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej na temat pani relacji ze spadkodawcą, panno Miller. Rozumiem, że był to człowiek majętny, skoro zostawił pani w spadku samochód o tak znacznej wartości?

Linda poprawiła się na krześle, odrywając przyklejone do skajowej tapicerki uda, i jęknęła z bólu. Bolały ją nie tylko miejsca stykające się z krzesłem, ale też dusza, która dawno temu zatrzasnęła drzwi oznakowane jako „Ajax Bartman", a teraz znów trzeba było je otworzyć.

– Doskonale pan rozumie, panie komisarzu. Ajax Bartman był człowiekiem majętnym, a właściwie jego rodzice byli osobami wyjątkowo zamożnymi – zaczęła z niechęcią. – Jako jedynak najprawdopodobniej odziedziczył ogromną fortunę po swoim ojcu, chyba że zrzekł się spadku, o którym to planie gorliwie zapewniał mnie niemal przez cały nasz związek. Ajax Bartman, komisarzu Bączek, był synem Wiktora Bartmana. Tego Wiktora Bartmana, potentata w branży kosmetycznej.

– Wiedziałem, że skądś znam to nazwisko – mruknął Bączek, skojarzywszy, kim jest ten Wiktor Bartman. – Zdaje się, że kilka miesięcy temu prasa rozpisywała się o śmierci Bartmana i jego małżonki.

– Zgadza się, utonęli w trakcie rejsu na Mazurach – potwierdziła Linda. – Małżonka wpadła do wody, a Wiktor wskoczył za nią i żadnego z nich nie udało się uratować. Przynajmniej tak mówiono w mediach; nie wiem, jaka była prawda, bo w tych czasach ufanie dziennikarzom i przekazywanym przez nich informacjom jest popisem głupoty.

– Byli pod wpływem mocnych narkotyków – wtrącił niespodziewanie Jeremi.

– A ty co, zostałeś subskrybentem Pomponika?

– Kim zostałem? – zdumiał się Organek, po czym machnął ręką. – Nieważne, chyba nie chcę wiedzieć.

– Teraz kojarzę tę sprawę – wtrącił się Bączek. – Rzeczywiście prokuratura ujawniła, że oboje byli pod wpływem środków odurzających, i to w znacznym stężeniu.

– Płomyczek zajmował się toksykologią – dodał Jeremi, kiwając głową – i prosił mnie o zatwierdzenie badań. Pamiętam, że bardzo mnie zdziwiły: można by na podstawie wyników ich krwi zrobić listę substancji zabronionych i rozwieszać w Monarze.

Brwi Lindy utworzyły idealną hiperbolę pod rozwianą grzywką.

– Czekaj, Dżer – powiedziała wolno – czy ty chcesz powiedzieć, że w chwili śmierci Bartmanowie byli… naćpani?

– Jak Sherlock Holmes w palarni opium – potwierdził patolog. – Prawdopodobnie mogli gonić jednocześnie białego króliczka, kota z Cheshire, stado amazońskich motyli i Moby Dicka.

– Ty, patrz, jakie zakłamane parchate mendy! – Linda cmoknęła z niesmakiem i pokręciła głową. – Raz przyłapali mnie i eks denata na upojeniu alkoholowym i dostaliśmy taką połajankę, że nam się odechciało nawet piccolo. „Człowiek nigdy nie powinien tracić nad sobą kontroli" – przedrzeźniała niski bas Wiktora Bartmana. – „Nie warto niszczyć sobie zdrowia, bo mamy tylko jedno życie, dzieci" – zapiszczała jak Maria Bartman.

Bączek przysłuchiwał się tej rozmowie z pozorną niedbałością, jednak z tyłu głowy rejestrował każde słowo. Doskonale wiedział, a wieloletnie doświadczenie dodatkowo go w tym utwierdziło, że niekiedy najmniej istotny szczegół może stanowić wskazówkę lub skierować myśli na właściwy tor.

– A zatem, panie komisarzu – rzekła Linda, patrząc teraz na policjanta – jeżeli Ajax Bartman nie odrzucił spadku po swoich zakłamanych rodzicach narkomanach, to był bardzo bogatym człowiekiem. Gdyby więc miało się okazać, że ktoś przyłożył rękę do jego śmierci, ja na pana miejscu przyjrzałabym się jego spadkobiercom.

Jeremi chrząknął głośno i przewrócił oczami.

– Co?! – syknęła Linda. – Co mi tu mieszasz tymi gała…? Aaaaaaa! Że ja spadkobierca! Oooooo nie! Nie, nie, nie! Nie dam się w to wrobić, absolutnie mowy nie ma! – Dziewczyna tupnęła nogą i zmarszczyła nos. – Proszę bardzo, zabierajcie sobie tę corvettę razem z całą zawartością. Ja za eks denata nie pójdę siedzieć. Zawsze miał głupie pomysły, a ten teraz to już w ogóle szczyt kretynizmu!

– Spokojnie, panno Miller, nic mi nie wiadomo, żeby w sprawie śmierci pana Bartmana trwały jakiekolwiek czynności wyjaśniające – zapewnił rozbawiony Bączek. Oczywiście pierwszą rzeczą, jaką zrobi po przybyciu do komendy, będzie sprawdzenie okoliczności śmierci dziedzica fortuny. – Naszym priorytetem jest ustalenie, czyje zwłoki znalazły się w bagażniku pani samochodu, dlaczego akurat w nim, dlaczego zostały zwłokami i kto im w tym pomógł.

– Znakomicie pan to ujął, widać, że sporo pan ostatnio czyta – pochwaliła go Linda. – Tak, zgadzam się z panem. Trzeba ustalić, komu zginął ten trup i dlaczego ktoś wrednie mi go podrzucił. Bo to było wredne, musi pan przyznać!

Nie przyznał, choć w duchu się zgadzał. Rzeczywiście podrzucenie komukolwiek zwłok do właśnie odziedziczonego wypasionego samochodu wartego więcej niż porządne mieszkanie w mieście wielkości Wrocławia było wyjątkowo złośliwą zagrywką. I z całą pewnością nie bez powodu samochód Lindy Miller stał się miejscem zbrodni.

– Muszę pani zadać niewygodne pytanie, panno Miller – rzucił znienacka, chwytając myśl, zanim mu uciekła w gąszczu innych, nachalnie pchających się do głowy. – Jest pani w stanie wyobrazić sobie powód, dla którego mogła otrzymać ten samochód?

– Poza tym, że jestem superfajna i zasługuję? To żadnego innego nie potrafię sobie wyobrazić. – Linda rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami. – Rozstaliśmy się raczej w stanie gorącej wojny, włącznie z wywalaniem ubrań przez okna i rzucaniem klątw oraz uroków. To znaczy: ja wywalałam i rzucałam, eks denat starał się jedynie minimalizować straty, choć nie wiem, czy udało mu się przekonać Cygankę do odczynienia klątwy. Możliwe, że musiał ją przekupić.

– Wróćmy do meritum – poprosił łagodnie Bączek. – Abstrahując od tego, że to dość niespotykane, a wręcz dość abstrakcyjne, żeby były partner zostawiał pośmiertnie drogie prezenty, wydaje się zastanawiające, dlaczego moment jego przekazania został tak precyzyjnie wyznaczony.

– Czy ja wiem, czy takie znowu abstrakcyjne… – Linda przygryzła wargę i zakręciła płomiennorudy kędzior na palcu wskazującym. – Myślę, że eks denat zrozumiał, co stracił, i postanowił jakoś wyrazić skruchę, a doskonale wiedział, że kochałam ten samochód chyba nawet bardziej niż jego. A odnośnie do kwestii precyzji… Cóż, Maksio twierdził, że dostał dyspozycje na wypadek, gdyby jednak mnie tu nie zastał, więc można to uznać za celny strzał. Niewiele brakowało, a wcale by mnie tu nie było. – Nagle puściła kosmyk i otworzyła szeroko oczy. – Cholera jasna, no właśnie! Czy gdyby mnie tu nie było, to ktoś by zgubił trupa w innym samochodzie? Czyżby to był jednak przypadek?

– To jedno z pytań, które sobie zadaję – potwierdził jej tok rozumowania Bączek. – Ale w tej chwili nie najważniejsze. Chciałbym zebrać od państwa oficjalne zeznania, więc zajrzyjcie w poniedziałek na komendę. Tymczasem, panno Miller, musimy niestety zabezpieczyć pani samochód i zająć się ciałem.

Jeremi westchnął głośno, przeczuwając, że „musimy się zająć" odnosi się do niego. I do Płomyczka, co zmartwiło go o wiele bardziej. Jeśli trafnie zgadywał – a zazwyczaj się nie mylił – jego nowy szef postanowi zrobić z samochodowego denata doskonałą anegdotę opowiadaną studentom medycyny. Ale nie uprzedzajmy faktów, wszystko w swoim czasie. Trup nie stanie się ani mniej martwy, ani bardziej żywy, choćbyśmy nie wiadomo, co robili.

8
TO JEST WIADOMOŚĆ, DŻER

Podróż powrotna do Wrocławia niemal w całości minęła im w milczeniu. Jeremi był niepocieszony, bo Kazik nie wygrał w konkursie elegancji, a Linda czuła – jak to określiła – bóle fantomowe po stracie samochodu. Musiały być to bóle niezwykle silne, ponieważ dziewczyna milczała jak zaklęta, czego innej przyczyny niż wyjątkowa niemoc Jeremi nie potrafił znaleźć.

Zupełnie nienawykły do prowadzenia small talków ani do zabawiania nadąsanych młodych dam Organek głowił się nad wyraz intensywnie, jak by tu jakoś rozluźnić atmosferę. Jednak czy to przez brak doświadczenia, czy może ze względu na społeczne wycofanie, ni w ząb mu nie wychodziło. Otwierał usta, niekiedy nawet wydobywając z nich nieartykułowany dźwięk, ale rozmowy nie udało mu się zadzierzgnąć. W końcu Linda nie wytrzymała.

– Słuchaj, Dżer, ja naprawdę doceniam, że próbujesz jakoś mnie rozweselić, bo chyba to próbujesz zrobić, kłapiąc paszczęką jak jakiś karp wigilijny, ale naprawdę nie trzeba. Siedzę sobie tu cichutko, zanurzona w goryczy swoich osobistych myśli, z nadzieją, że jednak zaraz się obudzę z tego koszmaru.

Organek odetchnął głęboko, zadowolony, że lody zostały przełamane i w końcu może się odnieść do jakiejś konkretnej kwestii. To było stanowczo łatwiejsze aniżeli wymyślanie początku rozmowy.

– Rzeczywiście sytuacja wydaje się odrobinę abstrakcyjna – stwierdził zgodnie z przekonaniem.

– Myślisz? – zakpiła Linda.

– Tak, tak, zdecydowanie – potwierdził z powagą. – To raczej nie zdarza się często, żeby w ciągu jednego dnia otrzymać i stracić kolekcjonerski samochód.

– Ufff, pocieszyłeś mnie. Już myślałam, że całkiem tracę zmysły!

– Nic z tych rzeczy, Lindo! Nie przyśniło ci się to, widziałem na własne oczy akt notarialny i doskonale pamiętam, że podpisałem się w miejscu dla świadka przekazania legatu.

– No powiem ci, Dżer: kamień z serca. Tylko tego mi brakowało, żebym zaczęła tracić poczucie rzeczywistości – odparła z ironią, której Jeremi znów nie wyłapał i kiwał głową, jakby potwierdzał teorię heliocentryzmu. – Powiedz mi, mój genialny przyjacielu, dlaczego to zawsze musi przytrafić się mnie? Czy ja byłam może doktorem Mengele w poprzednim wcieleniu? Albo teraz odpokutowuję jakieś zbrodnie, które popełnię w przyszłości?

Organek zamyślił się głęboko, a na jego wysokim czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Niemożliwe, żebyś była Mengelem, on umarł w siedemdziesiątym dziewiątym, musiałabyś być kimś jeszcze pomiędzy – stwierdził po chwili. – Ale mogłaś być księżną Dianą! – dodał z wyraźną radością.

Linda spojrzała na niego spod grzywki wzrokiem dalekim od ciepłego, ale zaraz parsknęła wesoło i zaczęła chichotać.

– Ty jednak jesteś nienormalny, doktorze Organek, jak mamusię kocham, takiego oryginała to ze świecą szukać. Eks denat też był tak emocjonalnie inteligentny inaczej: wołami nie dało się z niego wyciągnąć najmniejszych nawet myśli czy uczuć. Kiedyś zadzwoniłam do głąba, płacząc ze szczęścia, po tym jak dostałam nagrodę dziekana za artykuł dla „National Geographic Polska", a wiesz, co ta łajza upośledzona mi odpowiedziała?

Jeremi nie miał pojęcia. Oczywiście.

– „Gratuluję" – zacytowała dziewczyna, naśladując niski głos Ajaksa.

– A co miał odpowiedzieć? – zdumiał się Organek, bo gratulacje były przecież jak najbardziej na miejscu.

– Ty tak serio? – Linda skrzywiła się i przewróciła oczami. – Takie „gratuluję" to można powiedzieć koledze, któremu życzy się, żeby powinęła

mu się noga, a nie kobiecie, na której ci zależy. Ja dzwonię do parcha, piszczę, łzy mi ciekną, jakbym miała pod gałkami ocznymi posiekaną cebulę, a ten nawet jednej emocji w głosie nie potrafił zawrzeć. Ani jednej! Ameba uczuciowa, w dodatku bez szans na resocjalizację.

Patolog nie skomentował, żeby przypadkiem znów nie narazić się na szyderstwo. W duchu zaś stwierdził, że będzie musiał popracować nad kompetencjami miękkimi, bo stanowczo mu ich brakowało.

– Zaczynam się zastanawiać, dlaczego w ogóle się z nim związałaś – wypalił, zanim zdążył ugryźć się w język.

– I całkiem słusznie, ja zastanawiam się nad tym nieustannie od kilku lat. Prawdopodobnie dopadła mnie choroba umysłowa nazywana dla złagodzenia „miłością". Rozumiesz: chemia mózgu zostaje poważnie zakłócona przez nieustanny wyrzut dopaminy i chodzisz wiecznie naćpany tym cholerstwem. W skrajnych przypadkach ten zalew narkotyku wywołuje halucynacje i możesz nie zauważyć sygnałów alarmowych tak długo, jak długo dobrowolnie poddajesz się zidioceniu.

– To wcale nie brzmi zachęcająco… – mruknął Jeremi.

– Prawda? Moim zdaniem w szkole powinni uczyć o tych wszystkich zaburzeniach, żeby uchronić młodych ludzi przed popełnianiem błędów. Wyobraź sobie, jak wiele istnień dałoby się uratować, gdyby dziewczęta odpowiednio szybko zareagowały na manipulacje Charlesa Mansona. Albo Kalibabki, żeby zostać na rodzimym podwórku. A ilu rozwodów i rozbitych związków można by uniknąć! – Zamilkła na moment, przygryzając dolną wargę. – Może wtedy moja mamusia nie cierpiałaby tak długo po tym rżnącym wszystko jak leci drwalu, nasieniodawcy. Postanowiłam nigdy więcej nie nazywać go „ojcem", bo na to miano to jednak trzeba sobie zasłużyć czymś więcej niż jednym orgazmem – wyjaśniła z powagą.

– Ajax Bartman też był… drwalem? – Jeremi usiłował być delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla.

– Eeee, noooo… – Linda wyraźnie się zawahała, jakby nigdy wcześniej nie zadała sobie sama tego pytania. – Nie, nie był. Tak właściwie to był mi wierny jak koza, która dostała swój prywatny trawnik do obgryzania.

– Ale mówiłaś coś o… – Organek z trudem przełknął ślinę, odchrząknął i dokończył: – …cycatej blondynce.

– A, tak, była taka lafirynda. Złapałam ich na obściskiwaniu się w samochodzie dzień po tym, jak wylałam pomyje na głowę tego idioty. Chyba myślał, że już może się pocieszyć.

– A nie mógł? – upewnił się Jeremi.

– Oczywiście, że nie mógł, to przecież podstawowa zasada. Jakim trzeba być knurem, żeby natychmiast znaleźć sobie zastępstwo?! Przyzwoitość nakazuje przynajmniej błagać kobietę o powrót, dobre maniery wymagają smucenia się, a w najlepszym tonie jest ostentacyjne obnoszenie się z żałobą.

Stroniący od związków romantycznych patolog nie miał pojęcia o istnieniu tych zasad, które – takie odniósł wrażenie – były niemal kodeksem honorowym, a ich nieprzestrzeganie mogło grozić usunięciem z grona znajomych na Facebooku.

Co prawda on w ogóle nie posiadał profili w mediach społecznościowych, ale na tyle już został wyedukowany przez Lindę, żeby rozumieć, że jest to wymóg współczesnego świata i „jeśli nie ma cię na Instagramie, to nie ma cię wcale". Jemu akurat zupełnie owo niebycie nie przeszkadzało, ale potrafił zrozumieć, że większość ludzi stanowczo wolała być.

– A dlaczego się z nim rozstałaś? – zapytał, tym razem już naprawdę zaintrygowany.

– Bo mi się oświadczył.

To wyznanie stanowczo zbiło Jeremiego z tropu. Z jego wiedzy wynikało, że kobiety – przynajmniej w przeważającej większości – wręcz marzyły o znalezieniu mężczyzny na tyle dojrzałego, zakochanego i zaangażowanego, żeby chciał stworzyć z nimi rodzinę. W każdej komedii romantycznej tak właśnie to wyglądało.

– Zaryzykuję stwierdzenie, że to raczej zachowanie odwrotne powinno skłonić cię do porzucenia go – stwierdził ostrożnie i zerknął na Lindę z ukosa.

– To dość powszechny błąd logiczny popełniany przez patriarchalnych mężczyzn – odparła zimno dziewczyna. – Wam się wydaje, że każda z nas jest damą w opałach, którą należy rycersko uratować, otoczyć tarczą testosteronu, a w zamian będziemy, z tej nieugaszonej wdzięczności, do końca życia spełniać wasze oczekiwania, bo przecież tylko po to istniejemy. Żeby was kochać, ubóstwiać, podziwiać i świecić światłem odbitym od naszego słońca. Ale niech tylko któraś postanowi przestać odbijać to światło, ooooo, wtedy to

koniec świata. Rozwijać się? A po co! Przecież od tysięcy lat nic się nie zmieniło i pamięć mięśniowa oraz genetyczna doskonale wie, jak rodzić i karmić nowo narodzone dzieci. Zdobywać wiedzę? A cóż to za wymysły! Jeszcze okażemy się mądrzejsze od naszych słońc i co wtedy? Usamodzielnić się finansowo? No to dopiero! Zaraz wyjdzie na to, że możemy sobie same poradzić z tym okropnym życiem! Nadążasz, Dżer?

– Zdaje się, że tak – mruknął patolog.

– Znakomicie – pochwaliła Linda. – A jeśli, o bogowie, możemy sobie same poradzić, to nasi rycerze, nasze słońca, nasz sens życia i radość codzienna, będą potrzebni jak świni siodło. Bo teraz to już nawet do seksu nie są nam potrzebni, odkąd wymyślono o wiele skuteczniejsze zabawki erotyczne. No co? Nie bądź już takim cnotkiem. Dziwnym trafem mężczyźni od okresu dojrzewania są zaznajamiani z umiejętnością rozładowywania napięcia seksualnego w pojedynkę, ale kobietom odmawia się tej wiedzy. Mało tego: to kobiety wciąż są uczone pokornego czekania na właściwy moment, mają trzymać swój „kwiat niewinności" i oddać go „temu jedynemu". Cóż za bzdura rodem ze średniowiecza! Ja rozumiem, że w dwunastym wieku życie trwało w porywach dwadzieścia lat i wtedy faktycznie nie było za bardzo czasu na rozdawnictwo cnoty. Ale teraz? Proszę… I nawet nie każ mi zaczynać o tym, jak to wygląda w krajach muzułmańskich, bo mogłoby mnie ponieść. Powiem ci, Dżer – zwróciła się do niego całym ciałem – jakby mi jakiś facet kazał łazić w stroju ninja, a on sam opalałby schaby w kąpielówkach Hilfigera, tobym wzięła najcięższe wydanie Koranu i przypadkiem spuściła je na ten zakuty łeb.

Organek milczał. Wcale nie podobały mu się rejony, na jakie wypłynęła ta rozmowa będąca bardziej tyradą wygłaszaną w obronie kobiet. I właściwie z tym ostatnim zgadzał się w pełnej rozciągłości – doskonale wiedział, że ostatecznie nie ma żadnego znaczenia, kto leży na jego stole. W obliczu śmierci płeć nie odgrywała żadnej roli, dlaczego więc za życia miałoby być inaczej? Jako naukowiec, medyk w szczególności, nigdy nawet nie pomyślał o nadrzędności mężczyzn nad kobietami, jednak w gorzkich słowach Lindy kryło się sporo prawdy. Co wcale nie oznaczało, że zrozumiał, dlaczego rozstała się z Bartmanem.

– Lindo, czy Ajax Bartman…? – zaczął, zastanawiając się, jak sformułować pytanie, jednak nie zdążył, bo panna Miller najwyraźniej jeszcze nie postawiła ostatniej kropki.

– Miałam dwadzieścia lat, Dżer. Dwadzieścia! Byłam dzieciakiem, który dopiero odkrywał, po co żyje, co chce z tym życiem zrobić, a ten mi wyjechał z jakimiś oświadczynami! – perorowała, zaciskając pięści, jakby na nowo przeżywała tamte emocje. – I wiesz, gdyby to było: „Lindo, zorganizujmy sobie bardzo długie zaręczyny, takie na dwadzieścia lat", to proszę bardzo, nawet bym się zgodziła, bo ten pierścionek jest naprawdę kozacki, ale on chciał już, zaraz! Dzieci miałam mu rodzić, obiadki gotować, dbać o płomień domowego ogniska. A takiego! – Tę dramatyczną wypowiedź skwitowała gestem kojarzonym z Kozakiewiczem.

– Czyli rozstaliście się, bo byłaś za młoda na poważny związek? – Jeremi wolał się upewnić, że dobrze zrozumiał.

– Rozstaliśmy się, bo ten ćwok za nic miał moją potrzebę niezależności, samorozwoju i osiągnięcia czegoś w życiu. Chciał, żebym przerwała studia i wyjechała z nim do Chin czy tam Wietnamu. Albo może to była wycieczka po Azji… Pomysł zacny, tylko dlaczego musiało to być akurat wtedy, kiedy zaczynała się sesja? Pomyśl tylko, mój doktorku, gdybym zgodziła się wtedy zostać panią Bartmanową, to kto pomógłby ci znaleźć zaginięte zwłoki rusałki, co?

Jeremi musiał myśleć o tym samym, bo pod jego nosem błąkał się rozanielony uśmieszek. Nagle jednak zastąpił go mars, który zupełnie nie pasował do muśniętej słońcem przystojnej twarzy sobowtóra George'a Clooneya.

– Nie podoba mi się to wszystko, Lindo – stwierdził poważnie. – Mam nieodparte wrażenie, że to ma jakieś drugie dno. Być może rzeczywiście otrzymałaś samochód przez wzgląd na łączącą cię niegdyś relację z panem Bartmanem, nie wykluczam takiego scenariusza, jednak fakt, że ktoś podrzucił ciało akurat do tego auta, nie wydaje mi się ani trochę przypadkowy. Mimo wszystko nie żyjemy w owładniętym wojną gangów Chicago lat trzydziestych, polska mafia stara się działać nieco mniej ostentacyjnie i raczej rzadko się zdarza, żeby ktokolwiek wykorzystywał zwłoki jako…

– …wiadomość – dokończyła Linda, doskonale rozumiejąc tok myśli Organka. – Zgadza się, to była wiadomość. A konkretniej: wiadomość dla mnie, podobnie jak przekazanie mi corvetty. Od razu zauważyłam, że ktoś, najprawdopodobniej eks denat, wymienił w niej podsufitkę, i wiedziałam, że ty

też zwrócisz na to uwagę. To jest wiadomość, Dżer, do mnie i być może do ciebie. Módlmy się tylko, żeby gliny tego nie dostrzegły.

9
WIEDZIAŁEM, ŻE TEN CHŁOPAK OZNACZA KŁOPOTY!

– No, no, no, brzmi niemal jak scenariusz na komedię gangsterską – podsumował nadinspektor Wilczyński, kiedy Bączek złożył mu raport. – Bezdzietny dziedzic bajecznej fortuny zostawia byłej dziewczynie schedę i zagadkę do rozwiązania. Techniczni potwierdzili?

– Na razie nieoficjalnie, ale Surowczyk ma fioła na punkcie samochodów i ilekroć jakiś kupuje, najpierw wymienia podsufitkę. Według niego ta jest świeżutka. – Komisarz Bączek ułożył się wygodnie na kanapie i przysunął wiatrak na odległość kilkunastu centymetrów. – Trochę ci poszumię, ale inaczej się nie da. Upał jak sto pięćdziesiąt.

– Ja mam luksus – odparł z wyraźnym zadowoleniem Wilczyński. – Klima tu działa bez zarzutu, nawet trochę marznę. A co z tym z bagażnika?

– Na ubraniach żadnych śladów, wszystko czyste, musiał być zawinięty w folię. Remik priorytetowo zajmie się ustaleniem przyczyny zgonu, ale wygląda na uduszenie.

– Słuchaj, Michaś, jak chcesz odpocząć, to dam tę sprawę komuś innemu, może Krzysiek w końcu się wykaże i przestanie mieć fochy.

Bączek bardzo chciał odpocząć, jeszcze bardziej chciał jednak, żeby jego szef mógł dojść do zdrowia, nie wydzwaniając po podwładnych z ośrodka

leczniczego, w którym z całą pewnością zabroniono mu się denerwować. Udar w wieku nadinspektora Wilczyńskiego to nie przelewki, całe szczęście, że szybko udało się rozpoznać objawy i była duża szansa na to, że straty okażą się niewielkie, może całkiem odwracalne. Jednak w tym celu powinien odsunąć się od stresującej roboty i zająć sobą.

– Odpocznę, gdy wrócisz – odparł łagodnie Bączek. – Miejmy nadzieję, że do tego czasu uda się zamknąć tę sprawę. W tej chwili muszę przede wszystkim ustalić, czy Miller i Organek mają takiego pecha, czy może kłopoty to ich specjalność.

– Podejrzewasz ich o maczanie paluchów przy zwłokach?

– Służbowo: oczywiście, prywatnie: bynajmniej. Dziewczyna wydawała się zaskoczona otrzymaniem samochodu, prawnik wykonujący postanowienia testamentu potwierdził, że nigdy wcześniej nie miał z nią kontaktu, a spadkodawca nie znał jej aktualnego adresu, miał adres matki. Jak na razie wszystko się zgadza. Organek wspomniał o udziale w badaniach ciał rodziców tego całego Ajaksa i wygląda na to, że to jedyny związek, jaki miał z dramatis personae.

– Można więc zaryzykować teorię, że samochód rzeczywiście został przekazany w dobrej wierze, a następnie ktoś go wykorzystał do porzucenia ciała nieznajomego chłopaka.

– Albo… – Bączek nie wydawał się do końca przekonany. – Albo można założyć, że samochód został przekazany w celu odnalezienia w nim zwłok. Nie mamy ani jednego świadka podrzucania ciała do bagażnika, nie wiadomo, czy przypadkiem nie przyjechało razem z prawnikiem.

– Mówiłeś, że zarówno panna Miller, jak i Organek stanowczo zaprzeczają tej wersji wydarzeń – przypomniał Wilczyński.

– Owszem, ale to nie oznacza, że całkiem im wierzę. Może znają chłopaka i od razu się zorientowali, o co w tym chodzi.

– Eeee, nie wydaje mnie się – zbył go pryncypał. – Gdyby tak było, raczej nie narobiliby rabanu, a przecież już wszystkie portale internetowe pokazują zdjęcie Starskiego patrzącego na rudowłosą pannę Miller jak na kosmitkę ogłaszającą, że anektuje Ziemię.

Bączek się zasępił. Intuicja podpowiadała mu, że szef ma rację, doświadczenie przekonywało, że tych dwoje znowu przypadkiem trafiło na

jakąś aferę, jednak zawodowa etyka nakazywała wątpić tak długo, jak długo nie wykluczy się winy.

W słuchawce telefonu rozbrzmiał sygnał drugiego połączenia. Komisarz oderwał aparat od ucha, spojrzał na ekran i rzucił szybko do rozmówcy:

– Kazik, oddzwonię, mam Remika na drugiej linii! – I nie czekając na reakcję nadinspektora, przełączył rozmowę. – Pamiętaj, aby dzień święty święcić, przyjacielu!

– Michałku, każda rozmowa z tobą ma wymiar duchowy i prowadzi do nirwany – odpowiedział Remigiusz Baczmański, guru wrocławskiej medycyny sądowej. – Mam wieści, które zapewne cię ucieszą. Zidentyfikowałem klienta.

– Żartujesz?! – Bączek podniósł się z sofy tak gwałtownie, że zakręciło mu się w głowie i musiał usiąść. – Jesteś pewien, że nie masz w sobie krwi czarownicy?

– Nie wykluczam, przyjacielu, jednak tym razem to nie żadne czary. Chłopak ma na plecach wytatuowany obraz, niemal w naturalnej skali. Znalezienie tatuatora nie nastręcza problemu, niewielu w Polsce jest takich artystów, a tak się składa, że mój bratanek jest jednym z nich. Od razu rozpoznał kreskę i skontaktował mnie z tym właściwym. Twój denat nazywał się Mariusz Żywiuszko. Dalej już sobie chyba poradzisz, panie komisarzu.

Bączek podziękował, zanotował nazwisko na karteczce, której przez chwilę przyglądał się z niedowierzaniem, po czym wysłał wiadomość do Wilczyńskiego. Nie miał czasu dzwonić, zrobi to później. Najpierw skontaktuje się z kolegą z liceum.

Otworzył aplikację Facebook, wyszukał odpowiednią osobę i napisał krótką wiadomość. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast i brzmiała: „To mój bratanek”.

Wojciech Żywiuszko zjawił się w komendzie przy Podwalu pół godziny później w towarzystwie brata. Bączek nie posądziłby mężczyzn o wspólny genotyp,

gdyby nie dostał wcześniej zdjęcia przedstawiającego obu w towarzystwie młodego chłopaka i opatrzonego podpisem: „Ja z Waldkiem i Mariuszem".

Komisarz przywitał się z dawnym kolegą, uścisnął dłoń jego bratu, który wymamrotał coś, co brzmiało jak „mamemar", a z pewnością oznaczało „Waldemar", i zaprosił ich do swojego gabinetu. Bez pytania nalał każdemu wodę, postawił przed mężczyznami szklanki i usiadł za biurkiem.

Nie wiedział, jak zacząć, bo to zawsze było szalenie trudne, na szczęście Wojtek przejął inicjatywę.

– Znaleźliście Mariusza – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Na dźwięk imienia syna Waldemar Żywiuszko drgnął, a dłonie zacisnęły mu się w pięści.

– Musimy to potwierdzić, jednak wiele na to wskazuje – odparł ostrożnie Bączek.

– On nie żyje, prawda? – Zachrypnięty głos Waldemara załamał się na końcu, a mężczyzną wstrząsnął szloch.

W takich chwilach komisarz Michał Bączek nienawidził swojej pracy i wolałby kopać rowy albo nawet wybierać szambo. Bo czy może być coś gorszego niż informowanie rodziców o śmierci ich dziecka? Czy w ogóle da się nie złamać komuś serca, zawiadamiając o odejściu bliskich? Szlag by to trafił!

– Panie Waldemarze… – zaczął głucho, z trudem rozpoznając własny głos. – Jeśli nasze przypuszczenia się potwierdzą…

– Mów prosto z mostu, Michał – przerwał mu Wojtek, obejmując brata ramieniem. – Jeśli to Mariusz, chcemy się dowiedzieć, co się z nim stało. Wypadek?

– Jeszcze niczego nie jestem w stanie powiedzieć, trwają czynności – odrzekł Bączek, uważnie dobierając słowa.

– Gdyby to był wypadek, raczej by nas tu nie wezwał – wtrącił Waldemar. Po jego bladych policzkach toczyły się wielkie łzy, kończące podróż na koszulce. – Pan jest z kryminalnej, prawda?

– Tak, jestem z kryminalnej. – Nie było sensu zaprzeczać; nikt, włącznie z Baczmańskim, nie wierzył, że chłopak przypadkiem zadzierzgnął pętlę na szyi i stracił życie. A już na pewno sam nie wpakował się pośmiertnie do bagażnika. – Zwłoki młodego mężczyzny, prawdopodobnie pańskiego syna, zostały znalezione w bagażniku samochodu. Dopóki nie potwierdzimy

wszystkich okoliczności śmierci, nie będziemy mogli wydać panu ciała. Okazanie będzie możliwe najprawdopodobniej jutro.

– Mariusz nie miał samochodu – poinformował Wojtek. – Do kogo należał ten, w którym go znaleźliście?

Bączek się zawahał, ponieważ intuicja nagle błysnęła niczym supernowa, zmielił w ustach nazwisko Lindy i oznajmił:

– Do niejakiego Ajaksa Bartmana.

– Kurwa mać!!! – ryknął pogrążony w rozpaczy ojciec i gwałtownie wstał z krzesła, które z impetem się przewróciło. – Wiedziałem, wiedziałem, że ten chłopak oznacza kłopoty! Od początku ostrzegałem Mariusza, żeby nie wchodził w żadne układy z tym rozpuszczonym snobem. Wiedziałem, do cholery, wiedziałem!

Komisarz Michał Bączek, przywoławszy na twarz najbardziej obojętną minę, na jaką było go stać, przybił sobie piątkę z intuicją, która właśnie tańczyła taniec zwycięstwa. No proszę, no proszę, może jednak uda mu się uszczknąć coś z tego urlopu.

10
JA WŁAŚCIWIE TO CHYBA WIEM, DLACZEGO EKS DENAT ZOSTAWIŁ MI TEN SAMOCHÓD

Jeremi zaparkował pod domem Lindy na uroczym osiedlu Malowniczym, po czym z głośnym stękiem wytargał walizę z bagażnika i z jeszcze głośniejszym odstawił ją do przedpokoju. Miał nadzieję, że dziewczyna nie każe mu tachać tego tobołu na piętro, i na szczęście się nie pomylił.

– Chodź na kawę. Zostaw to tam, gdzie stoi – poleciła Linda. – Igi nie ma w domu, wyjechała na Mazury, więc nie grozi ci przerażająca do szpiku kości wizja rozmowy towarzyskiej.

Organek mruknął coś zupełnie niezrozumiałego i podążył za gospodynią. Kawa wydawała się doskonałym pomysłem, w dodatku wciąż czuł, że nie dotarli do sedna sprawy zagadkowego legatu po obrzydliwie bogatym Ajaksie Bartmanie.

W niewielkim saloniku pełniącym także funkcję jadalni panował przyjemny chłód, za co odpowiadały zasunięte zewnętrzne rolety. Linda włączyła ekspres, nucąc coś cichutko, a Organek usiadł przy stole i jak czynił za każdym razem, utkwił wzrok w obrazie przedstawiającym scenę z siedemnastowiecznej tawerny, w której bawili się żeglarze.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego powiesiłaś tu tę reprodukcję – stwierdził znienacka.

– To nie jest reprodukcja, to oryginalny Steen – odparła z nonszalanckim uśmiechem. – Znalazłam go na targu staroci w Brukseli.

Jeremi uniósł brwi i zamrugał kilka razy. Spojrzał na Lindę, spodziewając się, że dziewczyna mrugnie albo prychnie, tymczasem ona wyglądała na poważną.

– No co ty, to chyba niemożliwe… – mruknął, po czym podniósł się z krzesła. Podszedł do ściany i zaczął oglądać obraz, niemal szurając nosem po powierzchni. – Wygląda jak Steen, ale przecież nikt nie pozbyłby się barokowego arcydzieła. To musi być replika.

– To oryginał, Dżer – powtórzyła Linda. Wyjęła dwie filiżanki spod ekspresu i ruszyła wraz z nimi do stołu. – Tak się składa, że zbadał go historyk sztuki i potwierdził autentyczność. Według niego to jeden z blisko pięciuset obrazów, które zaginęły.

– To ktoś sprawdzony? Może trzeba zrobić drugą ekspertyzę?

Linda zarzuciła rudą czupryną i prychnęła niczym obrażona kotka.

– To była druga ekspertyza, w dodatku wykonana przez najlepszego historyka sztuki, jakiego wydała nasza dolnośląska ziemia. Nie znam nikogo, kto miałby większą wiedzę na temat siedemnastowiecznego malarstwa europejskiego. Jeśli powiedział, że to autentyczny Jan Steen, to ja mogę postawić na szali własną głowę i głowę mojej mamusi. Wiele mogę o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że nie zna się na swojej robocie.

– Dobrze już, dobrze, nie denerwuj się! – Organek uniósł dłonie na wysokość obojczyków. – Nie chciałem obrazić twojego… przyjaciela.

– Nie, spoko, możesz go obrażać, bo to w końcu była menda, ale jego wiedzy jestem pewna jak tego, że ty znasz się na anatomii. Ajax był geniuszem i podejrzewam, że mógłby zrobić zawrotną karierę, gdyby nie był przy okazji tak okropnie leniwy.

– Ajax? Ajax Bartman?

– A jak wielu znasz ludzi, którzy otrzymali imię w hołdzie dla ukochanego klubu piłkarskiego swojego ojca? Proszę cię, tylko nie mów, że jest ich więcej…

– Poznałem kiedyś człowieka, który chciał dać synowi na imię Arturboruc, ale żona ostro się sprzeciwiła i ostatecznie został chyba Filip –

odrzekł Organek, jak zawsze nie wyczuwając sarkazmu. – Rozumiem więc, że zaginiony obraz Jana Steena znalazł się na brukselskim pchlim targu, a ty go nabyłaś i Ajax Bartman potwierdził jego autentyczność ponad wszelką wątpliwość. Nie miałem pojęcia, że twój były zajmował się sztuką.

– Nic dziwnego, o wiele bardziej kojarzył się z wandalskimi rysunkami na pociągach, ale prawda jest taka, że znał się na swoim fachu. Właściwie to dzięki malarstwu się poznaliśmy, w muzeum w Hadze.

– Ach tak, słynny Mauritshuis. – Na twarz Organka wypłynął wyraz rozanielenia. – Historia niewolnictwa kolonialnej Holandii.

– To akurat podobało mi się najmniej – stwierdziła Linda. – Za to wystawa holenderskich mistrzów pędzla zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Vermeer to był gość. I właśnie obrazy Steena przypominają mi kreskę Vermeera, co nieopatrznie powiedziałam eks denatowi. Tak mnie wtedy zrugał, że zaczęłam wątpić w swój zmysł wzroku.

– Dla mnie wszyscy ci Flamandowie uczyli się w jednej klasie – oznajmił Jeremi z uśmiechem.

– Dobrze, że eks denat tego nie słyszy… Chyba że słyszy i zaraz spuści ci na głowę kawałek sufitu albo odsunie krzesło czy coś… Myślisz, że gliny wciąż mnie podejrzewają? – rzuciła nagle, zaskakując patologa.

– Też się nad tym zastanawiam. Myślę, że gdy ustalą tożsamość denata i nie znajdą żadnych powiązań między wami, dadzą ci spokój.

– To świetnie, oby więc ustalili jak najszybciej i oddali mi samochód. – Linda opadła na krzesło z głośnym westchnieniem. – Siadaj, Dżer, bo muszę ci powiedzieć coś jeszcze i twoje stare kolana mogą tego nie wytrzymać.

Niemalże nieomylna intuicja doktora Jeremiego Organka zaczęła wysyłać mu niepokojące sygnały. Nie były to subtelne błyski albo delikatne drgania, nie, nie. Podświadoma wiadomość przypominała bardziej walenie w afrykańskie bębny, nawołujące do uzbrojenia się do walki z niebezpiecznym przeciwnikiem.

Bez słowa, z pierwszymi oznakami zbliżającej się migreny, Jeremi usiadł naprzeciwko Lindy i oparł łokcie na stole. Na splecionych dłoniach ułożył brodę, nie odrywając wzroku od twarzy dziewczyny.

– Słuchaj, Dżer, bo ja… – Głos ugrzązł jej w gardle i w panice upiła łyk kawy, co jedynie pogorszyło sytuację, gdyż kawa była piekielnie mocna i gorzka. Linda odchrząknęła i po chwili dokończyła myśl: – Ja właściwie to

chyba wiem, dlaczego eks denat zostawił mi ten samochód. I raczej nie wynikało to z faktu, że w obliczu śmierci znalazł w sobie pokłady niespełnionej miłości…

Organek zacisnął szczęki, co uwydatniło jego pięknie zarysowaną żuchwę i jeszcze bardziej upodobniło go do przystojnego aktora. Linda złapała się na myśli, że właściwie mogłaby się w nim zakochać, gdyby go nie znała. Nie wyglądał na swój wiek, a poza tym, jak wyłożyła mu w drodze do Ślęży, takie związki się zdarzały i wcale nie były gorsze niż te pomiędzy rówieśnikami.

Jeremi tymczasem aktualnie żywił do Lindy uczucia zgoła odmienne. Jeśli wierzyć temu, że prawdziwą miłość może rozdzielić jedynie śmierć, to on właśnie był na etapie rozmyślania o zakończeniu związku kiełkującego w głowie rudowłosej blogerki.

Nadinspektor Kazimierz Wilczyński rozkoszował się urokami urlopu w Ustce, szczególną zaś rozkosz przynosiła mu idealnie lodowata lemoniada, którą zagryzał drugiego już pączka z nadzieniem jagodowym, kiedy jego telefon zawibrował na blacie stolika. Małżonka nadinspektora uniosła brew, co stanowiło pierwszy z sygnałów ostrzegających przed zbliżającą się zmianą nastroju.

– Piękny dzień, nieprawdaż? – Wilczyński zignorował zarówno uniesioną brew, jak i przyczynę uniesienia. – Ach, właściwie to mógłbym już wieść spokojne życie emeryta.

– Mhm. – Pani Wilczyńska była tego zdania mniej więcej od dwudziestu lat, więc odkrycie nadinspektora stanowiło dla niej nihil novi.

– Moglibyśmy wreszcie zwiedzić te wszystkie zamki krzyżackie, pojechać na Kaszuby, może nawet połazić po górach. O, Bieszczady nam się kiedyś marzyły! – Oj nie, nie było tak łatwo zbyć Kazimierza Wilczyńskiego, kiedy postanowił osiągnąć jakiś cel. A skoro postanowił udobruchać małżonkę, to to zrobi, choćby sam minister wydzwaniał na tę jego nieszczęsną komórkę.

– Może najpierw spróbuj wejść na Ślężę, zanim wybierzesz się gdzieś dalej – zakpiła jego żona i nonszalancko oblizała łyżeczkę, którą wymieszała trzy porcje cukru w maleńkiej filiżance z kawą.

Oboje musieli mówić nieco podniesionymi głosami, bo telefon ani na moment nie przestawał dzwonić. Jego wibrowanie sprawiło, że na powierzchni kawy pani Wilczyńskiej pojawiły się niewielkie fale.

– Nic się nie martw, kochanie, w końcu będę miał też czas na chodzenie na siłownię. Poprawię kondycję, odzyskam figurę i… Noż cholera jasna zaraz mnie weźmie z tym brzęczeniem!!! – Sięgnął po poruszający się aparat i już chciał odesłać dzwoniącego do poczty głosowej, kiedy ręka zastygła mu, jakby nagle odcięło jej prąd.

– Odbierz, Kazik, przecież oboje doskonale wiemy, że Bączek nie zawracałby ci głowy, gdyby to nie było naprawdę pilne – powiedziała z niezmąconym spokojem małżonka nadinspektora, po czym pod nosem wymruczała: – Tak jak oboje wiemy, że umrzesz na służbie.

Nadinspektor odetchnął z ulgą tak wyraźną, że ubyły mu chyba ze trzy kilogramy, i chwycił telefon.

– Melduj! – krzyknął do aparatu i zawahał się, czy ugryźć pączka, ale ostatecznie uznał, że to niebezpieczne przed wysłuchaniem niusów.

– Kazik… – Głos w słuchawce brzmiał tak, jakby Bączek chciał się rozpłakać. – Grubo jest. Nici z ROD-os, dupa z urlopu. Mamy bajzel jak nastolatek w szufladach biurka.

– No to faktycznie… – Wilczyński definitywnie zrezygnował z jedzenia pączka i odłożył go na talerzyk. Następnie odsunął talerzyk na przeciwny kraniec stołu, żeby go nadto nie kusił.

– Mówić chronologicznie czy od końca?

– Będę musiał komentować w języku uznawanym za nieelegancki? – Nadinspektor zerknął z ukosa na małżonkę, która wydawała się całkowicie spokojna. Zły znak, bardzo zły.

– Całkiem prawdopodobne – stwierdził prostolinijnie komisarz Bączek. – Ja trochę nagrzeszyłem.

Kazimierz Wilczyński westchnął głośno, po raz ostatni spojrzał z żalem na pokryty lukrem smakołyk, który będzie musiał poczekać na swoją kolej, a następnie wolno podniósł się z krzesła. Pani nadinspektorowa ostentacyjnie milczała i udawała głuchą.

– Dobra, zmierzam do ustronnego miejsca, wal – rzucił do słuchawki. – Mam nadzieję, że nie będę musiał wracać z tych wywczasów, bo to mogłoby się równać rozwodowi.

Bączek przyłączył się do trwania w nadziei, bowiem lubił panią Wilczyńską, a szczególnie jej kanapki z szarpaną wieprzowiną, po czym przystąpił do roztaczania przed pryncypałem opowieści na temat ostatnich odkryć. W miarę jak dochodziły kolejne fakty, mina nadinspektora rzedła, a na koniec ze zmarszczonym z wściekłości czołem wydyszał:

– Niech no ja dorwę tę Miller, to jej te rude kłaki powyrywam własnymi rękami, nieodzianymi w rękawiczki. W kuper cmokana niedożywiona gęś by to kopnęła!

– Amen – wyszeptał Bączek, zanim się rozłączył. Na jego czole perlił się pot, a koszula przykleiła się do ciała, nie tylko wskutek upału.

– Możliwe, że zataiłam coś przed policją – mówiła Linda, zupełnie nie w swoim stylu cedząc słowa – ale zrobiłam to w dobrej wierze! Możliwe też, że coś znalazłam w samochodzie, poza trupem rzecz jasna, ale policji na nic by się to zdało, bo to była wiadomość dla mnie.

Organek wyglądał na kompletnie nieporuszonego. Nic, zero. Żadnych emocji. W ogóle go to nie obeszło, wpadło i wypadło, możliwe, że wcale nie słuchał.

A jednak słuchał, w dodatku z uwagą, i wyciągał z tych zasłyszanych rewelacji wnioski.

– Lindo, z pewnością masz świadomość, że zatajanie istotnych informacji przed prowadzącymi postępowanie w sprawie o zabójstwo…

– Na razie w sprawie o znieważenie zwłok – wpadła mu w słowo, ale szybko zamilkła, gdy tylko stalowe spojrzenie zakłuło ją w czoło z niespotykaną mocą.

– …jest przestępstwem? A w twoim przypadku to byłaby już recydywa? Przypominam ci także, że nadinspektor Wilczyński ostrzegł cię expressis

verbis, co ci zrobi, jeśli jeszcze kiedykolwiek będziesz mataczyć. Ba! Zobowiązał cię do złożenia przysięgi, że nigdy nie będziesz już przeszkadzać, a ty tę przysięgę złożyłaś.

– Eeee tam. – Linda machnęła lekceważąco ręką. – Przecież byłam pewna, że już nigdy nie będę musiała w jakimkolwiek jego śledztwie występować w jakimkolwiek charakterze, a więc mogłam mu wszystko obiecać. Gdyby mnie poprosił o przysięgnięcie, że nigdy nie zaśpiewam na scenie z Whitney Houston, też bym to zrobiła. Nawet teraz! I przysięgłabym na życie mojej mamusi. Natomiast jeśli Whitney zmartwychwstanie albo na przykład jej duch zacznie występować i zaprosi mnie do duetu, to co ja mam wtedy zrobić? Kto to przewidzi?

Organek zaczynał przejawiać oznaki zniecierpliwienia. Nie jakieś wyraźne, brońcie bogowie! Takie tam, najzwyklejsze: zaciśnięte szczęki, morderczy wzrok, rozdymające się nozdrza.

– Poza tym – ciągnęła niezrażona, acz odrobinę przestraszona dziewczyna – jestem przekonana, że trup i gryps od eks denata nie mają ze sobą żadnego związku. Tak, właściwie to jestem tego pewna tak samo jak tego, że jednak nie wystąpię razem z Whitney.

Jeremi wciąż milczał. W normalnych okolicznościach nie byłoby to nic niezwykłego, jednak teraz sytuacja wymagała choćby najmniejszego odruchu oznaczającego, że zachodzi jakaś interakcja między uczestnikami rozmowy. Brak reakcji był najgorszym z możliwych scenariuszy i jego Linda obawiała się najbardziej. Kiedy więc po niewymownie długiej ciszy, jaka zapadła po ostatnich słowach wypowiedzianych przez Lindę, Organek w końcu rozluźnił mięśnie twarzy i otworzył usta, z piersi dziewczyny wydobyło się głośne westchnienie, jakby wypuściła zbyt długo wstrzymywany oddech.

– Z tego będą kłopoty – stwierdził krótko patolog i to był jego jedyny komentarz.

11

ZAWSZE ZNAJDZIE SIĘ JAKIEŚ ROZWIĄZANIE. CZASEM ŁADNIEJSZE, CZASEM BRZYDSZE, WAŻNE, ŻEBY BYŁO SKUTECZNE

Nie wiadomo, jak długo komisarz Michał Bączek musiałby gonić własny ogon i działać po omacku, gdyby nie jego przyjaciel, doktor Remigiusz Baczmański, sława Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Sława, dodajmy, dość niejednoznaczna, gdyż wśród studentów doktor Baczmański budził raczej trwogę, jeśli nie panikę, wśród współpracowników głównie zawiść, zaś policjanci – szczególnie ci z pionu kryminalnego – wielbili go niczym złotego cielca. Byli jeszcze koledzy po fachu, patolodzy, patomorfolodzy, toksykolodzy i wszelkiej maści „lodzy" zajmujący się kwestiami ludzkiego ciała – dla nich Baczmański był gwiazdą rocka. Nie ma zresztą czemu się dziwić, skoro – jak kiedyś z nudów policzył nadinspektor Wilczyński – sześćdziesiąt dwa procent trudnych spraw kryminalnych rozwiązano dzięki geniuszowi medyka. A to skojarzył amalgamat produkowany już tylko w krajach byłego bloku wschodniego, dzięki czemu zidentyfikowali ofiarę, która nigdy nie miała zostać zidentyfikowana, a to

rozpoznał znamię o dziwnym kształcie albo przypomniał sobie, że na jednym z sympozjów poznał szalonego wielbiciela kotów, który opowiedział mu o bakterii przenoszonej przez ten gatunek pod pazurami, dzięki czemu toksykolodzy mogli zawęzić badania porównawcze. Człowiek orkiestra, geniusz, omnibus i nieocenione wsparcie wrocławskich organów ścigania.

Zgodnie z od wielu lat praktykowaną tradycją ów skarb w ludzkiej postaci siedział właśnie nad partią szachów w zaciszu zastawionego księgami gabinetu i cierpliwie oczekiwał na ruch komisarza Bączka, który tego dnia wydawał się zupełnie rozkojarzony. Zwykle bystry i przewidujący, podstawiał się koncertowo, zaliczając najpodlejszą przegraną w swoim życiu.

– Michaś, czy ty mógłbyś chociaż udawać, że nie chcesz przegrać jak największy patałach? – Głos Baczmańskiego brzmiał ciepło, ale słychać w nim było także troskę.

– Co? – spytał nieprzytomnie Bączek. – Przepraszam, możesz powtórzyć?

– Mogę, ale nie chcę. Co się dzieje, chłopaku?

– Ech… Szkoda gadać. – Policjant cmoknął z niesmakiem. – Miałeś kiedyś ochotę kogoś udusić, chociaż wiedziałeś, że to niemoralne i niezgodne z prawem?

– Już dawno nie. – Patolog się zamyślił. – Ze dwa dni będą. Życiowy rekord, ale to dlatego, że nie mam studentów w poniedziałki i wtorki. Kto ci tak zalazł za skórę?

– Pamiętasz Jeremiego Organka? – Ledwo wypowiedział te słowa, pojął ich idiotyzm.

– No wiesz! – Oburzenie Baczmańskiego było szczere aż do bólu. – Niezwykły człowiek, znakomity medyk i genialny basista! Nie mów, że to jego chcesz mordować, bo się pogniewamy!

– Nie, nie jego. – Bączek zaprzeczył tak szybko, że prawie się zakrztusił śliną. – Chyba że się okaże wspólnikiem panny Miller, to wówczas nie wykluczam.

– Ach, młodzieniec od tatuażu – domyślił się bezbłędnie Remigiusz. – Rudowłosa dziedziczka mścicieli Lebensbornu nabroiła?

Bączek po raz pierwszy od dłuższej chwili spojrzał na szachownicę z uwagą i natychmiast pojął, że przegrał już dawno i jedynie pełna troski uprzejmość Baczmańskiego uchroniła go przed wstydem. Przewrócił figury

jednym machnięciem dłoni i podniósł wzrok na skupioną twarz przyjaciela. Czy ten Remik zawsze był taki przystojny?

– O samochodzie wiesz – powiedział. – Denat zidentyfikowany, teoretycznie powiązań między Żywiuszką a Miller nie ma. Ale technicy znaleźli w podsufitce dowody przechowywania pod nią czegoś, które to coś zniknęło raczej niedawno. Sądząc po mikrośladach na rozcięciu, po kurzu i tych wszystkich innych pierdołach, które badają technicy, prawdopodobnie stało się to wtedy, gdy w samochodzie znalazły się zwłoki.

– Ha! – Oczy Baczmańskiego zabłyszczały z zaintrygowania. – I podejrzewasz, że sprawczynią tego, że znaleźliście tylko rozcięcie zamiast niespodzianki, jest panna Miller?

– To najbardziej prawdopodobna wersja – odparł ostrożnie Bączek.

– A panna Miller stanowczo zaprzecza? – zgadywał dalej, wciąż trafnie, patolog.

– Mówiąc wprost: udaje Greka. I robi to tak umiejętnie, że sam zaczynam się zastanawiać, czy nie mówi prawdy.

– Ale nie jesteś przekonany, bo gdybyś był, to nie położyłbyś całej partii szachów – podsumował Baczmański. – Mogę dać ci tylko jedną radę, Michaś: zaufaj intuicji, ona jeszcze nigdy cię nie zawiodła.

– Mądrego to zawsze miło posłuchać – rozległo się od strony drzwi i obaj mężczyźni natychmiast przenieśli wzrok na przybysza.

Nadinspektor Wilczyński, nieco bardziej rumiany niż zwykle, co było skutkiem kilkudniowej ekspozycji na słońce, opierał się o framugę z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Gdyby nie brak sumiastego wąsa, mógłby z powodzeniem uchodzić za wcielenie Onufrego Zagłoby.

– Tak tu sobie przyjemnie rozmawiacie, nie chciałem wam przeszkadzać – oznajmił z ledwo słyszalną drwiną – ale obawiam się, że musimy wracać do roboty, Michaś.

– Myślałem, że przyjedziesz dopiero jutro – odparł Bączek, któremu widok przełożonego dodał otuchy.

– A tu niespodzianka! – Wilczyński się wyszczerzył. – Zbieraj się, komisarzu, jedziemy na pogaduchy. Już ja wiem, jak wykorzystać tę twoją sławetną intuicję.

Baczmański poklepał Bączka po ramieniu z jowialnym uśmiechem.

– No widzisz, Michaś, zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie. Czasem ładniejsze, czasem brzydsze, ważne, żeby było skuteczne.

– Rozumiem, że ja jestem to ładniejsze – żachnął się Wilczyński.

– Jeśli tak podpowiada ci intuicja… – Patolog mrugnął figlarnie do starego przyjaciela. – No dobra, chłopaki, jedźcie. Widzimy się w sobotę, Kazik. I pozdrów małżonkę.

– Bardzo śmieszne – skomentował nadinspektor, któremu mina nagle zrzedła. – Tak się wściekła, że została w tej Ustce. Nici z wieprzowinki do brydża.

Dzwonek do drzwi zupełnie nie zdziwił Lindy, która spodziewała się wizyty policjantów, jednak miała nadzieję, że zajmie im to nieco dłużej. Miałaby wtedy czas na lepsze obmyślenie łgarstw, którymi zamierzała uraczyć komisarza Bączka, a tymczasem będzie zmuszona szyć.

– Dzień dobry, panie… – powiedziała nienaturalnie głośno, otwierając drzwi, z nienaturalnie szerokim uśmiechem, który momentalnie zastygł jej na ustach – …nadinspektorze?

Widok Wilczyńskiego zmroził ją od czubka głowy aż po duży palec u lewej stopy, którą to stopę miała o dwa milimetry dłuższą niż prawą.

– A dobry, dobry, panno Miller – zrewanżował się policjant, z tą różnicą, że jego uśmiech był szczery (szczerze złośliwy!) i wprost kipiał od złośliwej satysfakcji. – Czekała pani na nas? O, jak miło!

– Dzień dobry – przywitał się Bączek, pilnując służbowego tonu. – Chcielibyśmy dopytać panią o kilka rzeczy. Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

Nieszczerość tej nadziei zabrzmiała jak hejnał w południe na krakowskim rynku. Linda parsknęła głośno i przewróciła oczami.

– Nie, skądże znowu, w moim życiu nie dzieje się nic ciekawszego niż spotkania z policją – odrzekła poważnie. – Panowie się nie krępują, wchodzą prosto do salonu, a poznacie to miejsce po uroczej osobie Jeremiego Organka

pijącego w nim kawę. Dla panów też zrobię – dodała, zamykając drzwi za „gośćmi". – Tradycyjna czy może przeszliście na jakieś ekstrawagancje?

– Czarna wystarczy – bąknął komisarz.

– Za stary jestem na ekstrawagancje – dodał Wilczyński. – Ale jakby miała pani cynamonowy cukier…

Stróże prawa ruszyli prosto do wychodzącego na tylny ogród salonu, a Linda odbiła w lewo do niewielkiego aneksu kuchennego i wyjęła dwa kubki z szafki.

– Dzień dobry, panie Organek. Niech pan nie wstaje. – Nadinspektor usiadł naprzeciwko patologa, który skinął mu głową. – Jak pańskie zdrowie?

– Dziękuję, wszystko w porządku. A pańskie?

Wilczyński poskarżył się na kiepską tolerancję wysokich temperatur i rozmowa potoczyła się w kierunku przywar starzenia się. Bączek wyłączył słuch zaraz po tym, jak jego szef zaczął utyskiwać na strzelające kolana i bezsenność, i wlepił uważne spojrzenie w Lindę. Szum ekspresu do kawy uniemożliwiał usłyszenie, co dziewczyna mamrotała pod nosem, a najwyraźniej rzucała jakieś klątwy, których komisarz był szczerze ciekaw.

Ekspres się wyłączył, Linda wyjęła dwa kubki spod dyszy i ruszyła do stołu. Wydawała się zupełnie nieonieśmielona obecnością policjantów w swoim salonie, ale przecież zdążyła już do niej przywyknąć. Może nie była zachwycona, ale też nie wyglądała na szczególnie przejętą.

– Niestety cukru cynamonowego nie mamy, bo Iga używa tylko słodzika, ale mogę panu zaproponować korę cynamonową. Pomoczy pan w kawie, a później wyciumka.

Wilczyński podniósł zdziwiony wzrok na rudowłosą gospodynię, a po chwili parsknął wesoło.

– Nie trzeba, pani Lindo, dziękuję, ale z ciumkaniem jakoś mi nie po drodze. Niech pani siada.

Oczywiście, że usiadła, oparła łokcie na stole i przybrała skupiony wyraz twarzy.

– No dobrze, przejdźmy do rzeczy – poleciła. – Co się znowu odjaniepawliło? I kiedy odzyskam samochód?

Bączek odchrząknął i poprawił się na krześle.

– Pani Lindo… – zaczął łagodnie.

– Panno – poprawiła go z naciskiem.

– Tak, oczywiście. Zatem: panno Lindo…

– Nie, jednak głupio to brzmi – weszła mu w słowo, marszcząc czoło w wyrazie dezaprobaty. – Niech już będzie ta „pani”.

Komisarz przez chwilę milczał, przeżuwając w ustach cisnące mu się na język słowa przygany. Starał się nie dać ponieść emocjom, o co prosił go Wilczyński, zanim przyjechali na osiedle Malownicze.

– Panno Miller – wybrnął gładko, dając tym samym dowód swojej osławionej już inteligencji – mamy do pani kilka pytań, które pojawiły się po przeanalizowaniu dotychczasowych dowodów w sprawie.

– A ta sprawa to dotyczy konkretnie czego? – wypaliła dziewczyna. – Podrzucenia zewłoka do mojego samochodu, samego zewłoka czy może jeszcze czegoś innego?

Jeremi jęknął cicho, co nie uszło uwagi policjantów, Linda zaś zupełnie go zignorowała.

– Właściwie wszystkiego, co była pani łaskawa wymienić, oraz jeszcze jednej rzeczy, która wydaje się nam kluczowa – odpowiedział tym razem Wilczyński. Sięgnął po telefon komórkowy, postukał w ekran, po czym położył aparat przed Lindą, odwracając go tak, żeby nie oglądała obrazka do góry nogami. – Zdaje nam się, choć oczywiście możemy się mylić – zastrzegł nadmiernie szybko, ale i to nie ukryło jawnej ironii – że zapomniała nam pani powiedzieć o jednej istotnej rzeczy. Małej, ale istotnej. Widzi pani to drobne rozcięcie w nowiusieńkiej podsufitce? – Postukał palcem w powiększony punkt na ekranie. – Wydaje nam się, że mogły to zrobić pani rączki. Panno Lindo.

Ostatnie dwa słowa wypowiedział tonem tak słodkim, że cukier cynamonowy to przy tym dziegieć. Przynajmniej tak pomyślała Linda, która co prawda nie miała pojęcia, jak smakuje dziegieć, ale szczyciła się niezwykle bujną wyobraźnią.

– Na potrzeby tej konwersacji i w trosce o dobrą atmosferę przyjemnego spotkania przy kawie – odrzekła zupełnie niespeszona Linda – możemy założyć, że moje rączki mogłyby to zrobić. „Mogłyby”, podkreślam, nie „zrobiły”, bo do niczego się tu nie przyznaję. I jakie konotacje miałaby taka możliwość?

Komisarz Bączek uniósł kąciki ust, przez co jego przystojna twarz przypominała teraz Henry’ego Cavilla w roli Sherlocka Holmesa, kiedy odgrywał podziw dla błyskotliwości swojej filmowej siostry.

– Najważniejszą konotacją, a właściwie skutkiem, byłoby nasuwające się pytanie: w jakim celu pani rączki to zrobiły? – odrzekł, z trudem panując nad wesołością. – Od odpowiedzi zależą kolejne… konotacje.

– Rozumiem, rozumiem… – Panna Miller pokiwała głową, udając tak do niej niepodobną powagę. – Rozumiem, że gdybym, dajmy na to, oznajmiła panom, że przypadkiem wyrządziłam szkodę podsufitce, podskoczywszy znienacka na fotelu, raczej by mi panowie nie uwierzyli?

– Jeśli byłaby pani w stanie udowodnić, że zdarza jej się regularnie podskakiwać z nożykiem technicznym w dłoni i tymże nożykiem przypadkiem ciachać podsufitkę, to moglibyśmy uwierzyć – odrzekł Wilczyński, przyjmując konwencję rozmowy i najwyraźniej świetnie się bawiąc, o czym świadczył szeroki uśmiech na rumianym licu.

– Hmm… Tak, to byłoby rzeczywiście pomocne – stwierdziła Linda w niemalże prawdziwej zadumie. – Jednak dość trudne do udowodnienia.

– Może więc rozsądniej będzie rozważyć inne scenariusze – podpowiedział Bączek. – Co by pani powiedziała na taki: ktoś, prawdopodobnie poprzedni właściciel, ukrył coś pod materiałem, a nowa właścicielka, zauważywszy to, zrobiła niewielki otwór, żeby wydobyć owo tajemnicze coś? Myślę, że to prawdopodobna hipoteza.

– Owszem, owszem, prawdopodobna – przyznała dziewczyna – i całkiem możliwa, ale jak tu sprawdzić, czy prawdziwa?

Absolutnie nieżyciowa i nieprawdopodobna w zaistniałych okolicznościach grzeczność, przywodząca na myśl sztuczne rozmowy prowadzone w bawialniach angielskich rezydencji z czasów wiktoriańskich, sprawiła, że Jeremi Organek poczuł mrowienie w karku. Spokój Lindy i niemal pozbawione emocji – poza kłującą w oczy życzliwością – zachowanie policjantów były zdecydowanie gorsze, niż gdyby wszyscy troje skoczyli sobie do gardeł. Nie wytrzymał, ale wolał to niż dotarcie do punktu, w którym musiałby eksplodować.

– Lindo, zlituj się – jęknął z tak wyraźnym bólem w głosie, że Wilczyński poczuł dla niego cień współczucia. – Przestańcie wszyscy rozmawiać jak bohaterowie książek Jane Austen, bo mnie zaraz się jelita skręcą.

Nadinspektor Wilczyński cmoknął z wyraźnym zadowoleniem i rozparł się na krześle. Co prawda nie był w stanie przewidzieć, jak przebiegnie to

nieformalne przesłuchanie, ale najwidoczniej siły wyższe mu sprzyjały.

Bączek także wyglądał na zadowolonego, choć nie prezentował tego z taką ostentacją i pozwolił sobie jedynie na lekki uśmiech, po czym zapytał:

– Czyżbym trafił, panno Miller, z tym moim hipotetycznym rozważaniem?

– Trafi to mnie zaraz szlag – mruknął Jeremi – jeśli się nie uspokoicie. Lindo, natychmiast skończ to przedstawienie, skądinąd czarujące, i powiedz wszystko panom oficerom albo ja to zrobię.

Tym razem Linda Miller nie zachowała kamiennej twarzy. Na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka oznaczająca złość, co wszyscy mężczyźni natychmiast intuicyjnie zrozumieli.

– Dzięki, Dżer, prawdziwy z ciebie skrzydłowy, nie ma co – syknęła, patrząc w oczy Bączkowi. – A pan, panie komisarzu, przypadkiem nie miał być tym milszym policjantem?

– Jesteśmy duetem improwizującym – rzucił Wilczyński, najwyraźniej doskonale się bawiący. – Raz Michaś jest złym gliną, raz ja. Teraz padło na niego.

– Mhm, prawdziwe talenty, widzę. Marnują się panowie w policji – skwitowała dziewczyna i upiła spory łyk kawy, namyślając się. – Dobra, niech wam będzie, Sherlocki, wydedukowaliście to z iście szatańską błyskotliwością. Rozcięłam podsufitkę, żeby coś spod niej wyjąć. – To powiedziawszy, odstawiła kubek z taką siłą, że kilka kropel kawy wychlupnęło na stół.

Jeremi wypuścił wstrzymywane powietrze i odetchnął głęboko. Jego zbudowany na prawości i szczerości świat ostatecznie nie runął, choć przez chwilę chwiał się w posadach. Uspokojony, wypił swoją kawę do dna i z zadowoleniem czekał na rozwój rozmowy.

– I cóż takiego tam pani znalazła? – zapytał Bączek, siląc się na uprzejmość, co przychodziło mu z trudem. Pomyślał przelotnie, że jeśli będzie musiał wyciągać z Lindy każdą informację, to zwyczajnie wszystko z niej wydusi. Dosłownie.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Podjęła wyzwanie i dzielnie wytrzymała spojrzenie policjanta, który wyglądał tak, jakby chciał ją prześwidrować wzrokiem na wylot.

– Pani Lindo, kawa nam się kończy… – Wilczyński przerwał ciszę, żeby odrobinę rozładować napięcie.

– Niech się pan nie martwi, nadinspektorze, właśnie kupiłam zapas świetnej arabiki, więc może pan pić nawet do jutra – odrzekła z lodowatą uprzejmością. – Obawiam się, że muszę panów rozczarować, ponieważ to, co znalazłam, w żaden sposób nie będzie dla panów interesujące. Eks denat zostawił mi tam liścik miłosny.

– Przepraszam, kto taki? – Nadinspektor po raz pierwszy okazał zdziwienie.

– Eks denat, mój były, ten od corvetty.

– Aha. Czyli konkretnie kto?

Linda przewróciła oczami i prychnęła jak zirytowana kotka.

– Ajax Bartman, jakby to cokolwiek zmieniało – mruknęła. – Pośród wielu dziwactw miał też takie, że kochał listy. Pisać, czytać, swoje, cudze. Świr taki, epistolarny.

– Możemy go zobaczyć? – Bączek wyglądał na zaintrygowanego. Może dlatego, że on też był fanem literatury epistolarnej, ale głównie dlatego, że spodziewał się wreszcie uzupełnić luki w wiedzy dotyczącej podrzuconych zwłok.

– List, panno Miller, to miał na myśli komisarz Bączek – wtrącił Wilczyński, słusznie odgadując, że Linda chciała udać umysłowo ociężałą i przeciągnąć strunę. – I dobrze by było, gdyby zechciała nam pani opowiedzieć co nieco o pani… eks denacie, tak go pani nazwała?

Wyraźnie niepocieszona dziewczyna podniosła się od stołu i z niedającym się z niczym pomylić fochem ruszyła na górę.

– Mógłby pan trochę nad nią zapanować – zrugał Jeremiego nadinspektor, gdy tylko sylwetka Lindy zniknęła na schodach. – Utemperować, nauczyć pokory, cokolwiek.

Organek zacisnął usta, pokiwał głową i odparł:

– Myślę, że szybciej udałoby mi się wydobyć ludzki głos z moich pacjentów niż zmusić Lindę do bycia pokorną. Ale chętnie zobaczę, jak pan próbuje.

Wilczyński otworzył usta, żeby zaszczycić patologa jakąś błyskotliwą ripostą, jednak szybko zrezygnował. Daremne żale, próżny trud. Organek w gruncie rzeczy miał rację, a na dyskutowanie z faktami szkoda tracić energię.

12
WIDZIAŁEŚ, DŻER, JAKI NAM SIĘ ALAN TURING TRAFIŁ?

– „Kochana Lindo!”. – Bączek starał się nadać swojemu głosowi patetyczny ton. – „Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że mnie już nie ma, a Ty zastanawiasz się, czy niebo istnieje i czy się w nim spotkamy. Mam nadzieję, że na oba te pytania odpowiedź okaże się twierdząca”.

Policjant przerwał czytanie i spojrzał na Lindę z pytaniem w oczach.

– Niech pan nawet nie zaczyna – ostrzegła go dziewczyna. – Nie zamierzam wyjaśniać panu istoty moich filozoficznych rozważań. Mogę powiedzieć jedynie tyle, że eks denat się pomylił i jest mi kompletnie wszystko jedno, co się z nim dzieje.

Komisarz nie był aż tak ciekawy, żeby upierać się przy rozwijaniu niebiańskich tematów, więc wrócił do lektury.

– „Z pewnością zaskoczył Cię fakt, że zostawiłem Sophię Tobie, choć jeśli głębiej się zastanowić, łatwo dojść do wniosku, że nikomu innemu nie mógłbym na tyle Zaufać. Nikt inny nie wiedziałby, co z nią Zrobić, od czego Zacząć i jak wykorzystać możliwości. Tylko Ty jesteś na tyle rozgarnięta, żeby Zrozumieć. I zadbać o mój Skarb rzecz jasna. A skoro już o tym mowa, to gratuluję sukcesu w Mokrzeszowie! Zagadka znikających Zwłok rozsławiła Twoje imię. Linda Detektywka, kto by pomyślał? Kto oprócz mnie? Nikt. Nikt

nie Podejrzewał, a ja zawsze wiedziałem. I myślałem, że Ty Będziesz Wiedziała, że ja wiem. Zawsze miałem taki Obraz Ciebie – błyszczącej inteligencją, Nie to co oni, NIE to co Policja. Tym bardziej jestem pewien, że podjąłem właściwą decyzję, mój Sherlocku. Dbaj o siebie, moja cudowna Barokowa Wenus, i nie zawiedź mnie. Do zobaczenia".

– Bardzo piękny list – pochwalił Wilczyński, kiedy Bączek odłożył kartkę na stół. – Sztuka pisania listów to w dzisiejszych czasach niemal relikt.

– Nie mówiąc o sztuce kryptografii – dodał komisarz. – Zawsze mieliście w zwyczaju przekazywanie sobie informacji szyfrem?

– A pan zawsze był taki domyślny? – warknęła Linda. – Cholera jasna, nawet grypsów nie można sobie przekazać, bo Komisarz Błyskotliwek wszystko wywęszy… – Posłała Bączkowi nienawistne spojrzenie, po czym zwróciła się do siedzącego po jej lewej stronie Organka: – Widziałeś, Dżer, jaki nam się Alan Turing trafił?

Bączek ani myślał się pogniewać, przeciwnie – porównanie go do genialnego matematyka sprawiło mu niekłamaną radość. Postanowił więc zignorować złośliwość Lindy, w końcu miała trochę racji.

– Pani Lindo, niech się pani nie dąsa – poprosił niezwykle łagodnie. – My chcemy jedynie jak najszybciej zrozumieć, dlaczego zwłoki młodego człowieka znalazły się w samochodzie, który dziwnym trafem należy do pani. I czy to, że należy do pani, ma w ogóle znaczenie.

– Lindo, pan komisarz ma rację – odezwał się po długim milczeniu Organek. – Postaraj się współpracować, tak jak mi obiecałaś. Myślę, że to może także przyśpieszyć odzyskanie samochodu.

Wzmianka na temat corvetty wyraźnie ucieszyła dziewczynę, która była gotowa ciskać gromy na wszystkich dookoła. Wcale jej się nie podobało, że Bączek tak szybko zorientował się w podstępie Ajaksa, a jeszcze mniej cieszyła się na myśl o tym, że będzie musiała złożyć dodatkowe wyjaśnienia, na co bynajmniej nie miała ochoty.

– Dobra, niech wam będzie. Ale robię to tylko dla samochodu!

Bez względu na powód zmiany frontu przez Lindę komisarz Bączek i nadinspektor Wilczyński wydawali się zadowoleni. Sytuacja rozwinęła się w pożądanym przez nich kierunku i szanse na rozwiązanie zagadki wydawały się rosnąć.

– To ja bym może poprosił dolewkę tej arabiki – rzucił Wilczyński, dopiwszy ostatnie krople aromatycznej kawy. – Skoro i tak jeszcze tu posiedzimy.

Sophię, Tobie, Zaufać, Zrobić, Zacząć, Zrozumieć, Skarb, Zagadka, Zwłok, Detektywka, Podejrzewał, Będziesz, Wiedziała, Obraz, Nie, Policja, Barokowa Wenus

Cztery pary oczu wpatrywały się w osiemnaście wykaligrafowanych przez Jeremiego słów. Nikt się nie odzywał, więc słychać było jedynie zgrzytanie kół zębatych obracających się z wysiłkiem w głowach kwartetu profesjonalno-amatorskich detektywów. W tym jednej pisanej wielką literą. Im dłużej zaś się wpatrywali, tym mniej rozumieli.

– Czyli pani też nie wie, co ma oznaczać ta wiadomość? – upewnił się Bączek po raz kolejny, ósmy, jak wynikało z obliczeń Jeremiego.

– Trochę się domyślam, ale raczej więcej nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą Linda. – Ale nie ma niczego za darmo, Komisarzu Spryciulo, qui pro quo.

– Dobra jest – skwitował z szerokim uśmiechem Wilczyński, przygryzając ciasteczko maślane, które gospodyni wielkodusznie wyjęła z Tajnej Szafki na Bardzo Tajne Rzeczy Ukrywane przed Igą. – Gdybyśmy mieli takich negocjatorów w firmie, to może statystyki by nam wzrosły.

– No raczej – odparła Linda z pełną powagą. – Zresztą tu macie tego potwierdzenie. – Postukała palcem w kartkę. – Zacznijmy od tego, kim jest zewłok z bagażnika.

Jeremi drgnął, słysząc tak jawny brak szacunku dla nieboszczyka, co stało w opozycji do jego osobistej filozofii i etyki zawodowej. Chciał zrugać Lindę, ale jej zacięta mina skutecznie odwiodła go od tego planu. Zacisnął usta i policzył do pięciu Missisipi, żeby się uspokoić.

– Zewłok, to znaczy denat, nazywał się Żywiuszko. – Bączek zrobił pauzę i przyjrzał się twarzy Lindy. Nic. Żadnej reakcji. – Mariusz Żywiuszko.

– O, fajno. Nie znam – stwierdziła, wciąż nie okazując żadnej reakcji.

– A miałaś co do tego wątpliwości? – Organek zdumiał się tak bardzo, że brwi podjechały mu niemal na czubek głowy. – Przecież byłaś pewna, że nigdy nie widziałaś tego chłopaka.

– Nie widziałam, ale to wcale nie znaczy, że nie znałam go nienaocznie – żachnęła się Linda. – Mogłam na przykład korespondować z nim mailowo albo usłyszeć o nim od któregoś ze znajomych. W tych czasach nigdy nie wiadomo. Niektórzy ludzie mają przedziwne zdjęcia profilowe na Fejsie.

Bączek i Wilczyński przyjęli wyjaśnienie dziewczyny ze zrozumieniem, o czym świadczyło kiwanie głowami, tymczasem dla Organka brzmiało to jak chińszczyzna. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że nie wie, jak wygląda jego znajomy. Dziwne to…

– Czyli był dla pani zupełnie obcy? – upewnił się komisarz, żeby już mieć ten temat odhaczony.

– Zupełnie jak poglądy merkantylistów. Kto zacz?

Policjanci wymienili krótkie niczym błysk migawki spojrzenia, po czym Wilczyński skinął głową na znak zgody. Pewnie coś by powiedział, ale usta miał pełne ciastek.

– Udało nam się ustalić, że Mariusz Żywiuszko był historykiem sztuki, zajmował się głównie rekonstrukcją obrazów olejnych, a od kilku lat razem z bratem prowadził firmę specjalizującą się w renowacji zabytkowych budynków. – Bączek mówił wolno, ani na moment nie spuszczając wzroku z twarzy Lindy. – Pałace, dworki, stare folwarki, które dostają drugie życie.

Linda słuchała w skupieniu i coraz mocniej zaciskała usta w dzióbek. Na koniec doszło do tego mrużenie oczu, co jednoznacznie wskazywało na zaawansowane procesy myślowe.

– Jakiś komentarz, panno Miller? – zapytał ni stąd, ni zowąd Wilczyński, przełknąwszy ciastko.

– Komentarz? A tak, jakiś się znajdzie – odrzekła, wywołując jęk Bączka. – Zanim jednak powiem, co myślę, mam jeszcze jedno pytanie do panów.

Tym razem oprócz jęku słychać było także głośne westchnienie i jeszcze głośniejsze cmoknięcie. To ostatnie wyszło z ust Jeremiego.

– Lindo – odezwał się łagodnie patolog – sądzę, że rozsądniej będzie, jeśli powiesz wszystko, co może zainteresować panów funkcjonariuszy. Bez

negocjowania – dodał natychmiast, uprzedzając pyskatą blogerkę.

– Czy ty musisz być takim psujem, Dżer? – Linda westchnęła tak ciężko, jakby odzyskała oddech po szalenie długim bezdechu. – Naprawdę, kto cię uczył życia? Trupy? Informacja w tym świecie jest walutą cenniejszą niż te całe bitcoiny, a ty mi każesz wyprztykać się ze wszystkich asów? Wnoszę o zmianę drużyny, biorę Promka. I odmawiam dzielenia się informacjami za darmo, żeby była jasność.

Wilczyński wyglądał na rozbawionego. Jego spory brzuch, wystający nad paskiem spodni jak u Świętego Mikołaja, trząsł się, jakby żył własnym życiem.

– Co to za pytanie? – Bączkowi przypadła rola Poważnego Śledczego i on bynajmniej nie wyglądał na rozweselonego tyradą Lindy.

– Czy ten cały Żywiuszko przypadkiem znał się z eks denatem?

Policjant nie musiał odpowiadać, Linda właściwie ani przez chwilę nie sądziła, że odpowiedź będzie przecząca. Takie zbiegi okoliczności nie istniały, chyba że w książkach, i to tych średnich. Skoro samochód z wkładką należał do historyka sztuki, wkładka była historykiem sztuki, to związek pomiędzy nimi był aż nadto oczywisty.

– No jaka bystra dziewczyna – pochwalił Wilczyński z wyraźnym zachwytem. – Gdyby nie pani talent do pakowania się w kłopoty, już bym panią próbował zwerbować.

– Proszę zauważyć, że to nie ja pakuję się w kłopoty, tylko one lgną do mnie – odcięła się Linda. – Ja sobie tego Żywiuszki nie zapakowałam do bagażnika, rusałka też należała do Jeremiego…

– Ejże! – zaoponował Organek. – Wcale nie do mnie, jej tam w ogóle nie powinno było być!

– Ma pani niebywały talent do znajdowania się w niewłaściwych miejscach w niewłaściwym czasie – skwitował Bączek. – Ale teraz kolej na pani konkluzje. Qui pro quo.

Linda Miller od dłuższej chwili zastanawiała się, jak dużo może powiedzieć policjantom. Gdyby to od niej zależało, wymyśliłaby jakąś bzdurną historyjkę, ale wiedziała, że Jeremi zdołał się domyślić kilku rzeczy i zaraz zrobiłby jej wykład na temat okłamywania śledczych. Musiała więc wspiąć się na wyżyny elokwencji i błyskotliwości – na co przecież wyraźnie liczył Ajax –

i zrobić tak, żeby i wilk był syty, i owca cała. Jednak czy ktoś obiecywał, że życie będzie łatwe? No nikt. Właśnie.

– Dobra, powiem wam, czego się domyśliłam, ale z tą całą resztą nie mam pojęcia, co zrobić. Może Komisarz Bystrzyszczykiewicz sobie poradzi i odkryje „kod Ajaksa". Ale to może być zgubne w skutkach, bo zaraz potem pojawi się na pana progu kilku smutnych dżentelmenów w czarnych garniakach i wywiezie do Roswell.

– Podejmę ryzyko – stwierdził odważnie Bączek.

– Pana wybór. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – No niech już pan tak mnie nie morduje wzrokiem, ja tylko ostrzegam. No dobra, to co my tu mamy? – Przyciągnęła kartkę bliżej siebie i jeszcze raz przebiegła wzrokiem po starannie zapisanych słowach. – Sophia to corvetta, tego raczej już się panowie domyślili. Zwłoki, wiadomo, w dodatku są „zaginione", więc chodzi o rusałkę. „Nie policja". – Podniosła wzrok na Wilczyńskiego. – Najwyraźniej eks denat wam nie ufał, niespodzianka. Barokowa Wenus to odniesienie do mnie, pochodzi od obrazu Tycjana i ma znaczyć tyle co „rudowłosa piękność". Sądzę, że słowa „zaufać" i „zrozumiesz" mają oznaczać, że on mi ufa, a ja powinnam coś zrozumieć. Ale na razie nie rozumiem – zastrzegła. – Myślę, że kluczowe w rozwiązaniu tej zagadki jest jednak słowo „zagadka" i skłaniam się ku powiązaniu go z „obrazem". Jak już mówiłam, eks denat nie był normalny. To wszystko, co do tej pory udało mi się wymyślić.

– Na razie nie widzę tu większego sensu – ocenił Wilczyński z wyraźnym zawodem w głosie.

– Dopóki nie odkodujemy wszystkich znaczeń, nie mamy szansy zrozumieć tego przekazu – podsumował Bączek. – Zakładam oczywiście, że pani Miller powiedziała nam wszystko, co wie, i jeśli tylko domyśli się kolejnych znaczeń, niezwłocznie nas o tym poinformuje.

– Oczywiście – odparła tonem pełnym urazy, jakby podejrzewanie jej o zamiar zatajenia czegokolwiek przed organami ścigania było przestępstwem, które należy ścigać z urzędu. – Ale liczę na to, że nasza umowa pozostaje w mocy i nie pozostawicie nas w niewiedzy.

Bączek uniósł kącik ust i niemal niezauważalnie skinął głową. Oczywiście nie zamierzał informować świadka o przebiegu śledztwa, zwłaszcza że intuicja mu podpowiadała, aby jeszcze nie zawieszał niewiary na kołek. Z Lindą Miller nie można mieć stuprocentowej pewności co do tego, że

niczego nie zataiła. Na taką okoliczność przewidziano stosowny paragraf, ale jeszcze nie nadeszła pora na jego użycie. Na razie należało działać spokojnie, łagodnie i bez przykręcania śruby.

Ustaliwszy, że właściwie wciąż niewiele wiedzą, policjanci opuścili dom Lindy i odjechali w stronę centrum miasta, zostawiwszy Organka i gospodynię na progu. Linda chciała nawet pomachać białą chusteczką, ale Jeremi nadepnął jej na stopę, co było bezprecedensowym przypadkiem zastosowania przez niego przemocy fizycznej.

– Au, co ty wyczyniasz?! – zapiszczała rudowłosa blogerka.

– Powstrzymuję cię przed obrażeniem funkcjonariuszy na służbie – odparł ze spokojem patolog. – Wystarczy, że im nakłamałaś i zataiłaś istotne fakty.

Zaszokowana mina dziewczyny wywiodłaby w pole niemal każdego, ale Jeremi nie dał się nabrać. Gdy tylko policyjna kia zniknęła z jego pola widzenia, odsunął się od Lindy, splótł ręce na piersiach i wypalił:

– Od kiedy to Tycjan namalował Wenus w baroku? I dlaczego mnie się wydaje, że „zwłoki" oznaczają coś zupełnie innego, niż powiedziałaś Bączkowi?

– A skąd mnie wiedzieć, dlaczego tobie coś się zdaje? – prychnęła Linda, ale natychmiast uciekła wzrokiem.

Organek przyglądał się jej z marsową miną, po czym bardzo wolno i bardzo wyraźnie powiedział:

– Na moje oko twój nieżyjący były chłopak jakimś cudem przewidział, że ktoś włoży zwłoki do jego samochodu, a ty je znajdziesz. I choćbyś przysięgała na życie swojej matki, ojca, babki i wszystkich, którzy przyjdą ci do głowy, nie uwierzę w ani jedno twoje słowo, dopóki nie powiesz mi, co oprócz listu znalazłaś w podsufitce.

13
Z ZIEMI, KWIATKÓW I PYŁKÓW IM WYSZŁO?

Komisarz Michał Bączek ani przez chwilę nie uwierzył w to, że Linda Miller powiedziała mu wszystko. Ba! Miał przeczucie graniczące z pewnością, że zataiła przed nim coś bardzo istotnego. Nie zamierzał jednak się zrażać, bo nade wszystko zależało mu na szybkim rozwiązaniu sprawy, a na swoje szczęście miał istotne wsparcie w postaci genialnego patomorfologa oraz – wbrew temu, co o policji sądził były chłopak Lindy – kilku świetnych specjalistów, którzy właśnie rozpracowywali wszystko, co dało się rozpracować. I jak się okazało, z sukcesami.

– Szefie, możliwe, że coś mamy. – Głowa młodego funkcjonariusza pojawiła się w uchylonych drzwiach.

– Dawaj, Kajtek – rzucił Bączek i oczy mu zabłysły.

Wilczyński, który siedział obok, tylko pokiwał głową, bo właśnie kończył konsumować pączka, o którym marzył od kilku godzin.

– No to tak – zaczął młodzieniec, spoglądając do trzymanego w ręce notatnika. – Technicy zbadali wszystkie ślady z butów i ubrania denata i ustalili, że najpewniej krótko przed śmiercią musiał być w okolicy Wlenia w powiecie lwóweckim. Pojedziemy tam i rozpytamy w pierwszej kolejności.

Wilczyński z wrażenia przełknął wielki kawałek pączka bez gryzienia i wycharczał:

– I to z ziemi, kwiatków i pyłków im wyszło? Ten Wleń? – zapytał pełen podziwu.

– Eeee, no nie, z kieszeni denata.

Tym razem nadinspektor podniósł brwi i niemal spokojnie czekał na ciąg dalszy. Bączek musiał wykorzystać zapasy cierpliwości na Lindę, w związku z czym ponaglił chłopaka ruchem dłoni.

– A tak – zmitygował się tamten. – W kieszeni znaleźliśmy wyżutą gumę zawiniętą w paragon z Dino we Wleniu. Niech mnie pan nie pyta, jak oni to rozkleili, ja wolałem nie wiedzieć.

– Z kiedy? – rzucił od razu Bączek. – Paragon z kiedy, nie guma – dodał, żeby tym razem nie było żadnych durnych odpowiedzi.

– Sprzed pięciu dni, czyli tuż przed śmiercią. Tak mówi Baczmański.

– Dobra robota, aspirancie – pochwalił go Wilczyński. – Szkoda, że nie z pyłków i rzadkich roślin to wywróżyli, no ale jak się nie ma, co się lubi…

Młody aspirant skłonił się i wymaszerował pośpiesznie, a pęd powietrza zatrzasnął drzwi.

– Co jest we Wleniu? – zapytał Bączek, próbując przypomnieć sobie cokolwiek, co miałoby związek z tą miejscowością, ale bez skutku.

– Pojęcia nie mam, pierwsze słyszę – odparł nadinspektor, wycierając dłonie w chusteczkę. – Dawaj ten komputer, robimy risercz.

Już po kilku minutach okazało się, że najwięcej do powiedzenia na temat tej miejscowości mają portale historyczne i te zajmujące się podróżami szlakiem dolnośląskich zamków i pałaców. Miasteczko zasłynęło sto lat wcześniej ze zbrodni, o której mówiły całe Niemcy i pół Europy Zachodniej. „Krwawe walentynki", krzyczały nagłówki i policjanci szybko się zorientowali, że to określenie było aż nader adekwatne.

– Myślisz, że pojechał tam zwiedzać zamek?

– Pałac, Kaziu – poprawił go odruchowo Bączek. – Biorąc pod uwagę jego zawód, stawiałbym raczej, że udał się tam w celu renowacji pałacu. Albo czegoś podobnego. Nie słyszałem, żeby był podróżnikiem, raczej poświęcał się tej swojej robocie.

– Dobre, dobre, to może być właściwy kierunek – ocenił nadinspektor, przyglądając się zdjęciu młodej dziewczyny, która miała zostać zamordowana

w lutym tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku. – Ty, patrz, ten ojczym, który ją zamordował, się powiesił. No i dobrze, jedna swołocz na świecie mniej.

Bączek nie skomentował w obawie, że dyskusja na temat kary śmierci znów przybierze niewłaściwy obrót i pokłócą się na koniec dnia, a on nie miał ochoty na żadne spory. Jedyną rzeczą, jakiej chciał, było odzyskanie spokoju, a do tego konieczne jest rozwiązanie sprawy.

Telefon na biurku Bączka rozdzwonił się tak głośno, że obaj policjanci wzdrygnęli się, jakby przeszedł ich prąd. Na aparacie mrugała lampka oznaczająca nadejście połączenia z Zakładu Medycyny Sądowej.

– Dajesz! – krzyknął komisarz, przełączając na głośnik. – Kazik tu jest, tak przy okazji.

– No i fajnie, przynajmniej nie będę musiał powtarzać. – Baczmański wydawał się rzeczywiście ucieszony. – Słuchajcie, chłopaki, myślę, że to się wam spodoba. Denat został uduszony, to ponad wszelką wątpliwość mogę już wam potwierdzić, ale wygląda na to, że oprócz tego został otruty.

– Ale jak? Równocześnie? – Wilczyński usiłował to sobie wyobrazić, ale nijak mu nie wychodziło.

– W bardzo krótkim odstępie czasu – wyjaśnił cierpliwie patolog. – Wątroba jest tak powiększona, że spodziewałem się jakichś grubszych chorób, ale nie, to tylko ostre zatrucie. Toksyna była niezwykle silna i działała ekspresowo.

– Ile czasu zajmie jej identyfikacja? – zapytał Bączek, powodowany niezbyt dobrym przeczuciem.

– Tego nie wiem, Michaś. – W głosie Baczmańskiego słychać było szczery żal. – Ale zleciliśmy powtórzenie kilku badań świetnemu specjaliście od toksykologii, prawdziwemu magikowi, więc może szybciej, niż przypuszczamy.

– Co to za magik? – zainteresował się nadinspektor.

– Nazywa się Prometeusz Płomyczek…

W gabinecie Bączka rozległ się gromki śmiech dwóch oficerów policji. Wydawałoby się: poważni, profesjonalni, dojrzali mężczyźni. Mhm, oczywiście…

– Remik… – Bączek z trudem łapał oddech. – Ty sobie nie żartuj nawet. Toksykolog, który nazywa się Płomyczek i ma na imię Prometeusz? To

w ogóle jest zgodne z prawem?

– Ale które? Prometeusz czy Płomyczek? – upewnił się medyk, wywołując kolejną salwę śmiechu po drugiej stronie aparatu telefonicznego.

Tym razem Baczmański dołączył do rechoczącego towarzystwa i jego gromki śmiech poniósł się echem w komendzie.

– Ale musiał mieć przerąbane w szkole – ryczał Wilczyński. Brzuch mu podskakiwał, a rumiana twarz przybrała barwę czereśni.

– O, nawet sobie nie wyobrażasz – zachichotał Remik. – Nasz Promek ma metr pięćdziesiąt wzrostu i kiedy pracuje przy zwłokach, staje na stołeczku!

Nadinspektor ryknął dzikim śmiechem, Bączek właściwie też się rozpędził, już miał wydać z siebie „Ha, hahahahaha, ha, ha!", kiedy naraz twarz mu stężała.

– Kazik? – szepnął z przejęciem. – Czy Linda Miller przypadkiem nie wspomniała o jakimś „Promku"?

Dobry humor nadinspektora szlag trafił w okamgnieniu, jakby ktoś precyzyjnym chirurgicznym cięciem odkroił go od atmosfery. Baczmański także zamilkł, natychmiast łącząc kropki i wyciągając właściwe wnioski.

– Cholera – rzucił ze smutkiem. – Że też nie pomyślałem o tym wcześniej… Płomyczek niedawno został szefem Zakładu Medycyny Sądowej w szpitalu, w którym pracuje Organek.

Siarczyste przekleństwo, jakie wyrwało się z ust komisarza Bączka, nie nadaje się dla uszu dobrze wychowanych osób, a nawet niejedną średnio wychowaną mogłoby wprawić w zawstydzenie. Wystarczy wspomnieć, że zarówno Remigiusz Baczmański, doktor nauk medycznych, jak i komisarz Michał Bączek, magister psychologii, poczuli się nieswojo.

– Oddzwonię do ciebie, Remik – rzucił pośpiesznie Bączek i zakończył połączenie. – Musimy dotrzeć do niego, zanim cokolwiek chlapnie Organkowi.

– Ja nie o to się martwię, Michaś – mruknął wciąż wściekły nadinspektor. – Jeśli ten Płomyczek ma przeprowadzić badanie, to znaczy, że zwłoki są u niego w szpitalu. A kto pałęta się po jego szpitalu, jest rudy, wścibski i w dodatku kłamie jak z nut?

Tym razem to Bączek zaklął, wcale niewybrednie, po czym jak na komendę obaj policjanci zerwali się z krzeseł i pobiegli do samochodu.

Jeremi czekał na ten moment i tylko swojej wrodzonej cierpliwości zawdzięczał fakt, że jeszcze nie zatłukł dziewczyny. A kilka razy miał na to wielką ochotę, co przyznawał sam przed sobą z niejakim wstydem.

Linda odstawiła kubek na stół, po czym zrobiła coś, czego Organek ani przez moment się nie spodziewał. W zasadzie nie przeszło mu przez myśl, że kiedykolwiek stanie się świadkiem podobnej sceny. Dziewczyna sięgnęła do dekoltu bawełnianego T-shirtu, pogrzebała chwilkę, a następnie wyjęła zza biustonosza złożone w niewielką kosteczkę pożółkłe papiery. Wyglądały tak, jakby ktoś usiłował zrobić z nich origami, ale nie miał pojęcia o tej sztuce i wyszło mu… kiepsko, eufemistycznie rzecz ujmując.

Papierowa kosteczka trafiła w ręce Organka, który ostrożnie i z pieczołowitością rozkładał kolejne jej warstwy, uważając, aby nie narobić więcej szkód niż te, które już nieodwracalnie wystąpiły. Po kilkudziesięciu sekundach na stole leżały trzy kartki z brulionu zapisane ręcznym pismem charakterystycznym dla osób kształconych w sztuce kaligrafii. Zarówno papier, jak i wypłowiały atrament zdradzały pochodzenie z czasów, których ani Linda, ani Organek nie mieli prawa pamiętać.

Jeremi przyjrzał się kartkom, starając się zrozumieć zapisany tekst, jednak okazało się to nad wyraz trudne.

– Lindo, to powinno trafić do policji – odezwał się w końcu, a w jego głosie brzmiała wyraźna przygana.

– Nie ma mowy! – zaprotestowała z zaskakującą żarliwością dziewczyna. – To jest wiadomość dla mnie i nikomu tego nie oddam!

– Mnie to wygląda na list – zauważył z ironią patolog – i raczej nie ty byłaś jego adresatką. Chyba że masz na imię… – Przekrzywił głowę i utkwił spojrzenie w jednym słowie. – Berta?

– Pokazuję ci to tylko dlatego, że ufam ci bezgranicznie, uważam za przyjaciela i oddałabym za ciebie życie, wcale nie oczekując tego samego w zamian, ale pamiętaj o tym, ile dla mnie znaczysz.

– Jeśli w ten sposób próbujesz mnie urobić, żebym krył cię przed służbami, to nic z tego, Lindo – odrzekł spokojnie Jeremi, przyglądając się fragmentowi starego listu. – Jeśli Bączek dowie się o tych papierach, ja nie zamierzam kłamać. Miałaś im wszystko powiedzieć.

– Ale ty niczego nie rozumiesz! – oburzyła się Linda. – Tu jest jakaś zagadka do rozwiązania!

– Owszem, zagadka zwłok podrzuconych do odziedziczonej przez ciebie corvetty.

– Nie! To znaczy: tak, ale nie tylko! Spójrz na ten list, Dżer, przecież to ma ogromną wartość historyczną.

– Czyli powinno znajdować się w muzeum? – zauważył Jeremi z kpiną malującą się na obliczu.

– I się znajdzie, mądralo, jak tylko odkryję, dlaczego eks denat mi to przekazał. Na pewno nie zrobił tego z powodu mojej miłości do historii.

– Ciekawe, jak wówczas wyjaśnisz wejście w posiadanie takich eksponatów…

– Oj, przestań już z tym defetyzmem! Mówię ci, że w tych listach są ważne rzeczy. I muszę je odkryć, choćbym pękła.

– Może zdążysz, zanim cię aresztują. Chociaż wątpię, twoja znajomość niemieckiego raczej nie jest najlepsza.

– Ugryź się!

Jeremi się uśmiechnął, przez co jego przystojna twarz nabrała wyrazu młodzieńczej zadziorności. Po raz kolejny Linda musiała przyznać, że zaczyna rozumieć, co w tym dziwolągu widzą te wszystkie kobiety, które wodzą za nim wzrokiem jak cielęta na łące.

– Dobrze już, nie denerwuj się – uspokoił ją, wciąż się uśmiechając.

– Wcale się nie denerwuję. Ja jestem zwyczajnie wściekła! Liczyłam na to, że mi pomożesz, wesprzesz, poradzisz. A z ciebie wylazł najzwyklejszy, ordynarny judasz!

– Lindo…

– Nie linduj mi tu, doktorze Organek! Chciałabym ci przypomnieć, że szukałam z tobą rusałki, jako jedyna wierząc, że nie ześwirowałeś, właziłam przez okna, wciskałam się pod płoty, życie własne narażałam, a ty mi takie rzeczy!

Jeremi z cierpliwością wysłuchiwał tych żarliwie wygłaszanych pretensji, czekając, aż Linda do końca sobie ulży i odzyska zdrowy rozsądek. Z jakiegoś powodu założył, że prędzej czy później to nastąpi, a on miał czas. Przynajmniej tyle, ile będą potrzebowali policjanci, żeby nakryć Lindę na zatajaniu ważnych informacji.

Kiedy wreszcie zdyszana dziewczyna zrobiła dłuższą przerwę, Organek zapytał:

– Lepiej?

– Trochę…

– To już coś.

– Nie bądź taki filozof. Pomożesz mi czy nie?

– A w czym konkretnie miałbym ci pomóc?

– W rozwiązaniu zagadki jakiegoś barokowego obrazu, przez który pojawiły się zwłoki.

– A jak chcesz to zrobić? – Mina Jeremiego wyraźnie wskazywała na to, że ma jeszcze wiele pytań, jednak starał się zachowywać spokój.

– Ustalając, gdzie znajdziemy tego podleca, który podrzucił nam kukułcze jajo.

– Dlaczego chcesz szukać podleca? To policja powinna go znaleźć.

Linda otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła i spojrzała na Jeremiego z politowaniem.

– Mylisz się, mój drogi Watsonie – odrzekła, nadając głosowi niskie brzmienie. – Ten, kto podrzucił nam zwłoki, to zupełnie ktoś inny niż ten, kto zrobił ze zwłok zwłoki. Nas ten drugi zwyrodnialec nie interesuje, skupiamy się na pierwszym, zwykłym durniu. – Utkwiła lodowate spojrzenie w pełnych zdziwienia oczach Organka. – Otóż, kiepska podróbko Sama Spade'a, tak się składa, że mój, pożal się Boże, eks denat wcale nie zasługuje na to miano, ponieważ bynajmniej nie jest denatem. Innymi słowy: Ajax Bartman żyje i znalazł sobie nowe hobby polegające na podrzucaniu trupów do bagażników samochodów.

14
SPRAWA ŚMIERCI I ŚMIERCI!

Jeremi Organek w swoim pięćdziesięciojednoletnim życiu widział naprawdę wiele, słyszał jeszcze więcej, niektóre rzeczy wyrzucił z pamięci, inne wciąż w niej tkwiły mimo usilnych starań, by się ich pozbyć, ale owo życie wciąż potrafiło go zaskoczyć. Zdecydowanie mniej zaskakiwała go śmierć, dlatego też cenił sobie spokój swojej pracy i przewidywalność zadań, z jakimi się mierzył. Tymczasem życie, zwłaszcza odkąd zjawiła się w nim Linda Miller, stanowiło nieustające pasmo zaskoczeń, niespodzianek i rewelacji. Choćby takiej, że nieżyjący od kilku tygodni człowiek, którego doczesne dobra zostały rozdzielone zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, był tak samo martwy jak Morze Martwe – wyłącznie z nazwy.

Linda musiała trzykrotnie wyjaśnić mu tok swojego rozumowania, żeby patolog przyjął do wiadomości prawdopodobieństwo – bo przecież nie prawdziwość – jej wniosku. Ajax Bartman miał sfingować własną śmierć.

– Przecież to jest oczywiste! – piekliła się rudowłosa, kiedy Organek wciąż nie wyglądał na przekonanego. – Nikt inny nie mógł podrzucić mi tego zaszyfrowanego listu, nie mówiąc o bonusie. A na pewno nie uwierzę, że eks denat, które to określenie aktualnie zyskało zupełnie nowe znaczenie, przewidział zarówno swoją śmierć, jak i śmierć tego… Jak mu tam?

– Żywiuszko – podpowiedział Jeremi.

– Niech będzie. Wiele rzeczy można by powiedzieć o Ajaksie, ale na pewno wróżbitą nie był. I szczerze wątpię, żeby kiedykolwiek miał kontakt z kimś parającym się magią czy astrologią. Nawet horoskopów w gazetach nie czytał. Masz pojęcie?

No i jak tu odpowiedzieć? Może wcale…

– Dobrze… – odparł ostrożnie medyk. – Załóżmy, że akurat to ma sens i rzeczywiście nie był w stanie przewidzieć własnej śmierci, zgoda. Ale to by oznaczało, że musiał włożyć sporo pracy w…

– …znalezienie jakiegoś umarlaka i lekarza, który potwierdzi zgon – dokończyła za niego Linda. – Tak, to prawda. Wydaje się trudne, ale jeśli weźmiesz pod uwagę pieniądze i koneksje Bartmanów, to właściwie…

– …całkiem wykonalne.

– Otóż to. Zaczynasz myśleć, drogi doktorku. Wyobrażam to sobie tak: miał jakiegoś zaprzyjaźnionego medyka albo koronera, znalazł enena mniej więcej pasującego fizycznie, papiery poszły w ruch, kasiura popłynęła i proszę uprzejmie: Ajax Bartman nie żyje, koniec przygody dziedzica fortuny, możecie go wszyscy pocałować w… dłoń w trakcie ostatniego pożegnania.

– Albo nawet nie musieli go całować – zauważył Jeremi, coraz mniej sceptyczny. – Mogła być zamknięta trumna, a wtedy w ogóle sprawa prosta. Tylko że…

– Tylko że autopsja? – domyśliła się Linda, ale wcale nie wyglądała na stropioną. – To także przewidziałam, mój ty genialny przyjacielu, i właśnie dlatego twój udział w moim śledztwie jest kluczowy.

– Boję się zapytać.

– Ach, ty Tchórzliwy Lwie, ze mną nie musisz się lękać. – Linda wypięła pierś, jakby mogło to cokolwiek zmienić. – Wystarczy, że dotrzesz do tego, kto podpisał się pod raportem, a ja zrobię resztę.

– I tego też się boję, może nawet bardziej – mruknął Organek. Wbrew słowom był już jednak pogodzony z losem i właściwie nie zamierzał unikać nieuniknionego. – Dobrze, załóżmy, że się zgodzę. Znajdziemy lekarza, zapytamy i co? Myślisz, że się przyzna do popełnienia przestępstwa, a co gorsza, do złamania przysięgi lekarskiej i zasad etycznych?

– Tym będziemy się martwić później. Najpierw musimy do niego dotrzeć.

– Ale co nam to da? Poza potwierdzeniem twojej teorii, która wciąż wydaje mi się żywcem wyjęta z książek Neila Gaimana.

To zasadne pytanie zawisło na chwilę w ciężkiej atmosferze panującej w salonie. Choć Linda nie miała żadnych wątpliwości, że jej teza jest słuszna, nie potrafiła jeszcze uchwycić tego, w jaki sposób miałaby ją wykorzystać. Było bardzo wątpliwe, że przekupiony lekarz mógłby doprowadzić ją do Ajaksa, który – co można było założyć z dużym prawdopodobieństwem – ukrył się przed światem. Prawdziwe pytanie brzmiało: dlaczego musiał ukryć się aż tak skutecznie, że aż zmiótł się z powierzchni Ziemi?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła szczerze, marszcząc czoło. – Ale jeśli się okaże, że ta łajza żyje, a jestem tego pewna, to będę wiedziała, czym muszę zająć się w następnej kolejności. Może i nie wiem, gdzie go szukać, ale mam pomysł, gdzie powinniśmy zacząć.

Przeniosła wzrok na leżące na środku stołu kartki i cmoknęła.

Jeremi podążył za jej spojrzeniem i westchnął ciężko.

– Trzeba to przetłumaczyć – stwierdził, ostatecznie kapitulując. – Ale raczej nie możemy pokazać tego żadnej postronnej osobie.

Linda przewróciła oczami i teatralnie klepnęła się w czoło.

– Nie martw się, staruszku, w dwudziestym pierwszym wieku istnieją całkiem wygodne narzędzia internetowe. Na nasze potrzeby powinny wystarczyć. W końcu jesteśmy inteligentni i poradzimy sobie z koślawymi zdaniami translatora. Patrz. – Uruchomiła aplikację w telefonie, zrobiła zdjęcie pierwszej kartce i poklikała coś na ekranie smartfona. Po chwili obróciła telefon w stronę Jeremiego z triumfalnym uśmiechem i oznajmiła: – To się nazywa „zdobycze technologii", panie diplodoku. Ta apka zmienia skan na tekst. Teraz wrzucamy go do translatora i… O, zobacz, już coś mamy!

Pomimo całego dobrodziejstwa cudów nowoczesnej techniki i cyfryzacji czytanie tekstu na telefonie Lindy okazało się trudne, zwłaszcza dla Jeremiego, uważającego się za zatwardziałego zwolennika papieru. Chcąc nie chcąc Linda musiała wydrukować przekład, co wymagało udania się do jej pokoju, w którym znajdowała się drukarka.

Kiedy dziewczyna zniknęła na piętrze, gdzie mieścił się jej pokój, telefon Jeremiego wydał z siebie upiorny dźwięk jednego z najbardziej znanych szlagierów disco polo.

– Tylko nie to… – jęknął, nawet nie patrząc na wyświetlacz. Ten „hit” oznaczał wyłącznie jedną osobę i stanowił ostrzeżenie. Organek sapnął głośno, westchnął, wziął trzy głębokie wdechy, choć nawet one nie były w stanie wyciszyć jego irytacji, po czym odebrał i siląc się na grzeczność, powiedział: – Cześć, Prometeuszu, w czym mogę ci pomóc?

– Pokój twojemu jestestwu, Jeremi! – przywitał go dyszkant Płomyczka. – Mam do ciebie romans, słoneczko. Jak szybko możesz przyjechać? Sprawa śmierci i śmierci!

Organek zacisnął szczęki tak mocno, że ugryzł się boleśnie w policzek, jednak ten ból był niczym w porównaniu z torturami, jakie przeżywała jego dusza. Jeśli istniało jakieś życie pozagrobowe, w co oczywiście Jeremi absolutnie nie wierzył, to tak właśnie musiało wyglądać piekło: było pełne Płomyczków.

Prometeusz Płomyczek, mężczyzna podłego wzrostu, postury godnej pożałowania, urody niemalże niewidzialnej, za to charakteru tak barwnego, że niejeden rajski ptak mógłby mu pozazdrościć, spożywał właśnie kanapkę z serami dojrzewającymi i wędzoną gruszką, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi jego gabinetu i zanim zdążył przełknąć, żeby swoim zwyczajem zawołać: „Gość w dom!”, owe drzwi otworzyły się niemal na oścież.

– O! – zdołał wydusić zaskoczony medyk, aktualnie w funkcji kierownika zakładu.

– Dzień dobry. Pan Płomyczek? Policja. Możemy zająć panu chwilę?

– O! – powtórzył Prometeusz, ale tym razem w jego głosie słychać było wyraźne zaciekawienie.

– Nadinspektor Wilczyński, komisarz Bączek, Komenda Wojewódzka Policji we Wrocławiu, Wydział Kryminalny – przedstawił siebie i kolegę policjant, którego sylwetka przywodziła na myśl Onufrego Zagłobę. – Chcielibyśmy porozmawiać o sprawie przekazanej panu przez doktora Baczmańskiego.

Na dźwięk nazwiska swojego idola Płomyczek drgnął, po czym na jego okrągłym i płaskim jak naleśnik obliczu pojawił się szeroki uśmiech.

„Pac-Man", przemknęło Bączkowi przez myśl, szybko jednak zepchnął to skojarzenie głęboko pod tony innych myśli, żeby przypadkiem nie wypalić z niczym niewłaściwym. Niestety ludzki rozum ma to do siebie, że to on panuje nad nami, nie odwrotnie, więc melodyjka z kultowej gry miała grać komisarzowi w głowie do końca dnia.

– Aha! – wykrzyknął toksykolog i mrugnął jednym okiem. – Zaszczyt to dla mnie nieopisany.

– Nasza wizyta? – zdziwił się szczerze Bączek, bo nigdy w życiu nie słyszał, żeby ktokolwiek uznał wizytę policji za zaszczyt.

– O, widzę, że żartowniś z pana komisarza! – Płomyczek zmarszczył nos i pogroził Bączkowi palcem wyglądającym jak wyjątkowo krótki serdelek. – Doktór Baczmański zaszczyt mi uczynił, o ekspertyzę prosząc. A panom jak mogę pomóc, słoneczka?

„Pac-Man mówiący jak Yoda", poprawił poprzednią opinię Bączek i ugryzł się w język.

– Chcielibyśmy prosić pana o zachowanie absolutnej dyskrecji w tej sprawie – powiedział Wilczyński. – Ciało, które zostało przekazane panu do zbadania, to ofiara w toczącym się śledztwie, a okoliczności śmierci i wszystkie szczegóły naszego postępowania objęte są najwyższą tajemnicą.

Nadinspektor bardzo się starał, żeby brzmieć poważnie i profesjonalnie. Zależało mu na tym, żeby trochę wystraszyć patologa, a nade wszystko upewnić się, że żadne przecieki nie trafią do Organka. A właściwie do Lindy.

– Ależ ma się rozumieć! – Medyk energicznie wstał z fotela i wyprostował się z dumą. Jeśli zamierzał wzbudzić w ten sposób respekt, wyszło mu całkiem odwrotnie.

Bączek o mało nie kwiknął, hamując wybuch śmiechu na widok niewysokiego człowieczka, który usiłował wyglądać groźnie i władczo. Baczmański miał rację – wzrostem Płomyczek dorównywał dorosłemu hobbitowi, co w połączeniu z jego pucułowatą twarzą robiło wrażenie raczej komiczne.

– Znakomicie. – Wilczyński nieco lepiej panował nad sobą, choć kąciki jego ust rwały się do góry. – Możemy zatem liczyć na to, że nie podzieli się pan

z nikim informacją o powierzonym mu zadaniu, a już na pewno nie ujawni, kim jest… obiekt badań?

– Macie moje słowo, słoneczka – zapewnił żarliwie niziołek. – Od tej pory nie podzielę się żadną informacją z żywym ani zmarłym.

Nadinspektor skinął głową i już otwierał usta, żeby wyrazić solidną pochwałę, ale Bączek niespodziewanie wtrącił:

– Zaraz, zaraz, doktorze Płomyczek… Mówi pan „od tej pory", a czy do tej pory już pan z kimś o tym rozmawiał?

– Zakazu nie było, więc kolegę o pomoc poprosiłem – odparł bez cienia skruchy medyk.

– Kolegę? – Wilczyński poczuł, jak stado kąsających mrówek biega mu wzdłuż kręgosłupa. – A można wiedzieć którego?

Płomyczek spojrzał na niego nieufnym wzrokiem, jakby oceniał, czy policjant jest godzien otrzymania tej ściśle tajnej informacji. Co jak co, ale RODO to nie przelewki!

– Powiedzieć nie mogę – odrzekł po zastanowieniu. – Ochrona danych, może kolega sobie wcale nie życzy…

Bączek zgrzytnął zębami, jednak powstrzymał się przed wyrażeniem dość kategorycznej opinii na temat tego, gdzie w tej chwili ma wszystkie ochrony i czego ewentualnie może życzyć sobie ów chroniony kolega. Ledwo zauważalne uniesienie dłoni przez Wilczyńskiego było jasnym sygnałem, że powinien milczeć i pozwolić działać przełożonemu.

– Panie doktorze, to dla nas szczególnie ważne, żeby ta informacja nie dostała się w niepowołane ręce – tłumaczył cierpliwie nadinspektor.

– Rozumiem, słoneczko, i moje słowo ma pan, że żadne niepowołane ręce jej nie obejmą. Za doktora Janickiego jak za siebie ręczę. – Za późno się zorientował, że popełnił właśnie gafę, o naruszeniu ochrony danych osobowych nie wspominając, a zaufanie kolegi pomijając całkowicie. – A niech to *Mycobacterium leprae*! Niczego panowie nie słyszeli, słoneczka!

Wypuszczone ze świstem znamionującym wyjątkowo dużą ulgę powietrze przeleciało przez niewielki pokój niczym tornado. Policjanci wymienili znaczące spojrzenia i każdy z nich wydawał się zadowolony tyleż z siebie, ile z rozwoju sytuacji.

– My? Słyszeli? Ale że co? – Wilczyński wyszczerzył się karykaturalnie. – Michaś, zdaje się, że jakoś przez chwilę słuch mi się

ciuteczkę przytępił.

– Masz rację, Kazik, wirus głuchoty musiał nas musnąć – przytaknął skwapliwie Bączek.

– Na szczęście to nic groźnego, powikłań nie wywołuje i szybko mija. – Płomyczek z radością podjął farsę. – Możecie, słoneczka, spać spokojnie.

Uspokojone słoneczka w postaci jednego sobowtóra Zagłoby i jednego podobnego wyłącznie do siebie komisarza Bączka pożegnały się w dobrych humorach i ruszyły do samochodu.

Rozpierająca ich radość z powodu zapobieżenia niepożądanym wypadkom tak ich zaaferowała, że zupełnie nie zwrócili uwagi na dwie ludzkie postaci wkomponowane we wnękę w ścianie korytarza.

– Niezły mamy refleks – pochwalił Wilczyński, mając na myśli głównie siebie jako przywódcę tego dwuosobowego stada.

– Miejmy nadzieję, że ten cały Płomyczek jest słowny. – Sceptyczna natura Bączka wciąż dawała o sobie znać. Dla niego szklanka nigdy nie była pełna, chyba że się z niej wylewało.

– Bądźmy dobrej myśli, Michałek. Ważne, że Organek o niczym nie wie, a to oznacza, że panna Miller też nie będzie mogła nam namieszać. Jesteśmy bezpieczni.

Kiedy zniknęli za drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową, Linda wypuściła powietrze i z ulgą oderwała plecy od zimnej i chropowatej ściany.

– No, no, kto by pomyślał – odezwała się, patrząc w głąb korytarza, w którym zniknęli policjanci. – Jesteśmy celebrytami. Wyobrażasz sobie, Dżer? Oni się nas boją!

Jeremi niczego nie musiał sobie wyobrażać, bo na własne uszy słyszał nieskrępowaną radość nadinspektora Wilczyńskiego. Z zupełnie nieznanych mu powodów policjant uznał jego i Lindę za wrogów publicznych.

– I bardzo dobrze – skomentował z zaskakującą dla siebie irytacją. – Niech się boją.

– Naprawdę? – Linda wybałuszyła oczy i była już gotowa rzucić się na Organka i wycałować jego clooneyową facjatę.

– Naprawdę. Myślą, że są tacy sprytni i będą przed nami ukrywać ważne rzeczy, równocześnie oczekując od nas spowiadania się z każdego kroku? Niedoczekanie. – Zacisnął pięści i spojrzał na Lindę z zaciekłą determinacją. – Chodźmy, Lindo, mamy do pogadania z Płomyczkiem.

Wpatrując się w niego jak urzeczona, Linda ruszyła za Jeremim, którego kroki rozległy się głośnym echem w pustym korytarzu. Ach, jaki on potrafił być stanowczy, jaki imperatywny! Coś się zmieniło czy może ona, ślepa komenda, nie zwróciła na to wcześniej uwagi? No, no, panie Organek, ależ panu raptownie akcje poszybowały, fiu, fiu!

Nagle wryło ją w ziemię i zastygła niczym biblijna żona Lota. Organek maszerował dalej, wyprostowany niczym strzała i nabuzowany jak kogut na sterydach. Dopiero po chwili się zorientował, że nie słyszy charakterystycznych kroków Lindy, i zerknął przez ramię.

– Dlaczego tam sterczysz? – zapytał niemal wrogo.

– Bo nie przywykłam do tego, że jesteś taki przedsiębiorczy. Co zamierzasz zrobić? Przecież Promek jest w zmowie z glinami i niczego z niego nie wyciągniemy.

– Nie martwiłbym się o to.

– Zamierzasz użyć perswazji bezpośredniej łamane na przemocy fizycznej? Ależ Jeremi… – W głosie Lindy zadźwięczały nuty jednocześnie podziwu i lęku.

Organek otaksował ją stalowym wzrokiem, po czym prychnął z rozbawieniem.

– Raczej zbyt wiele tej przemocy nie byłoby potrzebne, ale nie, nie taki mam plan.

Słowo „plan” w ustach Organka sprawiło, że Linda zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Szok i niedowierzanie malowały się na jej piegowatej twarzy tak wyraźnie, że właściwie niczego nie musiała już artykułować.

Zadowolony z wywołanego efektu Jeremi wciągnął brzuch i ruszył do końca korytarza; zatrzymał się dopiero przed drzwiami, obok których wisiała tabliczka z nazwiskiem szefa zakładu. Jeszcze niedawno znajdowało się na niej zupełnie inne nazwisko, co Organek skonstatował z przykrością, szybko jednak odpędził tę myśl i uniósł zwiniętą w pięść dłoń.

– Gotowa? – zapytał, zwracając się do Lindy.

– Absolutnie nie, ale tym bardziej pukaj.

Łup, łup, łup. Dźwięk poniósł się głośnym echem potęgowanym przez ciszę panującą w tej części korytarza. Czasami można było tu usłyszeć muzykę

Iron Maiden, jednak dziś Jeremi miał wolne, a pozostali lekarze zazwyczaj pracowali w ciszy.

– Gość w dom! – rozległo się po drugiej stronie drzwi, a sekundę później Organek i Linda znajdowali się już przed obliczem jaśnie panującego Prometeusza Płomyczka.

15
PAN WYBACZY, MUSZĘ PANA TROCHĘ POMACAĆ

– Czyli mówisz, że nie masz pojęcia, czego chcieli od ciebie nasi znajomi z policji kryminalnej? – Głos Jeremiego brzmiał tak, jakby patolog rzeczywiście wierzył w kłamliwe zapewnienia swojego pryncypała. Już sam fakt, że ten człowieczek o irytująco radosnym usposobieniu był jego przełożonym, wybitnie działał mu na nerwy. Ale jeszcze bardziej nie lubił, gdy ktoś złapany na kłamstwie wypierał się tego w żywe oczy.

– Absolutnie, słoneczko! – zapewniał Płomyczek.

– Przyszli tu na pogawędkę? Tak po prostu: wpadli na kawę, bo szczególnie lubią towarzystwo nieboszczyków?

– Ależ skąd, Jeremi, przecież ja ich do chłodni nie wpuszczałem – zaperzył się szef. – No i tak całkiem po prawdzie to, słoneczko, oni nie byli zbyt rozmowni. O Janickiego pytali – wypalił, łapiąc się nagłego skojarzenia.

– O Janickiego? – zdumiał się Organek. – A czego oni mogli od niego chcieć?

Płomyczek wzruszył ramionami, równocześnie strzelając oczami na wszystkie strony. Nawet gdyby Jeremi nie wiedział, że tamten kłamie, z całą pewnością wywnioskowałby to z jego mowy ciała. A owo ciało, niewielkie bo niewielkie, krzyczało wszem wobec: kłamca! oszust! łgarz!

– A bo ja wiem… – Mężczyzna przygryzł dolną wargę. – Nie wypadało pytać, no wiecie…

Granice ludzkiej głupoty są z gumy w przeciwieństwie do granic cierpliwości. Organkowa cierpliwość skończyła się ułamek sekundy wcześniej.

– Prometeuszu – wycedził tak lodowato, że kropelka potu na czole Płomyczka zamarzła w okamgnieniu. – Może i jesteś moim przełożonym, na niektóre nieszczęścia nie mamy żadnego wpływu, ale nie pozwolę, żebyś obrażał moją inteligencję. Poza tym kłamać trzeba umieć, a tobie wychodzi to tak nieudolnie, że zacząłem się zastanawiać, czy aby nie powinieneś wziąć kilku lekcji u Lindy.

Dziewczyna drgnęła, usłyszawszy swoje imię, co wyrwało ją z paraliżującego stuporu. Przez kilka ostatnich minut stała bez ruchu, nawet kosmyk włosów jej nie drgnął, i chłonęła wzrokiem występ Organka, który bezapelacyjnie mógłby zagrać Danny'ego Oceana w remake'u jednego z jej ulubionych filmów.

– Dżer? – odezwała się z tak nietypową dla niej nieśmiałością, że przez moment nie wiedziała, czy ta sylaba aby na pewno wyszła z jej ust.

– Co myślisz na ten temat, Lindo? Potrafi kłamać czy nie potrafi? – drążył Organek, przeszywając wściekłym spojrzeniem coraz bardziej wystraszonego toksykologa.

Choć z natury mały, teraz Prometeusz Płomyczek wyglądał tak, jakby jeszcze się skurczył.

– Lindo… – pisnął niziołek, najwidoczniej szukając ratunku u dziewczyny, której zaskoczenie błędnie wziął za objaw współczucia.

– No… Łże jak pies – stwierdziła, odzyskawszy normalny rezon. – Mota i plącze się w zeznaniach. Gołym okiem widać, że na studiach nigdy nie ściągał, to i wprawy nie ma za grosz.

Płomyczek zamrugał energicznie, a z jego czoła spłynęły dwie strużki potu.

– Ale co wy…? O co wam…? Dlaczego się na mnie uwzięliście? – Niemal płakał, choć może nawet już uronił jakąś łzę, przenosząc oszołomione spojrzenie z Lindy na Organka i z powrotem.

– Słuchaj, Promek. – Linda postanowiła skorzystać ze znanej jej techniki przesłuchań, której używali na co dzień gliniarze. – Nie ma sensu w to brnąć, bo ty wiesz, że my wiemy, a skoro my wiemy, że ty wiesz, że my wiemy,

to przecież udawanie nie ma żadnego sensu. Powiedz nam, o co chodziło naszym nieulubionym policmajstrom, a my damy ci spokój i wrócimy do *love and peace*. Zgoda?

Płomyczek wciąż nie wyglądał na przekonanego, choć może zasadniej byłoby stwierdzić, że niezupełnie zrozumiał przekaz Lindy.

– Och, do diabła, człowieku! – wybuchł Organek, tracąc całkiem spokój. – Mów, czego chcieli, czego masz nam nie mówić, i rozchodzimy się do swoich zajęć.

– Ale… Obiecałem – pisnął złamany już toksykolog.

– No i złamiesz obietnicę, nie ty pierwszy i na pewno nie ostatni – skwitowała dziewczyna, przewracając oczami. – Jeśli cię to pocieszy, to my też obiecaliśmy, a wcale nie zamierzamy grzecznie się stosować, więc czuj się rozgrzeszony.

Wreszcie coś poskutkowało.

– Wy? Wy tym miłym policjantom coś obiecaliście?

– Nie wiem, czy określiłabym ich mianem miłych, to brzmi trochę jak oksymoron, ale tak: obiecaliśmy – potwierdziła. – To jak? Czego masz nam nie mówić?

Jeszcze się wahał. Przygryzał wargę, pocił się jak prosię na ruszcie, przestępował nerwowo z nogi na nogę, aż w końcu pękł.

– No dobrze. Ale nie wydacie mnie? To podobno sprawa najwyższej wagi jest. – Ostatnie słowa wypowiedział przyciszonym tonem, jakby się obawiał, że któryś z lokatorów pobliskiej chłodni mógłby się okazać kłapiącym dziobem konfidentem.

– Będziemy milczeć jak kartuzi – zapewniła Linda.

Organek tylko skinął głową na znak, że już zaczął stosować się do klasztornych ślubów milczenia.

– No dobrze, słoneczka. Sprawa tak się ma, że doktor Baczmański ponowną ekspertyzę mi zlecił – wyrzucił z siebie niemal jednym tchem Płomyczek. – Jakiś młodzieniec, uduszony, toksykologię trzeba wykonać.

Linda z Organkiem milczeli, zgodnie ze złożoną obietnicą, ale wprawny obserwator mógłby zauważyć szybką wymianę spojrzeń, która nastąpiła najpierw przy okazji wymienienia nazwiska Baczmańskiego, a następnie na hasło „uduszony". Strzał był ryzykowny, ale jak wielu uduszonych mógł aktualnie mieć na stole naczelny patolog sądowy?

– I to wszystko? – wyrwało się Lindzie. – Żadnych szczegółów? Smaczków? Nic?

– Nazwisko chociaż masz? – upewnił się Jeremi.

Płomyczek łypnął na niego złym okiem i chrząknął z przyganą.

– Moje nazwisko znasz, słoneczko. A tego młodzieńca z pewnością w raporcie się znajdzie. – Nagle pobladł i porządnie go zatchnęło. – Nie mówcie, że chcecie obejrzeć denata!

– Przecież nic nie mówimy – odparł Jeremi i ruszył do drzwi. – Zajmij się czymś przez kilka minut. I jakby co, nas tu nigdy nie było.

Oszołomiony kierownik Zakładu Medycyny Sądowej nie zdążył nawet zareagować, choć jego usta pozostały otwarte. Ostatecznie, nie wiedząc, co mógłby zrobić innego, machnął ręką i otarł pot z czoła. Kiedy za gośćmi, których oficjalnie wcale u niego nie było, zamknęły się drzwi, usiadł w fotelu, wydudlił szklankę wody i zapatrzył się w okno. Od nadmiaru wrażeń kręciło mu się w głowie, ćmiło za prawym okiem, a w dodatku zjedzona niedawno kanapka z dojrzewającymi serami i wędzoną gruszką zaczęła cofać się do przełyku.

Nie znajdując żadnego innego rozwiązania, Prometeusz Płomyczek uruchomił playlistę w telefonie i już po chwili w gabinecie rozbrzmiały skoczne takty jednej z jego ulubionych piosenek, przynosząc mu ukojenie równie silne jak wściekłość, w jaką wprawiały Jeremiego Organka, nienawidzącego disco polo na równi z kłamstwem, obłudą i głupotą. Na całe szczęście mury starego szpitala były solidne, więc obrzydliwe dźwięki nie wydostały się poza niewielkie pomieszczenie.

Nagle uderzyła go myśl, że z wrażenia zapomniał nawet, po co właściwie wezwał do siebie Organka, a przecież była to kwestia dość istotna. Odruchowo chciał zerwać się z fotela i biec do prosektorium, ale w głowie zadźwięczał mu głos Jeremiego rozkazujący mu zajęcie się czymś przez kilka minut.

Autorytarnie uznał, że „kilka” to nie więcej niż kwadrans, nastawił alarm w zegarku i wrócił do relaksowania się, rytmicznie poruszając prawą nogą. A co tam, w końcu nikt o niczym się nie dowie.

Po powrocie do komendy komisarz Michał Bączek najpierw skonsumował zupkę instant, która „chińska" była jedynie z nazwy, „orientalny" aromat zawdzięczała niemal całej tablicy Mendelejewa w składzie, a w smaku przypominała coś, czego matka policjanta „nie podałaby nawet świniom hodowanym u prababki na wsi pod Lublinem". Jemu zaś wystarczało, że była ciepła, a hydrolizowany makaron skutecznie oszukiwał głód. Skoro nie było kanapek pani Wilczyńskiej z szarpaną wieprzowiną, jemu gotować zwyczajnie się nie chciało, to trzeba było radzić sobie studenckimi sposobami.

Napełniwszy żołądek, rozsiadł się na krześle i pogrążył w zadumie. Nadinspektor przyznał sobie wcześniejszy fajrant w nagrodę za sukcesy na polu Organkowo-Płomyczkowym, jakkolwiek idiotycznie to brzmiało, przez co resztę popołudnia Bączek miał spędzić w samotności. Nawet mu to pasowało, w końcu miał czas na zebranie myśli, podsumowanie dotychczasowych informacji i przejrzenie notatek, jakie powstawały spontanicznie w trakcie dnia. Był pewien, choć może to zbyt mocne określenie – lepiej powiedzieć: miał przeczucie – że pośród masy nieistotnych rzeczy zawieruszyło się coś, czemu powinien lepiej się przyjrzeć.

– Przyjrzeć, przyjrzeć, czemu ja powinienem się przyjrzeć… – zastanawiał się na głos, masując brzuch. I w końcu na to wpadł: – List!

Ani przez chwilę nie wierzył, że Linda Miller nie zrozumiała zakodowanego w liście przesłania. Nie było jednak możliwości, żeby wszedł do jej głowy i wyciągnął z niej potrzebną mu wiedzę. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że nie uda mu się powiązać potencjalnie nic nieznaczącego zlepku pojedynczych wyrazów, ale kto nie próbuje, ten dopuszcza się grzechu zaniechania. Przynajmniej takie motto przyświecało komisarzowi Bączkowi, odkąd w klasie maturalnej uciekł jak niepyszny spod drzwi sali, w której odbywał się wojewódzki szczebel olimpiady historycznej. Stchórzył i uciekł, a później wyrzucał to sobie całymi latami. Tym razem nie zamierzał się poddać bez walki, choćby odniesione w jej trakcie rany miał

leczyć do końca życia. Przecież jeśli chodzi o Lindę Miller, to nigdy niczego nie można być pewnym…

Wyjął notatnik, w którym zapisał listę słów, i przebiegł po niej wzrokiem kilka razy, starając się uruchomić skojarzenia.

Sophię, Tobie, Zaufać, Zrobić, Zacząć, Zrozumieć, Skarb, Zagadka, Zwłok, Detektywka, Podejrzewał, Będziesz, Wiedziała, Obraz, Nie, Policja, Barokowa, Wenus.

Skojarzenia jak na złość nie chciały się pojawić, spróbował więc innej metody. Wypisał słowa w kolumnie, a następnie dopasowywał do nich możliwe wyjaśnienie, ale i to ćwiczenie nie przyniosło pożądanego efektu. Ani nawet zadowalającego.

Sophię – „imię" samochodu. (Idiotyzm!)
Tobie – odnosi się do Lindy
Zaufać – prawdopodobnie oznacza poufność
Zrobić – czyżby polecenie podjęcia działań?
Zacząć – kompletnie nie wiem
Zrozumieć – może odnosić się do powodu przekazania samochodu
Skarb – to chyba jest istotne
Zagadka – i tu jest pies pogrzebany
Zwłok – możliwe, że chodzi o zwłoki Żywiuszki
Detektywka – dobre sobie…
Podejrzewał – ?
Będziesz Wiedziała – chyba bardzo w nią wierzył
Obraz – ?
Nie Policja – typowy Polak…
Barokowa Wenus – Wenus w znaczeniu planety? Albo może jako synonim miłości?
Sprawdzić znaczenia!

Niezadowolony odłożył długopis, po czym znów się zamyślił. Z tego myślenia wyszło mu niewiele, za to wściekłość spowodowana bezsilnością rosła w postępie geometrycznym. Rozsierdzony do żywego chwycił słuchawkę telefonu i wybrał numer do jedynej osoby, która – był tego pewien – wysłucha

go uważnie i być może natchnie. Albo sprostuje niewłaściwe wnioski. Tak czy siak nie zaszkodzi, więc warto zaryzykować.

– Już się stęskniłeś, komisarzu? – Głos Baczmańskiego brzmiał tak, jakby medyk został nagle wyrwany z drzemki.

– Za twoim geniuszem? W następnej sekundzie po wyjściu z jaskini zła!

– Zaczynamy od pochlebstwa? Czyli wydział kryminalny ma jakąś poważną zagadkę do rozwiązania. Wal.

Bączek uśmiechnął się pod nosem i po raz kolejny pochwalił w myślach błyskotliwość patologa. Nie bez powodu mówiło się o tym, że komenda wojewódzka bez Baczmańskiego miałaby dużo niższą skuteczność. Komisarz Michał Bączek był tego doskonale świadom, sam przecież wielokrotnie stał się beneficjentem erudycji swojego przyjaciela, za co pozostawał mu dozgonnie wdzięczny.

Doktor Baczmański odznaczał się także wielką uważnością i wrażliwością na szczegóły i niuanse, toteż składane mu sprawozdania musiały być tak dokładne, jak tylko było to możliwe. Bączek przekazał więc wszystko, co wydarzyło się w trakcie spotkania w domu Lindy Miller, zaś listę zagadkowych słów powtórzył dwukrotnie.

– Faktycznie, bez znajomości kontekstu raczej trudno strzelić celnie – zawyrokował patolog po chwili namysłu. – Myślę jednak, że powinieneś się skupić na tych słowach, które mogą cię naprowadzić na temat. Bo bez wątpienia jakiś temat tego przekazu być musi. Takich wiadomości nie zostawia się dla zabawy, a już na pewno nie ukrywa się ich w podsufitce wartościowego samochodu. – W słuchawce na chwilę zapadła cisza, jednak Bączek wiedział, że ciąg dalszy nastąpi. I wcale się nie pomylił. – Swoją drogą to naprawdę zmyślna forma komunikacji, nie sądzisz? – zapytał z pochwałą w głosie Baczmański. – Gdyby panna Miller nie była do tego przyzwyczajona, pewnie nigdy nie znalazłaby tego listu, nie, Michaś?

– Pewnie nie. – Bączek nie zdążył się nad tym zastanowić, jednak brzmiało to sensownie. Bartman musiał wiedzieć, że Linda domyśli się istnienia skrytki. Co oznaczało, że… Detektyw spojrzał na kartkę, a lampka w jego głowie włączyła ostrzegawczy stroboskop. – Remik? – odezwał się tonem na poły podekscytowanym, na poły niepewnym. – Jeśli ten cały Ajax

zostawił ten list przed swoją śmiercią, to jakim cudem mógł napisać o zwłokach Żywiuszki, który nie żyje od kilku dni?

– Bardzo dobre pytanie, komisarzu Bączek – ocenił z pochwałą patolog. – Sam się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że to niemożliwe.

– Chyba że mamy do czynienia z osobą podróżującą w czasie – zgodził się Bączek.

– Istnieje kilka mniej fantastycznych możliwości…

– Na przykład taka, że śmierć Żywiuszki była pewna.

– Albo taka, że Bartman wcale nie umarł i był świadkiem śmierci kolegi – podpowiedział Remigiusz.

– A nie miało być mniej fantastycznie?

– To żadna fantastyka, Michaś – odparł poważnie lekarz. – Zastanów się nad instytucją świadka koronnego. Tacy ludzie umierają na niby tylko po to, żeby stać się kimś innym. Trzy podpisy, trochę kasy i załatwione.

Bączek musiał się z tym zgodzić i natychmiast postanowił sprawdzić w Komendzie Głównej i CBŚ, czy Ajax Bartman mógłby znaleźć się pod ochroną. Było to wątpliwe, ale przecież właściwie niewiele o nim wiedział.

– No dobra, jest to jakaś myśl – zgodził się, choć z oporami. – Biorąc pod uwagę, że chłopak raczej głodem nie przymierał, znajomości dzięki rodzinie miał więcej niż Michael Jackson fanów po płycie *Bad*, to pewnie zniknięcie nie byłoby dla niego żadnym problemem.

– Absolutnie – potwierdził Baczmański. – Zaciekawiła mnie ta sprawa i pozwoliłem sobie trochę popytać o tego całego Bartmana. Uwierz mi, Michaś, z jego koneksjami mógłby nawet zupełnie wymazać się z historii.

– Świetnie – westchnął Bączek, ze smutkiem myśląc o stanie własnego konta, które pozwoliłoby mu co najwyżej wymazać zaległość w firmie telekomunikacyjnej. – Mamy więc hipotezę do sprawdzenia, zawsze to jakiś start.

– Myślę, że masz dużo więcej niż start, komisarzu – odezwał się tonem belfra Remigiusz. – Jeżeli Bartman żyje, to znaczy, że miał poważny powód, żeby sfingować swoją śmierć. I mimo to naraził się na dekonspirację, przekazując samochód z zaszyfrowaną wiadomością swojej byłej dziewczynie. Zastanów się, dlaczego to zrobił i dlaczego właśnie jej.

– Rozumiem, że nie stawiałbyś na siłę nierdzewiejącej starej miłości?

– Aż tak romantyczny nie jestem, choć czułbym się miło zaskoczony, gdyby jednak okazało się to prawdą. – Baczmański roześmiał się ciepło, jakby ta myśl wzbudziła w nim jakieś miłe skojarzenia. – Przeczytaj jeszcze raz te słowa.

Bączek odczytał listę, ale nim doszedł do końca, zrozumiał, co chodziło po głowie jego przyjacielowi.

– Detektywka, zagadka, zwłoki – wyrzucił jednym tchem. – Według Miller on tu raczej nawiązuje do sprawy z Mokrzeszowa, ale moja intuicja mówi, że wcale nie o nią chodzi. Kiedy masz przed oczami jedne zwłoki, zwykle nie myślisz o innych.

– Też tak uważam. Jesteś pewien, że w liście nie było czegoś, co wskazałoby na to bezpośrednio?

Bączek sklął się paskudnie za to, że nie zrobił zdjęcia kartce, jedynie skopiował wyszczególnione słowa. Cholera jasna by to wzięła! A już na pewno mogłaby wziąć tę okropną Lindę i jej sekrety!

– Czyli pracujemy na hipotezie, że Bartman żyje, stało się coś, co zmusiło go do udawania trupa, a Linda Miller jest osobą, która według niego mogłaby odkryć, co się wydarzyło? – upewnił się, myśląc głośno i notując ową myśl w notesie.

– Brzmi sensownie.

– A to wszystko pozostałe? Te zaufania, Wenus, skarby?

– *One problem at a time*, *my dearest Watson.* – Baczmański pokusił się o filozofię. – Zacznij od tego, a kolejne rozwiązania pojawią się w trakcie. A, Michaś?

Bączek mruknął coś, co miało znaczyć, że nie jest zbyt zadowolony z odpowiedzi przyjaciela.

– Barokowa Wenus brzmi dziwnie, może sprawdź i to w wolnej chwili – dodał Remik.

Rozmowę zakończyli standardowym pozdrowieniem i obietnicą spotkania przy szachach. Bączek odłożył słuchawkę, wypuścił powietrze z płuc i odkleił mokrą koszulkę od pleców. Temperatura wciąż utrzymywała się powyżej trzydziestu stopni Celsjusza, co w żadnym wypadku nie sprzyjało dobremu samopoczuciu policjanta. Dawno już stwierdził, że powinien był urodzić się w Szkocji albo w Norwegii, chociaż nigdy nawet nie pomyślał o emigracji. Zresztą – z takim nazwiskiem?

– *One problem at a time* – powtórzył słowa przyjaciela. – No dobrze, weźmy się więc za bary z problemem denata. A właściwie… eksdenata, jeśli mamy rację.

Za oknami panował już całkowity mrok, kiedy zmęczony jak Łysek z pokładu Idy komisarz Bączek opuszczał budynek komendy. Przekrwione od ślęczenia przy komputerze oczy i aż nazbyt wyraźne oznaki wyczerpania sprawiły, że lokalni autochtoni wzięli go za swojego i zaproponowali podzielenie się napojem wyskokowym. Odmówił, zupełnie odruchowo, po czym wsiadł do samochodu i pojechał do domu.

Marzył o długiej, relaksującej kąpieli, przyjemnym chłodzie pościeli i wygodnym materacu. Nie marzył natomiast o otrzymaniu wiadomości, którą zobaczył po wyjściu z wanny, a którą skwitował gorzkim, wypowiedzianym głośno stwierdzeniem:

– A dajcie wy mi wszyscy spokój z wycieczkami krajoznawczymi.

Odpowiedział jednak kulturalnie, jak na wykształconego mężczyznę w średnim wieku przystało, zapewniając nadinspektora Wilczyńskiego, że z radością odbierze go rano z domu i zawiezie do Wlenia.

Jeremi trafił na właściwą szufladę już przy trzeciej próbie, co uznał za łut szczęścia i uśmiech losu zarazem. Pomyślałby, że to dobra wróżba, ale aż tak wolał nie ryzykować, wszak licho nie śpi, a dnia przed zachodem słońca nie należy chwalić. Chłopaka rozpoznał od razu, a na pewno rozpoznała go Linda, o czym świadczyła jej skrzywiona mina.

– No, szczególnie piękny to on nie był – stwierdziła.

– Przed śmiercią wyglądał lepiej – pouczył ją anatomopatolog. – Poza tym być może miał inne zalety, Lindo, nie należy oceniać człowieka na podstawie jego wyglądu.

– Łatwo ci mówić – prychnęła dziewczyna. – Ciebie akurat na pewno nigdy nie oceniono na mniej niż siedem, więc się nie wymądrzaj. Gdybyś wyglądał jak taki na przykład…

– …Prometeusz? – podpowiedział Jeremi.

– No choćby. Tylko pomyśl: ani urody, ani postury. Co prawda nadrabia charakterem i usposobieniem, ale wiesz, nikt nie widzi usposobienia w pierwszych sekundach. Ten tutaj pewnie też był fajny. Może miał ciekawą pasję. Albo pięknie się wypowiadał, pisał wzruszające wiersze, malował cudowne portrety… No nie wiesz, nigdy nie wiesz, co się kryje pod tą ludzką powłoką.

– „Ten tutaj" nazywał się Mariusz Żywiuszko – przypomniał jej medyk. – Pan wybaczy, panie Mariuszu, muszę pana trochę pomacać. Ale będę subtelny.

Linda odruchowo cofnęła się o dwa kroki, podczas gdy Organek, wyposażony już w rękawiczki, rozpoczął procedurę obdukcji. Jak zawsze starał się być delikatny, niemal czuły, nigdy bowiem nie pozwoliłby sobie na zapomnienie, że ma przed sobą istotę ludzką. To nic, że niezbyt żywą, a wręcz całkiem martwą, dla niego wciąż był to człowiek z całą swoją godnością, indywidualnością i prawem do bycia szanowanym.

– Hmm, Lindo? – Jeremi pochylił się nieco nad szyją denata i przyglądał się czerwonej prędze wyraźnie odcinającej się na bladej skórze.

– Jeśli twoje pytanie dopuszcza odpowiedź z tej odległości, to służę – odrzekła dziewczyna. – W innym wypadku mowy nie ma.

Zdezorientowany patolog podniósł głowę, ale po chwili dotarło do niego, że przecież Linda niespecjalnie lubiła bliskość nieżywych. Co prawda nie mdlała, nie krzyczała ani nie wymiotowała, co zawdzięczała głównie brakowi węchu, jednak wolała trzymać się z daleka.

– Ach, dobrze, pewnie i tak nie byłabyś w stanie mi pomóc. Hmmm… – Znów się zadumał, jakby coś nie dawało mu spokoju. – Przydałoby się obejrzeć to od środka…

– Oooo nie! – zaoponowała Linda. – Nie zgadzam się na żadne krojenie! Już ktoś zrobił z niego potwora Frankensteina, ty nie musisz

ingerować.

– Nie ktoś, tylko doktor Baczmański – poprawił ją patolog z wyraźnym zachwytem w głosie. – Przepięknie to zrobił, prawdziwy wirtuoz.

– Ty jednak jesteś nienormalny, doktorku. I masz zaburzony kanon piękna. Ale już mów, skoro i tak wzdychasz. Co ci nie pasuje?

– Spójrz na tę pręgę – rzucił, równocześnie przeciągając palcem wskazującym wzdłuż czerwonej linii. – To oczywiste, że zostawił ją sznur, sądząc po szerokości, raczej gruby, może lina? Ale tkanka nie jest przerwana, a szrama wydaje się płytka. Jestem gotów stwierdzić, że krtań nie została uszkodzona.

W tej chwili drzwi do pomieszczenia stanęły otworem, wpuszczając do środka niewysokiego człowieka ubranego w biały kitel.

– Słuszny wniosek, doktorze Organek – stwierdził Płomyczek i zamknął za sobą drzwi. – Nasze słoneczko z całą pewnością nie umarło wskutek zadzierzgnięcia.

– Więc skąd ta szrama? – Linda zapomniała się oburzyć z powodu najścia szefa prosektorium, złapana w sidła ciekawości.

– Ktoś niewątpliwie postarał się, żeby wyglądało to jak uduszenie – odpowiedział Jeremi, marszcząc brwi.

– Chciał ukryć prawdziwą przyczynę śmierci! – domyśliła się dziewczyna, a jej oczy rozszerzyły się z ekscytacji. – Genialne!

– Raczej wyjątkowo głupie – odparł Organek. – Zważywszy na to, że obdukcja w przypadku zadzierzgnięcia jest obowiązkowa.

– Chyba że ten wyjątkowo głupi ktoś myślał, że prawdziwej przyczyny zgonu nie da się ustalić w autopsji – kombinowała rudowłosa, nieświadomie zbliżając się do zwłok. – To chyba jest możliwe, prawda?

– Hipotetycznie – odpowiedział Prometeusz. – Istnieją na przykład trucizny, które rozkładają się bardzo szybko, zwłaszcza te wchłaniane przez skórę. Jest kilka możliwości.

– Co wskazał Baczmański jako przyczynę zgonu? – Jeremi przeszył szefa lodowatym spojrzeniem profesjonalisty.

– No właśnie nie wskazał – bąknął z wyraźną niechęcią Płomyczek. – Zatrucie cykutą podejrzewał, ale wydawać takiej opinii bez drugiej ekspertyzy nie chciał.

– Cykutą? Jak Sokrates?! – Historyczna dusza Lindy właśnie doznała czegoś porównywalnego do silnego uniesienia.

Na te słowa Prometeusz Płomyczek, doktor habilitowany nauk medycznych, szef Zakładu Medycyny Sądowej jednego z największych szpitali na Dolnym Śląsku, omal nie eksplodował.

– Co ty za brednie powtarzasz, słoneczko ty moje najjaśniejsze?! – wrzasnął, machając krótkimi rączkami. – Jaka cykuta? Jaki Sokrates?! Czego oni teraz uczą na tych uniwersytetach? Nazwisko profesora natychmiast mi podaj, już ja mu wyjaśnię, że należy wiedzę sprawdzać! SPRAWDZAĆ!!!

Oszołomiona Linda przyglądała się rozwścieczonemu toksykologowi, mrugając z szybkością, z jaką poruszają się skrzydła ważki. Nie była w stanie sformułować pytania, więc spojrzała błagalnie na Organka.

– Istnieje błędne przekonanie – odpowiedział ze spokojem Jeremi – że Sokratesa uśmiercono cykutą pochodzącą z tojadu. Tymczasem w rzeczywistości posłużono się rośliną równie, jeśli nie bardziej śmiercionośną, zawierającą truciznę o jeszcze silniejszym działaniu.

– Właśnie! – wydarł się Płomyczek, ledwo łapiąc oddech. – Żadna tam pospolita cykuta, to koniina odpowiadała za śmierć Sokratesa! A koniina, razem z cykutą, znajduje się w szczwole plamistym!

– Eeee, w czym? – Dziewczyna uniosła jedną brew i patrzyła na toksykologa z wyraźnym powątpiewaniem.

– Taka pietruszka śmierdząca myszami – rzucił Organek i mrugnął do Lindy.

– Sam jesteś pietruszka! – ryknął niziołek. – Szczwół jest byliną występującą nader powszechnie, ale śmiertelnie niebezpieczną. Zawiera koniinę, cykutę, kwas mrówkowy i masłowy. Zjesz dwa liście i po tobie, słoneczko. Ziemniaków posypywać nim bym nie radził.

– Ale wygląda jak pietruszka? – drążyła Linda.

– Może trochę… – Płomyczek musiał skapitulować. – Ale nie na tyle, żeby je pomylić.

– I rozumiem, że skoro Sokrates umarł od tej niby-pietruszki, to musi działać na ośrodek ruchu? – Dusza historyczki postanowiła naprawić błędy w wykształceniu.

– Dokładnie tak. Koniina paraliżuje układ nerwowy, a w przypadku ostrych zatruć może prowadzić do śmierci przez uduszenie. – Organek

uprzedził kolegę, z czego wydawał się dziwnie zadowolony.

– A dużo tego chabazia trzeba przyjąć, żeby… no, umrzeć?

Obaj lekarze pokręcili głowami, co stanowiło jednoznaczną informację o toksyczności śmierdzącej myszami pietruszki. Ciekawość Lindy została więc zaspokojona, choć wciąż pozostawała kwestia przyczyny śmierci leżącego przed nią Mariusza Żywiuszki.

– Jak szybko możesz to sprawdzić? – zapytał Płomyczka Jeremi, myśląc o tym samym.

– Zaraz się do tego zabrać zamierzałem – odpowiedział już uspokojony toksykolog. – Muszę pobrać próbki, chromatograf jest gotowy.

Lekarze wdali się w dysputę dotyczącą najpierw tego, czy krew do badania pobrać z serca, czy może jednak lepiej mielić wątrobę, następnie zagłębili się w metody chromatografii, z czego Linda rozumiała jedynie spójniki, wycofała się więc w odległy kąt pomieszczenia i postanowiła pooglądać ściany. Były białe, dawno nieodświeżane, ale poza tym nic ciekawego. Przeniosła wzrok na metalową szafkę, obok której stało takież biurko, a na biurku…

– Ej, Dżer! Tu jest napisane, że umarlak miał trzykrotnie powiększoną wątrobę!

Obaj patologowie spojrzeli na nią zaskoczeni, po czym podążyli wzrokiem za spojrzeniem dziewczyny. Płomyczek zorientował się pierwszy i przyskoczył w dwóch susach do Lindy, złapał raport przekazany wraz z denatem i zgromił dziewczynę wzrokiem.

– Słoneczko, niektóre rzeczy dla twych pięknych oczu nie są!

– No weź, Promek! – Linda nie zamierzała dać za wygraną. – Powiedz nam, co tam ten mistrz zszywania truposzy odkrył, i damy ci spokój. Słowo blogerki!

– Nie ma mowy, to poufne.

– Poufne-srufne – zakpiła dziewczyna. – Taki z ciebie kolega, co? Zobaczymy, czy będziesz taki mądry i porządnicki, kiedy będziesz chciał się dowiedzieć, jak zakończyła się nasza nowa sprawa zakrawająca na kryminał łamane na thriller.

W ciszy prosektorium słychać było, jak szklana tarcza uporu Płomyczka opadła i rozsypała się w drobny mak. Pośród wielu niewątpliwych zalet genialny toksykolog posiadał bowiem jedną wadę, która z dużą dozą

prawdopodobieństwa mogła nie mieścić się w jego małym ciele. Była to niepohamowana, nieokiełznana i nieposkromiona ciekawość graniczącą ze skłonnością do uwielbienia sensacji. Linda od początku podejrzewała, że ani Baczmański, ani policjanci nie wtajemniczyli Prometeusza w szczegóły śledztwa, nie miał więc pojęcia, że wszystkie smaczki dotyczące odnalezienia spoczywającego na szufladzie nieboszczyka znajdują się w posiadaniu tych dwojga.

– To jak będzie z tym raportem? – zapytał Jeremi głosem ociekającym fałszywą słodyczą i nieszczerą łagodnością.

Płomyczek walczył ze sobą. Och, jak wyraźnie było widać tę grę mięśni, to zmarszczone czoło, ten niespokojny wzrok, te zaciśnięte usta. Dwoje szantażystów naznaczonych piętnem zamieszania w tajemniczą zbrodnię patrzyło na niego, nawet nie kryjąc złośliwej satysfakcji.

– A żeby was przeczyściło – wycedził przez zaciśnięte zęby niziołek, a Linda i Jeremi wymienili między sobą triumfalne spojrzenia.

Niebawem miało się okazać, że nie byli w stanie przewidzieć, jak wielkim sukcesem okaże się drobny szantażyk.

16
KLĘSKA URODZAJU BOGATYCH Z DOMU PRÓŻNIAKÓW

– No i wtedy podchodzi do mnie ten dziadzio, pyta, czy ja jestem mną, i ogłasza, że odziedziczyłam samochód po eks denacie. – Dojście do tego etapu historii zajęło Lindzie kilkanaście minut. Płomyczek wciąż dopytywał o szczegóły organizacji wystawy MotoClassic, zdarzyło mu się nawet zagadnąć, czy przypadkiem zwróciła uwagę na gatunek drzewa, pod którym stały bentleye, i z zawodem przyjął informację, że „flora interesowała ją w takim samym stopniu jak polityka". – A ten samochód to jest nie tam żaden golf czwórka albo fiat punto, tylko najprawdziwsza, oryginalna, wypieszczona corvetta! Moja corvetta!

– Ce trzy stingray roadster kabrio z sześćdziesiątego dziewiątego? – Prometeusz trzymał się za głowę i oddychał nadmiernie szybko, jakby za chwilę miał paść trupem. Miejsce ku temu było właściwe, ale jednak okoliczności nie najlepsze.

– Ehe! – Linda pokiwała głową, uśmiechając się do własnych myśli. – Silnik pięć i siedem litra, osiem cylindrów, trzysta siedemdziesiąt pięć koni, pięć i pół do setki.

– A niech mnie dur brzuszny… – Prometeusz oparł się o metalowy stół, który sięgał mu nieco ponad pas. – Takie cacko! A prowadzi się pewnie

jak złoto!

– No i tu właśnie zaczyna się właściwa akcja naszej historii – odparła cierpko dziewczyna. – Wyobraź sobie, Promek, taką sytuację: otwieram bagażnik, żeby sprawdzić, czy zmieści się do niego moja walizka…

– Szafa – poprawił ją milczący dotychczas Jeremi.

– …duża walizka, a tam zewłok. Płci męskiej, raczej młody, dosyć szczupły, ale na pewno martwy. Bo gdyby to jeszcze jakiś chip'n'dale był, to co innego, ale nie! Zwykły, nawet nie średni, tylko więcej podły nieboszczyk. W moim nowiusieńkim pięćdziesięcioczteroletnim samochodzie!

Nietrudno się domyślić, że zwłaszcza zagadnienie znalezionego w bagażniku nieboszczyka wymagało doszczegółowienia i przybliżenia Płomyczkowi wszystkich możliwych okoliczności, tym razem jednak Jeremi postanowił się włączyć, hamując co odważniejsze podszepty wyobraźni Lindy. Gdyby nie interweniował, w umyśle Prometeusza powstałby obraz żywcem wyjęty z horrorów, w których głównym elementem scenografii jest sos truskawkowy pomieszany z keczupem.

– I powiem ci szczerze, Promek, że gdy tylko otworzyłam ten bagażnik, to w tej samej sekundzie pożałowałam, że odmówiłam tej całej Salomei sprzedaży Sophii. Oszczędziłabym sobie dużo problemów, niezbyt miłych kontaktów z jeszcze mniej lubianymi policjantami i konieczności odwiedzania miejsc o z założenia chłodnej atmosferze. – To powiedziawszy, omiotła nieprzychylnym spojrzeniem pomieszczenie, w którym się znajdowali, żeby wyraźnie podkreślić, czego wolałaby uniknąć.

– Poznałem kiedyś jedną Salomeę – oznajmił znienacka Płomyczek, a na jego okrągłej twarzy zagościł wyraz rozanielenia. – Piękna ona była, wysoka i smukła niczym topola, głos miała anielski, szyję łabędzią, włosy miękkie i błyszczące…

– Ej, nie odpływaj. – Linda przywołała go do rzeczywistości, krzywiąc się z wyraźną dezaprobatą. – Trochę dziwnie byś wyglądał z taką laską o wzroście topoli.

– A czy to ma jakiekolwiek znaczenie, moje słoneczko? – odparł bez cienia urazy. Wciąż wyglądał tak, jakby błądził myślami gdzieś daleko. – Każda chwila rozmowy z tym wcieleniem bogini była jak spełnienie najpiękniejszych snów. Poza tym na siedząco różnica wzrostu nie była aż tak widoczna, bo ona najdłuższe miała nogi, a tułów raczej średni.

– To sporo wyjaśnia – skwitowała Linda rzeczowo, po czym coś ją tknęło. – Ejże, ta moja też miała długie kopyta, właśnie sobie to przypomniałam. W całości była zjawiskowa, ale rzeczywiście od pasa w górę jakaś krótsza. Może to ta sama?

– Zbiegi okoliczności się zdarzają – stwierdził filozoficznie Prometeusz, kiwając głową.

– Nam szczególnie często – odezwał się w końcu Jeremi, a jego czoło zdobiła głęboka poprzeczna zmarszczka. – Zaczynam podejrzewać, że w naszym wypadku każdy zbieg okoliczności jest jedynie kolejnym elementem układanki podrzucanym nam przez złośliwe fatum. Myślę, że…

– Powinniśmy ją sprawdzić – dokończyła Linda. – Tę Salomeę od Promka znaczy, bo tej mojej musielibyśmy szukać chyba przez organizatorów MotoClassic, a to za dużo zachodu.

– Najpierw sprawdźmy raport Baczmańskiego i zajmijmy się tym, czym powinniśmy się zająć – odparł z naciskiem Organek, patrząc na Lindę wzrokiem mówiącym „nie rozpraszajmy się wątkami pobocznymi". Przynajmniej w ten sposób owo spojrzenie zinterpretowała Linda i skinęła głową na znak zgody.

Płomyczek nie wydawał się zadowolony z konieczności ujawniania treści poufnych dokumentów, żeby więc rozgrzeszyć własne sumienie, odwrócił się tyłem do biurka, na którym leżał raport, zostawiając Organkowi wolną rękę. Sam tymczasem chwycił Lindę pod ramię i odciągnął na bezpieczną odległość.

– Moja Salomea, słoneczko, Salomea Morawska, o ile za mąż wciąż nie wyszła, to kobieta nietuzinkowa, absolutnie wręcz zniewalająca i hipnotyczna! – Roztkliwił się do swoich wspomnień, zapatrzywszy się w nieokreślony punkt tuż pod sufitem. – Nie znajdziesz na tym łez padole żadnej innej, która by mogła jej urokiem, mądrością, seksapilem i czarem dorównać.

– To może powinieneś się z nią ożenić? – zapytała dziewczyna ze złośliwą przyganą. Bez względu na to, co myślała o Płomyczku, w końcu sama też była kobietą, a żadna kobieta nie lubi wysłuchiwać peanów na cześć innych przedstawicielek własnej płci.

– I że nie próbowałem, myślisz? Ach, jak ja bardzo próbowałem! Ileż razy składałem jej tę propozycję, obiecywałem życie jak w bajce, a ona tylko:

„Ależ Promku, małżeństwo to głupota!”. Albo: „Żadna kobieta nigdy nie powinna należeć do żadnego mężczyzny, bo żaden mężczyzna nigdy nie będzie wart żadnej kobiety!”. A gdy jej mówiłem, że ja wcale zniewalać jej nie chcę, że będę jak księżniczkę traktował, wielbił, hołubił, kochał bez pamięci i płatki róż słał u jej stóp, to ona patrzyła na mnie tymi oczami sarnimi i z uśmiechem ganiła za „patriarchalne anachronizmy”. No cud nie kobieta, Lindo kochana, absolutne zjawisko!

Linda gotowa była się zgodzić, że postawa Salomei zasługiwała na najwyższe pochwały, z drugiej zaś strony żal jej było tego zakochanego idioty, który chciał codziennie zrywać świeże płatki z róż, żeby nimi śmiecić w domu. Po co to komu niby? Niech sobie rosną i pachną, a na podłodze lepiej wyłożyć puszysty dywan, żeby księżniczka stópek sobie nie poraniła, na przykład o jakąś starą klepkę w parkiecie.

– A jak na chleb to zjawisko zarabia? – mruknął znad papierów Jeremi, wykazując się nie tylko znakomitym słuchem, ale i podzielnością uwagi godną płci niewieściej.

– Zdaje się, że nie musi – odparł Płomyczek. – Bogata z domu jest.

– No proszę, klęska urodzaju bogatych z domu próżniaków – prychnęła Linda. – Nic dziwnego, że nie chce wyjść za mąż, pewnie boi się łowców posagów.

– Ale ja intercyzę chciałem! – wybuchł Prometeusz, jakby Linda wprost oskarżyła go o czyhanie na majątek Salomei. – Mnie te jej pałace, te domy we Włoszech, to wszystko mnie zupełnie nie interesuje! A jakbyś chciała wiedzieć, słoneczko, to ona zapewne zraziła się do małżeństwa przez historię swojej rodziny.

– A co, w każdym pokoleniu seryjni żonobójcy? – zakpiła blogerka.

– No strasznie dziś złośliwa jesteś, słoneczko. – Płomyczek skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na Lindę z wyzwaniem. – Słyszałaś kiedyś o „krwawych walentynkach” we Wleniu?

Skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie słyszała, w końcu była historyczką, a w dodatku dzieje Dolnego Śląska były jej szczególnie bliskie, jednak teraz nie potrafiła przypomnieć sobie bliższych szczegółów. Kojarzyło jej się tylko, że chodziło o podwójne morderstwo jakichś… dzieci?

– A żebyś wiedział, że słyszałam – wypaliła, postanawiając zaraz przeszukać zasoby internetu. – I co z tego?

– Skoro słyszałaś, to zapewne wiesz, że doszło wtedy do strasznej zbrodni, a babka mojej Salomei była jej naocznym świadkiem!

– Uuuu, no proszę! – Linda cmoknęła z uznaniem, choć trochę przesadnie, jakby naśmiewała się z niziutkiego toksykologa i jego zacietrzewienia. – Czyli ona się boi, że drzemie w niej gen zabójcy?

Płomyczek klepnął się w czoło tak mocno, że przez chwilę pozostał na nim różowy odcisk palców. Mimo pogodnego usposobienia zaczynał tracić cierpliwość do krnąbrnej Lindy.

– Nie, wcale się nie boi. Raczej boi się tego, że mogłaby skończyć jak ta nieszczęsna dziewczyna, Dorothea Rohrbeck. Wielkie pieniądze budzą wielkie namiętności i jeszcze większe zło!

– To nie była koniina – rzucił nagle Organek, wyskakując jak filip z konopi.

Linda i Płomyczek spojrzeli na siebie, jakby szukali w swoich twarzach informacji, o co chodzi Jeremiemu. Skąd w ogóle, i to tak nagle, wzięła mu się koniina?

– Dorothea otruta nie została, Jeremi – stwierdził łagodnie toksykolog.

– Jaka znowu Dorothea? – Organek wyglądał na nieprzytomnego.

– Hej, Dżer, czy ty masz na myśli tego młodzieńca o raczej chłodnym obejściu? – Linda wskazała głową na ciało leżące na wysuniętej szufladzie.

– Oczywiście, że mam na myśli Mariusza Żywiuszkę, a kogóż by innego? – zdumiał się szczerze patolog. – Sugerowałbym zacząć od rycyny – zwrócił się do Płomyczka. – Wątroba była zbyt mocno powiększona jak na szczwół, musiałby zjeść go z pół łana łąki, a żołądek niczego takiego nie wykazał. Sprawdź rycynę, Baczmański zauważył owrzodzenie jelita i pozostałe organy w niezbyt dobrym stanie.

Płomyczek w mgnieniu oka zapomniał zarówno o pięknej Salomei, jak i Dorothei. W trzech susach znalazł się obok Organka i już przeglądał raport. Marszczył przy tym czoło i cmokał co chwilę, jakby rozmawiał w myślach sam ze sobą.

– Czyli nie dowiem się niczego więcej? – rzuciła Linda w eter. – No trudno, sama sobie poszukam. Dorothea Rohrbeck?

Odpowiedź nie padła, bo dwóch naukowców zajęło się już kwestią o wiele istotniejszą niż jakieś archiwalne morderstwa. To jednak wcale nie przeszkadzało Lindzie, która uruchomiła przeglądarkę w telefonie i zaczęła

czytać artykuły na temat interesującej ją sprawy. Po kilka minutach zastygła na moment, po czym sięgnęła do niewielkiej torebki, z której wyjęła złożone nierówno kartki. Pośpiesznie odszukała w wydrukowanym tekście to, co zwróciło jej uwagę w artykule internetowym, i podniosła zszokowane spojrzenie na Organka.

– Dżer… – Z wrażenia zaschło jej w ustach, więc ta sylaba zabrzmiała jak skrzeczenie żaby. – Dżer? Jeremi!

Patolog spojrzał na nią z przyganą gotową do wyartykułowania, ale na widok miny Lindy natychmiast zmienił front.

– Co się stało? – zapytał z prawdziwą troską.

– Pamiętasz to? – Blogerka pomachała trzymaną w dłoni kartką. – Uwierzysz, jeśli ci powiem, że za sprawą przedziwnego zbiegu okoliczności Salomea, która Promka nie chciała, i nasza… zagadka mają ze sobą coś wspólnego?

– Nie żartuj tak nawet – jęknął Organek. – Ostatnim razem taki „zbieg okoliczności" okazał się dla nas aż nazbyt ekscytujący.

– No co ci powiem, staruszku, widocznie spokojny los nie jest nam pisany – stwierdziła z westchnieniem. – Ale nie porzucaj jeszcze nadziei, choć raczej nie mamy co liczyć na to, że Dorotea i Berta z naszego listu to inny zestaw Dorotei i Berty niż panna Dorothea Rohrbeck i Bertha Zahn mieszkające w pałacu we Wleniu sto lat przed Salomeą Morawską, której babka miała być świadkiem „krwawych walentynek".

Nadzieja umiera ostatnia, jak zwykło się mawiać. W przypadku Jeremiego Organka umarła, jeszcze zanim się narodziła. Nie miał zatem czego porzucać, więc po prostu zamknął oczy, wziął trzy głębokie wdechy, policzył do pięciu Missisipi, po czym przywołał na swe przystojne oblicze wyraz całkowitego spokoju. Kwiat lotosu i morze w trakcie sztilu. I tylko Linda wiedziała, że za tą stonowaną fasadą kłębią się myśli, których Jeremi Organek nie wypowiedziałby na głos, nawet stojąc przed plutonem egzekucyjnym, wszak nade wszystko był dżentelmenem.

– Strzyka mi w kolanach, plecy rwą, jakby ktoś mnie bejsbolem potraktował, ręce drętwieją. Mówię ci, Michaś, kończę się.

Komisarz Bączek pokręcił głową w wyrazie politowania, ale nie odezwał się ani słowem. Nie chciało mu się strzępić języka, zwłaszcza że Wilczyński najwyraźniej musiał się wygadać.

– Chciałbym jednak zamknąć tę sprawę, zanim trafię na stół Baczmańskiego, bo nie lubię zostawiać po sobie bałaganu – ciągnął nadinspektor. – Fajnie by było, gdyby się okazało, że przy okazji rozpracujemy jakąś wielką szajkę, na przykład pedofilską…

– Ten chłopak był grubo po dwudziestce – wtrącił Bączek, bo już nie wytrzymał. – Wątpię, żeby znajdował się w kręgu zainteresowania pedofilów, Kaziu, i nie wydaje mi się, żeby ta sprawa zaprowadziła nas aż tak daleko.

– Ten Wleń wcale nie jest blisko – zauważył Wilczyński. – Jedziemy i jedziemy, a mety nie widać.

– Ledwo wyjechaliśmy z Wrocławia – upomniał go komisarz.

– Toż mówię, że daleko!

– Mam kilka przemyśleń. Chcesz posłuchać? – Bączek zmienił temat, żeby przypadkiem nie dostać ataku wściekłości i nie wyrzucić szefa z samochodu. – Siedziałem wczoraj do późna i rozkminiałem, skonsultowałem się nawet z Remikiem.

– Pewnie, że chcę – prychnął Wilczyński wyraźnie niezadowolony, że udaremniono mu dalsze narzekanie. Akurat dzisiaj miał ochotę pomarudzić. A co, nie wolno? Każdemu czasem się zdarza, a zawsze to lepiej w tę stronę niż dusić w sobie i gnuśnieć.

Komisarz streścił szefowi przebieg rozmowy przeprowadzonej z Baczmańskim poprzedniego popołudnia i wypunktował wnioski. Wilczyński zadumał się nad hipotezą, że Ajax Bartman mógł sfingować własną śmierć, po czym przekazać Lindzie Miller tajną korespondencję.

– Sprawdziłem u swoich w cebeesiu; nie ma go na liście koronnych, nikt z naszych nigdy się nim nie interesował, kiedyś jego ojcem, ale to już przedawnione od dobrej dekady. Chłopak nigdzie nie figuruje, dokumenty nieużywane, wygląda, jakby faktycznie umarł.

– Ale?

– Ale zbyt wiele rzeczy wskazuje na to, że jednak nie. Remik potwierdził, że to raczej niemożliwe, żeby przewidział własną śmierć i zostawił

na tę okoliczność liścik w podsufitce. Testament to co innego, pewnie sporządził go dawno temu, jak większość tych bogatych dzieciaków. I wiesz, co mi właśnie przyszło do głowy? – Rzeczywiście jakieś skojarzenie popchnęło jego myśli w tym kierunku. – On bardzo precyzyjnie wskazał notariuszowi, gdzie ma ten samochód przekazać Lindzie Miller, czyli musiał znać jej przyzwyczajenia i te, no…

– Pierdolce – podpowiedział Wilczyński. – Zgadzam się, to brzmi sensownie. A poza pierdolcami musiał również śledzić jej życie, w końcu gazety wcale aż tak bardzo nie rozpisywały się na temat udziału jej i Organka w sprawie mokrzeszowskiej.

– Racja. Czyli wychodzi na to, że chłopak żyje, a w dodatku kręci się w pobliżu Lindy.

– Ciekaw jestem tylko, jak wiele miał wspólnego ze śmiercią Żywiuszki – zastanawiał się Wilczyński.

– Bardzo bym chciał, żeby nic. Chłopcy znaleźli coś nowego?

Wilczyński poluźnił pas, bo nieprzyjemnie uciskał mu brzuch, a w odróżnieniu od Bączka on na głodnego nigdy nie ruszał do pracy. Pani Wilczyńska, przejęta tym, że biedaczek może nie mieć w tej delegacji czasu na porządny posiłek, wcisnęła w niego tyle jedzenia, że ledwo doczłapał do samochodu.

– Wielkiego przełomu nie mamy, ale podobno ktoś z obsługi sklepu pamiętał chłopaka odpowiadającego rysopisowi. Według ekspedientki, która w tamtym czasie akurat zrobiła sobie przerwę na dymka, nasz chłopak zakupy robił w pojedynkę, ale przy bagażniku samochodu był samowtór. To cytat jest – dodał, żeby usprawiedliwić użycie rzadkiego słowa.

– Samochód zidentyfikowała? Mariusz podobno żadnego nie miał.

– Aha, zidentyfikowała. Cztery koła, kierownica, maska, bagażnik, zderzaki. Srebrny podobno.

Bączek przewrócił oczami, choć właściwie nie czuł się zaskoczony. Ile razy sam odbierał podobne zeznania od świadków? Często wtedy myślał, że może gdyby te samochody jeździły bez kół albo świeciły jak choinki, kobiety zwracałyby na nie większą uwagę. Choć i wśród mężczyzn zdarzali się kompletni ignoranci motoryzacyjni.

– To faktycznie niewiele mamy – skwitował bez entuzjazmu.

– Czekaj, czekaj, nie feruj jeszcze wyroków – zmitygował go szef. – Ekspedientka z Dino całkiem przypadkiem się wygadała, że słyszała, jak chłopaki wspomniały imię. I być może nawet nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby nie fakt, że imię było, po pierwsze, dość rzadkie, a po drugie, kobieta doskonale wiedziała, kto je nosi.

– Raczej nie mówimy tu o Ajaksie? – Bączek spojrzał na pryncypała ze zdumieniem.

– Nie, choć faktycznie niezłe masz skojarzenia, Michaś. Mówimy o Salomei.

– Salomea, Salomea… Czy ja znam jakąś Salomeę? Poza matką Słowackiego i drugą żoną Krzywoustego to chyba żadnej nie kojarzę. A powinienem?

– To się dopiero okaże. Salomea Morawska to aktualna właścicielka Pałacu Książęcego we Wleniu. I do niej właśnie zmierzamy z wizytą. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby nasz denat na parkingu pod wiejskim sklepem mówił o żonie średniowiecznego księcia Polski. Ile ona mu tych dzieci urodziła?

– Trzynaścioro – odparł odruchowo Bączek, któremu zapamiętywanie takich imponderabiliów przychodziło z zaskakującą łatwością. Gorzej, i to diametralnie, było z zapamiętaniem, gdzie odstawił kubek po kawie albo czy aby na pewno nasypał proszku do pralki przed jej uruchomieniem.

– Matko z córką, biedna kobieta… – Wilczyński pokręcił głową z wyraźnym współczuciem. – No i tyle na razie mamy, Michaś. Niby niewiele, ale zawsze jakiś punkt zahaczenia jest. Myślę sobie, że trzeba by przy okazji jeszcze raz rozmówić się z ojcem Żywiuszki, może coś mu się akurat przypomni. Ale najpierw bierzmy tę Salomeę. Ale tu ładnie!

Bączek odruchowo zerknął przez boczną szybę i musiał przyznać szefowi rację. Widoki zapierały dech w piersiach, a wschodzące między rysującymi się na horyzoncie górami słońce nasuwało na myśl obrazy z baśni, w których zwykle mówiło się o płonącym niebie albo łunie światła. Ciągnące się w zasięgu wzroku różnokolorowe pola sprawiały wrażenie namalowanych pędzlem wyjątkowo utalentowanego artysty, drzewa zieleniły się tą charakterystyczną dla lata intensywnie soczystą barwą, w ich cieniu można było dostrzec wylegujące się stada krów, a co jakiś czas przez łąkę przebiegało kilka saren. Było naprawdę pięknie.

Jeszcze piękniej zrobiło się po przyjeździe do Wlenia, gdzie bez problemu odnaleźli interesujący ich adres, a czekających ich widoków nie byli nawet w stanie przewidzieć.

Otoczony zadbanym parkiem barokowy pałac wyglądał jak perła w koronie, wyłaniając się z dumą spośród starych drzew. Bogactwo flory i atmosfera pozostawania poza czasem sprawiły, że policjanci na chwilę zapomnieli o celu swojej podróży. Rozglądali się jedynie z szeroko otwartymi ustami, z których co chwilę wyrywały się achy i ochy inkrustowane pełnymi zachwytu: „O ja nie mogę!" albo „Spójrz na to, Michaś, to chyba oleander!".

Obserwująca ich z niewielkiej odległości kobieta mogła mieć zarówno trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat; większość ludzi z pewnością uznałaby ją za dwudziestokilkulatkę, czemu sprzyjały długie kasztanowe pukle i smukła sylwetka, której trzy czwarte stanowiły nogi, długie i nieprawdopodobnie zgrabne. Skrywała je zwiewna suknia sięgająca niemal do ziemi, ale tak zmyślnie uszyta, że przy najlżejszym podmuchu wiatru odsłaniała niezaprzeczalne walory kobiety.

Pierwszy otrząsnął się Wilczyński, kiedy jego zachwycone spojrzenie przypadkiem spoczęło na niewieście. Odchrząknął głośno, szturchnął Bączka i ruszył w stronę pałacu.

– Pani Salomea Morawska, jak mniemam – bardziej stwierdził, niż zapytał, pochylając się, by złożyć pocałunek na smukłej dłoni.

– A panowie zapewne z komendy we Wrocławiu?

– Z samiuteńkiej wojewódzkiej – potwierdził z wyraźną dumą nadinspektor. – Wilczyński Kazimierz.

– Komisarz Michał Bączek – przedstawił się drugi z policjantów, on jednak tylko uścisnął dłoń kobiety. Jego wyczulona intuicja kazała mu trzymać służbowy dystans, choć rozumiał, dlaczego Wilczyńskiemu padło na mózg. Salomea Morawska była olśniewająco piękna, niemalże niemożliwie piękna,

a na takie istoty Bączek szczególnie uważał. Natura zwykle największą urodą obdarza stworzenia najbardziej niebezpieczne.

– Zapraszam do środka, kawa już się parzy – rzuciła miękko kobieta i odwróciła się ruchem tak pełnym gracji, że Bączkowi natychmiast skojarzyła się z driadą. A driady, wiadomo, lubiły sobie postrzelać z łuku i zwykle robiły to bardzo skutecznie.

– Ależ tu pięknie – odezwał się głosem pełnym zachwytu nadinspektor. – Tyle zieleni i ten szum rzeki.

– Prawda? – Salomea roześmiała się perliście. – Wilhelm Rohrbeck, właściciel pałacu na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, był członkiem Towarzystwa Dendrologicznego w Berlinie, więc nie ma się czemu dziwić, że dbał o drzewostan. Mamy tu bardzo rzadkie gatunki, niektóre sama odkrywam ze zdumieniem. Mogą panowie obejrzeć ponadstuletnie drzewa i krzewy, w tym wiśnię japońską, tulipanowce, magnolie, wierzbę argentyńską, żywotniki, tawuły, derenie, żylistki, kielichowiec wonny, kielichowiec chiński, wierzby japońskie i całą masę roślin nasadzanych w ciągu kolejnych dekad. Przez lata ogród się powiększał, a teraz często otrzymujemy ciekawe okazy w prezencie.

Większość nazw, wymienionych tak lekko przez właścicielkę rezydencji, niewiele mówiła policjantom. Wilczyński pomyślał jedynie, że jego małżonka z pewnością byłaby zachwycona, bo dla niej te wszystkie chabazie były cenniejsze niż skarby Orientu. Ledwie jednak przekroczył próg pałacu, natychmiast zapomniał o roślinach.

– O matko z córką! – wykrzyknął, nim oniemiał na widok herbów, herbarzy, portretów, szabel, oryginalnych mebli i licznych śladów historii z dumą witających przybyłych do Wlenia. Jeśli ogród wydawał się krainą z innego świata, to co powiedzieć na temat tego miejsca?

– Rany boskie, ależ tu pięknie! – Bączek także poddał się hipnotyzującemu czarowi pałacu, czemu zresztą nie sposób się dziwić. Doskonale odrestaurowane wnętrza zdradzały pasję i zaangażowanie pracujących nad tym miejscem artystów i rzemieślników. Oraz właścicielki, która puchła z dumy na widok roziskrzonych spojrzeń swoich gości.

– Przejdźmy do sali kominkowej, gdzie kazałam podać kawę – zaćwierkała Salomea, roztaczając wokół siebie woń kwiatowych perfum.

– Spodziewała się nas pani? – Komisarz zatrzymał się w pół kroku, tknięty dziwnym przeczuciem.

– Chyba nie sądziliście, że nie dowiem się o wizycie policji kryminalnej? – odrzekła, udając zdziwienie, lecz po chwili wybuchła wesołym śmiechem. – Helenka z Dino mi powiedziała, że ktoś rozpytuje o jakiegoś chłopaka, więc spodziewałam się, że do mnie też zajrzycie. Nie ma tu zbyt wielu miejsc do odwiedzenia.

– Czyli pierwsze koty za płoty! – Wilczyński wydawał się uradowany takim obrotem spraw i kompletnie zignorował zmarszczone brwi Bączka. – Zaraz nam pani wszystko opowie o tym chłopaku… – Urwał nagle na widok ryciny wiszącej w pozłacanej ramie. – Widziałem już gdzieś ten portret!

– Ach, zdziwiłabym się, gdyby pan nie widział – odparła Salomea, podążając za wzrokiem policjanta. – To Dorothea Rohrbeck, córka Wilhelma, i jej guwernantka, panna Bertha Zahn. Ten portret zrobiono niedługo przed tragiczną śmiercią Dorothei, a sprawa odbiła się głośnym echem w całej Europie, a szczególnie w Niemczech. Ówczesny prezydent, Friedrich Ebert, musiał wydać oświadczenie zakazujące zamieszczania sprawozdań z procesu karnego zawierających osobiste komentarze. Zdjęcia Dörthe i Berthy publikowano wszędzie, a o podwójnym morderstwie plotkowano na każdym kroku.

– „Krwawe walentynki” – przypomniał sobie Wilczyński.

– Straszne określenie, zgodzi się pan, komisarzu? – Salomea wyciągnęła do Bączka dłoń, w której trzymała filiżankę. Bez wątpienia naczynie było warte więcej, niż policjant wydawał miesięcznie na jedzenie.

– Zgodzę się – przytaknął, bo rzeczywiście tak uważał. – Zderzenie tych dwóch słów stojących na przeciwnych biegunach znaczeniowych powoduje solidny dysonans, a zatem wywołuje także niepokój i sensację. Zapewne taki cel przyświecał autorowi tego tytułu.

– Ta sprawa była absolutnie sensacyjna – podjęła kobieta. – W końcu chodziło o dziecko, o dwoje dzieci! W Republice Weimarskiej nigdy nic podobnego się nie wydarzyło. To wstrząsnęło opinią publiczną i zatrzęsło posadami całego systemu prawnego. W dodatku – dodała z dziwnym błyskiem w oku – po raz pierwszy na wokandzie pojawił się temat molestowania dziecka przez członka rodziny. Musi pan przyznać, że taka historia nie mogła przejść bez echa.

Wilczyński wpatrywał się w kobietę oczami tak pełnymi uwielbienia, że Bączek spodziewał się, że w każdej chwili jego źrenice zmienią kształt na serduszka.

– Tak pięknie pani opowiada, że mógłbym pani słuchać i słuchać… – wyszeptał nie swoim głosem nadinspektor.

Salomea nie kryła zadowolenia, nie czuła się też zawstydzona, doskonale świadoma wrażenia, jakie wywiera na mężczyźnie.

– Jeśli nie śpieszy się panom jakoś szczególnie, to ja chętnie opowiem wam całą tę historię.

Nie śpieszyło im się, przynajmniej zdaniem Wilczyńskiego.

Opowiedziała więc, ze szczegółami, a gdy mówiła, nawet Bączek zapomniał o swojej nieufności i słuchał z wypiekami na twarzy.

17
PRAWDOPODOBNIE NIGDY NIE POZNAMY PRAWDY

– Widziałeś jego oczy, Dżer? Jak się ślinił? Normalnie wygłodniały lis w hodowli brojlerów!

– Chyba do samego końca miał nadzieję, że zabierzemy go ze sobą – stwierdził Organek, a w jego dźwięcznym głosie pobrzękiwała satysfakcja.

– No cóż, życie. Wielka szkoda, że musi szukać gliceryny w nieboszczyku, ale może dzięki temu szybciej odzyskam corvettę. Depnij temu Kazikowi gaz, zobacz, jak chłopak cierpi, kiedy go tak zamulasz!

Mercedes zwany Kazikiem, a oficjalnie ochrzczony mianem Pagody, przemierzał dolnośląską trzystasześćdziesiątkępiątkę, sunąc gładko z dozwoloną przepisami prędkością. Roztaczające się wokół widoki zapierały dech w piersiach mieszczuchom, czyli kierowcy Kazika i jego pasażerce, a wiszące wysoko słońce dodawało energii. Był piękny poranek stanowiący doskonały prognostyk dla całego dnia, który para detektywów amatorów postanowiła spędzić w miasteczku Wleń. Rozmowa w prosektorium, jaką poprzedniego popołudnia odbyli z Prometeuszem Płomyczkiem, doprowadziła ich do wniosku, że wyjaśnienia zagadek – a przynajmniej jednej, jeśli nie dwóch z nich – należy szukać właśnie tam, a dokładniej w Pałacu Książęcym we Wleniu. Postanowili więc kuć żelazo, póki gorące, i z samego rana – czyli

o godzinie dziesiątej czterdzieści dwie – wyruszyli na zachód, przy okazji podziwiając piękno regionu.

– Śpiesz się powoli – odparł Jeremi, ignorując zaczepkę dziewczyny. – Wolę przyjechać pięć minut później niż wcale, a poza tym nie jedziemy do urzędu ani do kościoła. Będziemy, kiedy będziemy. Rozglądaj się, bo za kilka chwil po tych pięknych zielonych widokach zostaną tylko wspomnienia.

– Ja tam lubię jesień – oznajmiła Linda. – Nie ma upałów, nie ma komarów i tych przebrzydłych os. Lato jest fajne, ale za dużo paskudztw się wtedy aktywuje. Moją sąsiadkę w zeszłym tygodniu zaatakował szerszeń. Wiesz, jaką kobieta teraz będzie miała traumę? Niby tylko ukłucie, a łydka jej spuchła jak balon i przez dwa dni nie czuła połowy nogi. Też mi przyjemność…

– Nie bez powodu inną nazwą tego owada jest szerszeń groźny. – Jeremi znów przybrał barwę głosu i ton zarezerwowane dla naukowego bełkotu. – Chociaż, wbrew obiegowej opinii, to pszczoły i osy są znacznie groźniejsze, ponieważ muszą się bronić przed dużymi ssakami. Szerszenie mają grubsze żądła, większą zawartość acetylocholiny w jadzie i to odpowiada za bolesność rany. Widocznie twoja sąsiadka jest uczulona.

– Dobrze, że w nogę ją dziabnął, bo mogłaby umrzeć!

– Eee tam, nie umarłaby. – Organek pokręcił głową z politowaniem nad ludzką ignorancją. – Żeby zabić człowieka, potrzeba by kilkuset ukłuć. Wiedza dotycząca substancji toksycznych w naszym kraju jest godna pożałowania…

– Gdyby wszyscy byli tacy mądrzy jak ty albo Promek, to nie bylibyście uznawani za geniuszy – prychnęła nieco urażona Linda. – Ale zaimponowałeś mi, doktorku, tą rycyną, wiesz? Dotychczas myślałam, że działa tylko jako środek na przeczyszczenie.

– Właściwie to dobre skojarzenie, tyle że zawartość tej substancji w oleju rycynowym jest praktycznie śladowa, więc niełatwo się nim zatruć. Co innego czysta rycyna; to jedna z najsilniejszych i najgroźniejszych toksyn pochodzenia roślinnego, w dodatku łatwo dostępna.

– Czyli – zastanawiała się dziewczyna – jeśli twoje podejrzenie się potwierdzi i ten przystojny inaczej Żywiuszko rzeczywiście umarł od rycyny, to raczej nie od łyżki oleju?

– Na pewno nie. Największe stężenie toksoalbuminy znajduje się w nasionach rącznika pospolitego. Jeśliby spożył ich kilka, to przy jego masie

byłoby to śmiertelne w skutkach. Wiedziałaś, że w czasie pierwszej wojny światowej wojsko próbowało wykorzystywać tę truciznę jako broń, tworząc pociski wypełnione talkiem z rycyną?

– Coś mi się chyba obiło o uszy… Czekaj! A to nie ona była bohaterką zamachu na Markowa?

– Mhm, tak było. Ampułka z rycyną spowodowała śmierć Georgiego Markowa. Podobno iniekcji dokonano za pomocą parasola. Oczywiście KGB nigdy nie przyznało się do zamachu na dysydenta, ale raczej nie ma wątpliwości, że stał za tym bułgarski wywiad.

– Ampułka w udzie doprowadziła do śmierci? – Linda wytrzeszczyła oczy w przerażeniu, myśląc z troską o swojej sąsiadce, dziabniętej przez szerszenia. – Ależ to cholerstwo musi być mocne! Żywiuszce niczego nie wstrzykiwano?

– Nie ma żadnych ukłuć ani innych śladów w powłokach zewnętrznych – odparł Jeremi. – Jestem pewien, że spożył truciznę, choć ostatecznie musi to potwierdzić Płomyczek.

Rozprawiając o śmiercionośnych skarbach natury i nierzadko pomysłowym ich wykorzystaniu przez zabójców na przestrzeni dziejów, mijali miasta i wioski, w tych okolicznościach przyrody wyglądające jak z baśni, które opowiadała Lindzie matka. Skojarzenie z matką i dzieciństwem przypomniało jej o Dorothei Rohrbeck, której tragiczną historię zgłębiła poprzedniego wieczoru. W świetle poznanych faktów znalezione w podsufitce listy zaczęły nabierać nowego znaczenia.

Sięgnęła do torby leżącej pod jej nogami i wyjęła z niej złożone na czworo kartki z tłumaczeniem. Koślawość zdań przełożonych przez narzędzie internetowe trochę kłuła ją w oczy, ale można było zrozumieć sens. Przynajmniej na tyle, żeby wyobrazić sobie opisywaną sytuację.

Skupiła się na pierwszym liście, w którym nadawczyni ostrożnie ukryła wszelkie nazwy i imiona, zamieniając je na inicjały, co zresztą było typowe dla prywatnych zapisków z tamtego czasu. Jako historyczka Linda nieraz badała źródła, które były niezłą gimnastyką dla umysłu, kiedy było trzeba ustalić, czy „E” oznacza Elżbietę, czy może Edwarda albo Edgara. W listach adresowanych do Berthy (to imię pojawiało się w pełnej formie) występowało mnóstwo inicjałów, które dopiero po poznaniu historii „krwawych walentynek”, jak

okrzyknęła to tragiczne wydarzenie ówczesna prasa, można było dopasować do właściwych personaliów.

– „Droga Bertho – czytała na głos, odchrząknąwszy – wydarzenia w K zaczynają przybierać coraz gorszy obrót. Po wyjeździe U napisałam do niej list, jednak sądzę, że on nigdy do niej nie dotarł, gdyż P go przejął. Widziałaś, jak na mnie patrzył? Tymi zimnymi, lodowatymi wręcz oczami, w których poza wściekłością i chciwością niczego innego już nie było. Naprawdę nie potrafię zrozumieć, jak G mogła kiedykolwiek zobaczyć w tym potworze człowieka!”. – Linda odłożyła kartkę na kolana i westchnęła głęboko. – Ładnie zredagowałam? Teraz ma to sens. „K” to na pewno Kleppelsdorf, „U” to Ursel, kuzynka Dorothei, „P” to ten wieprz Peter Grupen, a „G” oznacza zapewne ciotkę dziewczyny, Gertrudę.

– A ta Berthe? – zapytał Jeremi, który nie towarzyszył Lindzie w jej historycznych wycieczkach poprzedniego dnia i nie pamiętał każdego szczegółu. Zresztą za dużo tam było tych wszystkich imion jak dla niego, zdecydowanie nie chciał zaśmiecać sobie pamięci. Widocznie musiał trzymać miejsce na takie nazwy jak *phlegmonosa*, *morbus ulcerosus ventriculi* albo *carcinoma bronchogenes*. Same pyszności…

– Berthe, mój drogi sklerotyczny doktorku, to panna Bertha Zahn, guwernantka Dorothei Rohrbeck i jej najbliższa przyjaciółka. Niewiele brakowało, a zostałaby jej macochą, a wtedy cała ta historia w ogóle by się nie wydarzyła, a Dörthe żyłaby jak księżniczka, dokładnie tak, jak chcieli dla niej rodzice. Tylko sobie wyobraź, Dżer – Linda popuściła wodze fantazji – masz pałac, prawdziwy pałac, wielki ogród, jesteś bogaty jak Sknerus McKwacz, natura obdarzyła cię urodą i wspaniałym charakterem. Możesz wszystko, dosłownie wszystko! Czy to nie brzmi jak marzenie?

– Owszem, brzmi – zgodził się Organek. – I tym bardziej jest mi przykro, że nie mogło się ziścić. Skoro Berthe miała zostać jej macochą, domniemywam, że matka dziewczyny nie żyła.

– Umarła krótko po urodzeniu dziewczynki, prawdopodobnie wskutek powikłań po ciężkim porodzie. Trochę trudno mi uwierzyć, że najpiękniejsza chwila w życiu kobiety może okazać się dla niej wyrokiem.

– Mnie również to przeraża, a w dodatku irytuje. Prawdopodobnie doszło do jakiegoś krwotoku, możliwe, że zakaziła się bakterią, wdała się sepsa… Kiedy to było?

– Oesu, ale mi zepsułeś apetyt… – Linda zerknęła do notatek, które zamieściła na marginesach tekstu. – Tysiąc dziewięćset czwarty. Wilhelm, jak to facet, nie był w stanie zajmować się noworodkiem, w dodatku dziewczynką, więc zatrudnił do opieki nad nią dwudziestosześcioletnią Berthę Zahn, kobietę o najmilszym usposobieniu i znakomitym podejściu do dzieci. No i niepodłą raczej, skoro z miejsca się w niej zabujał.

– Lindo! – oburzył się Jeremi. – Czy mogłabyś skupić się na faktach i nie konfabulować?

– Wcale nie konfabuluję, zdjęcia są w internecie, proszę bardzo, niedowiarku! – Podsunęła mu pod oczy telefon komórkowy z wyświetloną na ekranie kopią fotografii przedstawiającej młodą kobietę i nastoletnią dziewczynę. – Widzisz? Niepodła.

– Niech ci będzie – mruknął Organek – ale staraj się jednak nie zasłaniać mi widoczności, kiedy jedziemy tak szybko. I co dalej?

– Bertha wychowywała dziewczynkę i szybko stała się dla niej matką, co było raczej oczywiste i do przewidzenia, a starzejący się multimilioner postanowił dopełnić szczęścia i oświadczył się pannie Zahn. Ale musiała ta jego fortuna być solą w oku któregoś wyjątkowo złośliwego boga, bo niedługo później Wilhelm także odumarł dziewczynę. Chorował, biedaczek, trafił do szpitala, a potem umarł. Dlatego właśnie, jeśli ja zachoruję, to proszę mnie do żadnego szpitala nie wysyłać, bo tam ludzie oddają ducha, a później trafiają na stół takich świrów jak ty.

– Rozumiem, że ta multimilionowa fortuna przeszła na Dorotheę? – Zdawało się, że Jeremi zaczyna wczuwać się w historię i nawet nadążał za szczegółami.

– Wilhelm na ostatnich nogach zdołał jeszcze spisać testament – odrzekła Linda. – Nie był głupi, inaczej nie wszedłby w posiadanie tak wielkiego majątku, a dziewczynka przecież była niepełnoletnia. Rohrbeck zabezpieczył ją w ten sposób, że ustanowił kuratelę nad majątkiem do czasu osiągnięcia przez Dörthe pełnoletności oraz zapewnił pannie Zahn dożywotnią pensję i dach nad głową. Przez jakiś czas był spokój, a największych rozrywek dostarczały dziewczynce wizyty babci i ciotki, owdowiałej Gertrudy Shade i jej córek, Irmy i Urszuli. – Panna Miller umilkła, po czym głośno przełknęła ślinę. Ta historia wciąż mocno ją poruszała, co było

słychać niemal w każdym słowie. – Mogło więc się wydawać, że worek z nieszczęściami został bezpowrotnie zawiązany.

– Ale?

– Ale ten jakiś złośliwy bóg, patafian niewyobrażalny, znów wykazał się podłością charakteru i sprowadził do życia Dorothei niejakiego Petera Grupena.

– Peter Grupen przed wojną był pomocnikiem murarza, zgłosił się do wojska na ochotnika, a udział w walkach pod Verdun przypłacił utratą lewego przedramienia, musiał więc szukać innego źródła utrzymania. – Salomea rozsiadła się wygodnie w fotelu obitym kwiecistą żakardową tkaniną. Siedziała nieco bokiem, dzięki czemu eksponowała niemożliwie długie nogi, co raczej nie było dziełem przypadku. – Miał niezły dryg do spekulacji, szybko dorobił się niewielkiego majątku, założył firmę budowlaną i podawał się za architekta. Oczywiście nie miał pojęcia o tym zawodzie, ale za to potrafił całkiem nieźle kłamać, a dzięki niepełnosprawności uchodził niemal za weterana i bohatera. Parał się także hipnozą, którą prezentował na salonach, czarując głównie damy. – Morawska puściła oko do nadinspektora, który zachichotał jak młokos. – Grupen nie lubił się przemęczać, toteż gdy tylko nadarzyła się okazja do zawarcia intratnego małżeństwa, odpowiedział na ogłoszenie matrymonialne i w krótkim czasie poślubił niejaką Gertrudę Shade, wdowę, która straciła męża wskutek wypadku na polowaniu.

Bączek słuchał opowieści kobiety, nie mogąc pozbyć się wrażenia teatralności. Słowa spływały z jej ust z taką łatwością i gładkością, jakby były doskonale wyuczone. Często spotykał się z tym w trakcie przesłuchiwania świadków i podejrzanych, którzy mieli dobrze przygotowaną „legendę". Jego czujność rosła, choć on sam nie potrafił stwierdzić, dlaczego postanowił nie ufać tej kobiecie.

Wilczyński tymczasem niewiarę zostawił przy samochodzie i chłonął każdą głoskę wypowiadaną z doskonałą dykcją i ujmującą mimiką. W pewnej

chwili, zupełnie nieświadomie, zaczął nawet naśladować wyraz twarzy Salomei – uśmiechał się, marszczył, krzywił w najgłębszej dezaprobacie.

– Gertruda była siostrą Hedwigi, matki Dorothei, znacznie starszą od Grupena, jednak utracjuszowi zupełnie to nie przeszkadzało, w końcu od początku chodziło mu jedynie o majątek żony i teściowej, a oba przehulał nader szybko. – Salomea skrzywiła się nieznacznie przy słowie „przehulał". – I wtedy los znów się do niego uśmiechnął, kiedy Gert, jak ją pieszczotliwie nazywał, zabrała świeżo poślubionego małżonka w odwiedziny do siostrzenicy. Wyobrażam sobie, że Peter, nieodporny na kobiece uroki, ale przede wszystkim wyjątkowo czuły na oznaki bogactwa, natychmiast podjął decyzję o przejęciu majątku Dorothei. A mógł to zrobić na kilka sposobów, spośród których najłatwiejszym wydawało się małżeństwo z piękną dziedziczką.

– Bigamia nawet wtedy była przestępstwem – zauważył szorstko Bączek.

– Owszem, komisarzu, dlatego właśnie musiał podjąć pewne działania, żeby uniknąć kłopotów z prawem. Obecnej żony należało się pozbyć, ponieważ już wykonała swoje zadanie i nie była mu do niczego potrzebna.

– Trudno uwierzyć, żeby poważna kobieta zgodziła się na rozwód i ze spokojem patrzyła na to, jak jej były mąż układa sobie życie z młódką. – Zmysł psychologa znów wziął górę w policjancie.

– *Touché!* – Salomea roześmiała się dźwięcznie i spojrzała na Bączka z uznaniem. – Jak już wspomniałam, Grupen był prostym mężczyzną, a w dodatku nie lubił się przemęczać, więc zwykle wybierał rozwiązania, które wydawały mu się najprostsze i najmniej angażujące. Pewnego dnia Gertruda po prostu zniknęła, a udający porzuconego małżonek rozpowiadał, że niewierna uciekła z kochankiem do Ameryki.

– I jej dzieci w to uwierzyły? – zastanawiał się komisarz. – Przecież to absurd.

– I dzieci, i matka. – Salomea rozłożyła ręce, jakby mówiła: „Cóż ja na to poradzę?". – Moim zdaniem, a podobnie myślało sporo osób, które zajmowały się później tą sprawą, Grupen rzeczywiście przejawiał talent do hipnozy. Zresztą udowodnił to jeszcze kilka razy, co potwierdził nawet ówczesny autorytet w tej dziedzinie, powołany jako biegły w procesie.

– Naprawdę był w stanie przekonać matkę, że jej córka zniknęła z gachem? – Wilczyński, zatwardziały stoik, sceptyk, racjonalista i krytyk intuicji, zupełnie nie potrafił zaakceptować tego faktu.

– Na to wygląda, nadinspektorze – odparła kobieta, obdarzając go uroczym uśmiechem. – Nie wiemy wprawdzie, jak wyglądały ich relacje, ale jedno jest pewne: życie Irmy, Urszuli i ich babki toczyło się dalej jakby nigdy nic. A zgodnie z planem Grupena wkrótce miało zmienić się na jeszcze lepsze.

– Niewiarygodne – mruknął Bączek. – Czy ten człowiek wyglądał jak Henry Cavill? Albo Brad Pitt w *Wywiadzie z wampirem*?

Salomea wybuchła głośnym śmiechem, który odbił się echem od ścian i przepięknych tapiserii.

– Ależ skąd, panie komisarzu, bynajmniej – rzuciła, wciąż rozbawiona. – Według dzisiejszych standardów uchodziłby raczej za odpychającego, z nadmierną tuszą i przesadnie wypomadowanym wąsem. Moim zdaniem przypominał Balzaka, a jego raczej nie uznałby pan za ideał urody.

Wilczyński, usłyszawszy o „nadmiernej tuszy", odruchowo wciągnął brzuch, jednak niewiele to pomogło – jedynie zbladł trochę i zabrakło mu tchu.

– O gustach się nie dyskutuje – odparł Bączek, zastanawiając się, na jak wielki lincz by się naraził, gdyby publicznie oznajmił, że Salomea zupełnie nie jest w jego typie. Wzięliby go za wariata? Ślepca? Bezguście?

– To prawda – zgodziła się kobieta. – Wracając do naszego bohatera, należy pamiętać, że w tamtych czasach, a był rok tysiąc dziewięćset dwudziesty pierwszy, kobiety miały niewiele praw i niemal żadnego znaczenia w społeczeństwie. Dopiero mężczyzna w jakiś sposób nadawał im status, zakotwiczał je w środowisku, lokował w towarzystwie. A taki Grupen, mający znakomite koneksje zdobyte dzięki swoim zdolnościom, człowiek o wielu twarzach, potrafiący natychmiast znaleźć język, jakim docierał do różnych ludzi, był wbrew pozorom doskonałą partią. To znaczy: był taką partią w swoim mniemaniu, bo zarówno jego pasierbice, jak i Dorothea oraz panna Zahn uważały go za odrażającego, o czym można przeczytać w kilku zachowanych pamiętnikach.

– No ja się wcale nie dziwię! – wypalił skrzywiony Wilczyński, przypomniawszy sobie pewien fakt, z którym zdążył się zapoznać, gdy po raz

pierwszy sprawdzali z Bączkiem informacje na temat Wlenia. – Ta wszawa menda była pedofilem!

– Zapewne – przyznała dziwnym głosem Salomea. – Rzeczywiście, jasno na to wskazały wyniki sekcji zwłok Urszuli.

– Skur… – Bączek zacisnął szczęki tak mocno, że zgrzytnęły mu zęby. – Takich należałoby wieszać na widoku, po śmierci zabalsamować jak Lenina, żeby ich mordy na zawsze były przykładem, co spotka ich naśladowców.

– Już, już, uspokój się, Michaś – upomniał go łagodnie Wilczyński. – Akurat za to Grupen został ukarany, i to dość przykładnie – zabłysnął wiedzą. – Dwa dożywocia to całkiem sporo, nawet jeśli nie wystawili go w szklanej trumnie jak Lenina.

– Za zabójstwo żony chyba też powinien? – odciął się komisarz.

– I Dorothei oraz Urszuli – dodała Salomea.

– Z tym pewnie był większy kłopot, bo proces był poszlakowy – dywagował Wilczyński. Lubił mówić o rzeczach, na których się znał, a akurat na tym znał się jak na niczym innym. – Poza tym menda nigdy nie przyznała się do winy, mam rację?

Pytanie skierował do Salomei, która skinęła głową i stwierdziła:

– Prawdopodobnie nigdy nie poznamy prawdy, choć gdyby śledczy wzięli pod uwagę podjęte przez Grupena próby zamordowania Dorothei, być może z większym zaangażowaniem wyciągaliby z niego zeznania.

– „Moja droga Bertho, jestem pewna, że P ma jakieś diabelskie zamiary, i z każdym dniem coraz bardziej się boję. Boję się o Ciebie, o U, o I, o siebie najmniej, ale wciąż. Już raz próbował mnie otruć, na szczęście byłaś obok, a wczoraj, kiedy zabrał mnie na łódkę, niby przypadkiem ją przechylił, a kiedy usiłowałam uchwycić się wiosła – jestem tego pewna! – chciał mnie wepchnąć pod wodę. Hauptmann Vielhaak ani trochę mi nie uwierzył, on też znajduje się pod jego wpływem! Nie wiem, co robić, Berthe, zupełnie nie wiem!”.

Linda przeczytała fragment listu, czując, jak wielka gula rośnie jej w gardle. Spomiędzy słów wyzierał lęk tak prawdziwy, że ona sama, sto lat później, poczuła jego przemożne działanie.

– Dżer, to straszne – stwierdziła z goryczą. – Wyobrażasz to sobie? Taki potwór i niewinna, bezbronna dziewczyna, której życie zależało od jakiegoś tam zarządcy, a ten zarządca był pod urokiem potwora! Biedna, biedna Dörthe.

– To prawda – przyznał Organek. – Że też nikt niczego nie mógł zrobić, żeby jej pomóc. Grupen dobrze wiedział, że panna Zahn nie pozwoliłaby Dorothei wyjść za niego, dlatego ją usunął.

– Też tak sądzę. Usunął ją, a dziewczynę pozbawił pieniędzy; pewnie chciał ją w ten sposób zmiękczyć. Co za wstrętna kreatura, w prątkach cholery kąpana.

– Ale ty popatrz, jakie to było uparte i nieugięte – syczała Linda, kręcąc głową. – Skoro nie mógł jej poślubić, to postanowił zabić, byleby położyć łapsko na majątku.

– A jesteś pewna, że by położył?

– Nooo, pewnie na jakiejś części. Dorothea miała jeszcze stryja i ciotkę od strony ojca, babkę mieszkającą z Urszulą i Irmą, a Grupen dziedziczył po Gertrudzie. Chociaż jak tak teraz myślę, to jednak on był głupi – stwierdziła nagle i uśmiechnęła się z satysfakcją. – Skoro jak twierdził, Gert uciekła z kochankiem, ergo: żyła, to ona dziedziczyła, więc zanimby załatwił formalności, mógłby zdechnąć na chorobę weneryczną.

– Lindo! – Organek był szczególnie wrażliwy na punkcie obrażania ludzi, nawet tych kanaliowatych. – Chociaż masz rację – poprawił się niemal natychmiast. – Powinien zdechnąć zatruty rtęcią. Za tę dziewczynkę.

– Biedna Ursel – westchnęła blogerka. – Takie potworności nigdy nie powinny spotkać żadnego dziecka. Ale słuchaj tego! – Podniosła głos pod wpływem niespodziewanego odkrycia. – Jedna kartka to list od Berthy!

Jeremi uniósł brwi i zerknął na leżący na kolanach Lindy papier.

– Czytaj, tylko nie wykrzykuj tak nagle, bo stresujesz kierowcę.

– Ty to jesteś kierowca bombowca – bąknęła Linda i zagłębiła się w tekście. Przebiegła szybko rzędy liter, zmarszczyła czoło i przeczytała, modulując głos: – „Moja najdroższa Dörthe, to wszystko brzmi bardzo niepokojąco, zwłaszcza że doszły mnie słuchy o nadchodzącym przyjeździe

P z dziewczynkami. Obawiam się, że będziesz musiała być dzielna i uważna, pilnuj się bardziej niż zwykle. M przekazuje mi listy od Ciebie, ale uznałyśmy, że gdy on będzie blisko, lepiej nie kusić losu. Zostawiaj je w naszej skrytce, ja będę robić to samo. Twoją ciotkę znaleziono niedaleko Hamburga, niezbyt daleko uciekła, jak widać… Proszę cię, Dörthe, uważaj. I pisz, jeśli cokolwiek Cię zaniepokoi". – Dziewczyna oderwała wzrok od kartki i zapatrzyła się w dal. – Czuję się, jakbym czytała jakiś przerażający kryminał.

– Nie da się ukryć, że brzmi przerażająco – zgodził się patolog. – Wygląda na to, że ten człowiek był zdolny do wszystkiego.

– Gdybym dorwała go w swoje ręce… – wycedziła blogerka niemal z nienawiścią.

– Dosięgła go zasłużona kara.

– A guzik! Czekaj, czytam dalej. – Przełożyła kartkę i znów zagłębiła się w tekst. Wzdychała, sapała, przewracała oczami, aż w końcu odchrząknęła i przeczytała na głos: – „Jego obecność jest absolutnie nieznośna. Czuję wstręt, kiedy znajduje się blisko, dlatego też wciąż uciekam, zabierając ze sobą Ursel. Przybyła z nim panna Mohr, okropna kobieta, wciąż łasi się do niego, szepcze mu jakieś niestosowne rzeczy, znikają na całe godziny. Babcia twierdzi, że to nic niezwykłego, a ja jednak wiem swoje, Bertho, nie jestem już dzieckiem. Widzę, jak ona na niego patrzy, a on dotyka jej w taki sposób, że odwracam wzrok. On na mnie też tak patrzy, jak drapieżne zwierzę na swoją ofiarę". Brrrrrr! – Linda wzdrygnęła się tak gwałtownie, że zatrzęsła całym samochodem. – Jakie to wstrętne, niedobrze mi się robi od samego czytania.

– To może nie czytaj… – Jeremi także wydawał się zniesmaczony, choć w jego fachu niewiele rzeczy potrafiło go złamać. Są jednak granice.

– Nie mogę, muszę się dowiedzieć, po jakie licho eks denat zostawił mi ten prezent. Nie wierzę, że chciał zachować go dla potomnych i dlatego przekazał historyczce.

– Swoją drogą ciekawe, gdzie to znalazł – zauważył Organek, a Linda musiała się z nim zgodzić. – Może w tej skrytce, o której mowa w liście?

– Ty możesz mieć rację, doktorku! – stwierdziła z emfazą dziewczyna. – I zobacz, to właściwie miałoby już większy sens: on to znalazł w jakimś schowku, przeczytał, a niemiecki znał lepiej niż polski, odkrył coś, czego nikt nie wie, i przekazał nam, żebyśmy coś z tym zrobili. No genialne!

– Przypominam ci, że te listy mogą być motywem zabójstwa.

Ta uwaga wyraźnie zaskoczyła Lindę. Nieuważnym ruchem odgarnęła niesforną grzywkę, po czym znów zapatrzyła się przez przednią szybę. Myślała, myślała, aż wymyśliła.

– Dobra, ty jedź, a ja przeczytam to wszystko od deski do deski i jak znajdę coś, co może wydać się interesujące, to to przegadamy.

Jeremi wyraził milczącą zgodę, skupiając się na coraz bardziej krętej drodze, a Linda zatopiła się w lekturze. Na odnalezienie czegoś wartego przegadania nie było trzeba czekać bardzo długo.

– Ja pier-dzie-lę, Dżer, chyba mam! – wydyszała, wlepiając wzrok w kartkę. – Niech mnie szerszeń użre i KGB strzela do mnie z parasoli, ten gamoń naprawdę na coś wpadł! Nie wiem, czy to może być motyw zabójstwa, ale wiem, że właśnie to zwróciło uwagę Ajaksa! On na pewno, no musiał się tym zainteresować, przecież to…

– Lindo? – odezwał się na pozór spokojnie Jeremi, przerywając radosny słowotok swojej towarzyszki. – Czy mogłabyś przejść do rzeczy? Niedługo będziemy na miejscu.

– „Wydaje mi się, że coś się zmieniło – zaczęła czytać na głos historyczka – coś, czego nie umiem określić, ale jest inaczej. P jakby mniej się mną interesuje, wcale nie przychodzi do nas, gdy bawimy się z U, nie gra już tyle w karty z babcią, w ogóle dziwnie się zachowuje. To znaczy: dziwnie jak na niego, a to – jak wiesz – już samo w sobie jest dziwne wyjątkowo. Kilka dni temu coś zwróciło moją uwagę: zdało mi się, że w saloniku zimowym brakuje obrazu. Dwa dni później brakowało już nie jednego, ale dwóch. Kiedy dziś obeszłam wszystkie pokoje, upewniłam się, że zniknęło kilka dzieł Willmanna, które tatko tak bardzo kochał. Powiedziałam o tym babci, a ona okropnie mnie zrugała, twierdząc, że nie wolno mi oskarżać P. Ale to nie P je zabrał, Bertho, on nigdy nie poznałby się na takiej sztuce. Powiedziałam też U i ona zgodziła się ze mną, że powinnyśmy przejrzeć rzeczy M. Zrobimy to jutro, w wigilię świętego Walentego, a gdy znajdziemy dowody, P i ta jego kochanica znikną z mojego życia na zawsze! Znów będziemy wolne, Bertho, a Ty wrócisz do domu!”.

W samochodzie zapadła cisza, jeśli nie liczyć odgłosu silnika, który mruczał, przemierzając kolejne kilometry. Linda w wyrazie największego osłupienia patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, a Jeremi gorączkowo układał w głowie myśli, które pojawiły się wraz z cytowanym fragmentem

listu. Pierwsza odezwała się panna Miller, która w oszołomieniu zorientowała się, że właśnie rozwiązała jedną z zagadek.

– Dżer… To był ostatni list, jaki wyszedł spod ręki Dorothei Rohrbeck, dziedziczki, pani na Kleppelsdorfie. Dwa dni później zarówno ona, jak i Urszula nie żyły, zastrzelone w bawialni z pistoletu należącego do Grupena.

– Tak, Lindo. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć Jeremi, choć i to przyszło mu z trudem.

– W żadnym artykule z tych, z jakimi się zetknęłam, badając sprawę śmierci Dorothei i Ursel, ani razu nie pojawiła się najmniejsza nawet wzmianka o M, czyli Marii Mohr, jako potencjalnej współzbrodniarce. A co, jeśli to nie Grupen pociągnął za spust czternastego lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku? Z zeznań babki dziewcząt wynikało, że kiedy padły strzały, Grupen znajdował się razem z nią. Nie mógł więc popełnić tej zbrodni, bo teleportować się nie potrafił.

– Rzeczywiście to byłoby trudne – potwierdził jej tok rozumowania Jeremi.

– Jest jeszcze wątek jego ucieczki z więzienia. Podobno strażnik, który go wypuścił, kilka razy wspomniał o jakiejś kochance, która miała czekać na Grupena w Jeleniej Górze i pomóc mu uciec do Czech. Problem w tym, że Maria Mohr zniknęła zaraz po aresztowaniu Grupena i ślad po niej zaginął. A on finalnie nigdzie nie uciekł, tylko wrócił do więzienia, załamany jak nigdy wcześniej, i ostatecznie popełnił samobójstwo.

– I chyba już wiemy, co miała znaczyć „barokowa Wenus” – zauważył Organek.

– Tak, zdecydowanie. Jestem pewna, że właśnie o obrazy Michaela Willmanna chodziło Ajaksowi. Już sto lat temu jego dzieła były niezwykle wysoko cenione, a wiadomo, że część z nich zaginęła w historycznej zawierusze. To wszystko do siebie pasuje, Dżer!

Jeremi podzielał wnioski Lindy. Nie potrafił jednak znaleźć ogniwa łączącego zbrodnię sprzed wieku ze śmiercią Mariusza Żywiuszki. Chyba że…

– Myślisz, że Żywiuszko mógł wiedzieć o listach? – zapytał, układając myśli.

– Myślę, że mógł – potwierdziła Linda z zaciekłą stanowczością. – Myślę, że o nich wiedział, możliwe, że pomagał eks denatowi w ich ukryciu, ale

dlaczego umarł… tego nie wiem. Brakuje nam co najmniej kilku danych, ale jak tylko znajdziemy tego cymba…

Jeremi nacisnął na hamulec z taką siłą, że jedynie pas – zamontowany dokładnie w tym celu – uchronił Lindę przed złamaniem nosa o deskę rozdzielczą.

– Co robisz?! – wrzasnęła, trzymając się za obojczyk.

– Ratuję człowieka przed śmiercią pod kołami – odparł Organek, a o jego zdenerwowaniu świadczyły wyłącznie grube krople potu na czole. – Mówiłaś, że jak wygląda ten twój Ajax?

Linda odsunęła z oczu grzywkę, która przykleiła się jej do czoła, i otworzyła szeroko oczy.

– O w mordę mordercy, tylko jeden człowiek byłby na tyle głupi, żeby zatrzymywać sobą samochód na środku drogi krajowej! – Odpięła pas, podniosła się z fotela i wrzasnęła: – A tobie nie wystarczy jedna śmierć, Bartman?! Mądrości w życiu pozagrobowym ci nie przybyło, jak widać!

Stojący zaledwie kilka metrów przed maską Kazika młody mężczyzna uśmiechnął się zniewalająco, ukazując śliczne dołeczki.

– Lin, jak ja się za tobą stęskniłem! – krzyknął i w trzech susach znalazł się na tylnej kanapie mercedesa. – Wiedziałem, że to rozkminisz, moja szalona Wenus. Ajax Bartman – przedstawił się oszołomionemu Organkowi i wyciągnął rękę, w której trzymał skrawek papieru. – Niech pan jedzie pod ten adres, tam będziemy bezpieczni.

Silnik zaryczał, opony zapiszczały i Organek ruszył z impetem, jakby gonił go co najmniej hipnotyzer morderca sprzed stulecia.

18
W TWOIM WIEKU TO NIEMAL GRZECH CIĘŻKI ŚMIERTELNY

Komisarz Michał Bączek od dłuższej chwili zastanawiał się nad tym, czy za pozorną otwartością Salomei Morawskiej nie stoi przypadkiem coś innego. Na przykład chęć odciągnięcia uwagi policjantów od sprawy, z jaką właściwie się zjawili w Pałacu Książęcym we Wleniu. Nie potrafił jeszcze wymyślić, co mogłoby być przyczyną takiego zachowania kobiety, ale instynkt oraz migoczący stroboskop w głowie coraz bardziej natarczywie upominały się o wzmożoną uwagę.

Policjant przyglądał się właścicielce pałacu spod zmrużonych powiek, starając się czytać z niewerbalnych komunikatów jej ciała. Rozluźniona, może nawet zbyt swobodna pozycja, wyciągnięte, stanowczo zbyt długie nogi, jeden łokieć oparty, druga ręka co jakiś czas dotykająca to kolana, to włosów, to złotego naszyjnika, plastyczna mimika – i przy okazji ani jednej zmarszczki, pomijając siateczkę promieni tworzących się wokół wielkich oczu, gdy Salomea się uśmiechała. Każdy ruch wydawał się niemal wystudiowany, wytrenowany i precyzyjny. Była w tym jakaś sztuczność, nienaturalny spokój, które od początku nie podobały się Bączkowi.

Zerknął na Wilczyńskiego – ten za to wszystkie emocje miał wymalowane na pulchnej twarzy, a wśród nich przeważały zachwyt,

zauroczenie i niedające się z niczym pomylić cielęce uwielbienie, jakiego Bączek nigdy wcześniej nie widział u swojego pryncypała. Brakowało tylko, żeby zbliżający się do emerytury nadinspektor rzucił się na kolana i jął całować ręce damy swojego serca, a później wycyganił od niej jakąś szmatkę na znak rycerskiego oddania. Żenada, jak mawia młodzież.

Tymczasem Salomea wydawała się zadowolona z aktualnie panującego status quo i wcale nie przejmowała się sceptyczną miną Bączka, nawet nie uwzględniając go w charakterze odbiorcy. Mówiła do jednoosobowego audytorium, zupełnie się z tym nie kryjąc.

– Ten proces to był absolutny precedens i sprawa ciesząca się tak wielkim zainteresowaniem, że rozpisywał się o niej nawet londyński „The Times" – tokowała, patrząc wyłącznie na Wilczyńskiego. – Dochodziło do niebywałych skandali, jak choćby ten, że kobiety dziennikarki, zamiast relacjonować z zawodową bezstronnością przebieg procesu, rozwodziły się nad urodą, elokwencją i magnetycznym urokiem Grupena. W dzisiejszych czasach bez wątpienia stałby się celebrytą.

– Niebywałe! Wprost nie do wiary! – wykrzykiwał nadinspektor ku uciesze narratorki.

– Prawda? Miał w sobie jakąś siłę, której większość ludzi nie była w stanie się oprzeć – rozwijała temat, wyciągając coraz to nowe smaczki. – Niech pan sobie imaginuje, nadinspektorze, że w toku śledztwa wyszły na jaw jego liczne romanse, do których przyznawały się służące, pokojówki, ale i damy z wyższych sfer. Podobno nawet matka Gertrudy miała zeznać, że zięć próbował ją uwieść. Omamił ławników, a powołany w procesie biegły psychiatra stwierdził z całą stanowczością, że Peter Grupen był w stanie przy użyciu hipnozy lub innej formy nacisku psychicznego przekonać Urszulę do zastrzelenia Dorothei, a następnie odebrania sobie życia.

– Niesamowite, niesamowite!

– Ale czy znów aż tak niewiarygodne? – Salomea nagle zmieniła pozycję w fotelu, zyskując tym samym zwiększoną atencję Bączka. Już niemal był pewien, potrzebował jeszcze jednego dowodu.

– Proszę sobie wyobrazić – kobieta zniżyła głos do szeptu, głęboko pochyliwszy się w stronę Wilczyńskiego – że po osadzeniu w więzieniu w Jeleniej Górze Peter Grupen siłą swojego umysłu przekonał jednego ze strażników, aby ten go wypuścił. Mężczyzna to zrobił, jakby była to rzecz tak

naturalna jak wypicie kawy w miłym towarzystwie. – To powiedziawszy, Salomea sięgnęła po filiżankę i z wielką gracją upiła z niej łyczek aromatycznego napoju. Ani na moment nie odrywała przy tym wzroku od twarzy Wilczyńskiego. – Kiedy przesłuchiwano strażnika, mężczyzna nie był w stanie przypomnieć sobie nawet tego, jakich argumentów użył więzień, a sam moment otworzenia celi pamiętał jak przez mgłę.

Salomea patrzyła prosto w błyszczące oczy krągłego policjanta, niemal nie mrugając. Pochyliła się nieznacznie, a Wilczyński bezwiednie naśladował każdy jej gest.

– Moja babka opowiadała, że w kawiarniach, w których spotykały się panie z towarzystwa, nie było innego tematu rozmów. – Odgarnęła niesforny kosmyk z twarzy; policjant także powiódł dłonią po swoim policzku. – Zastanawiano się głównie nad tym, czy ktoś „o tak miłej aparycji, tak oględny i wymowny" mógłby być potworem napastującym pasierbicę i mordującym jej krewne. – Zmrużyła oczy, przechyliła głowę w lewo, następnie położyła dłoń na piersi. Lustrzane ruchy nadinspektora wyraźnie sprawiały jej satysfakcję.

Bączek nie miał już cienia wątpliwości. Jego wyszkolona intuicja od początku miała rację. Biedny, biedny Wilczyński, że też akurat na niego musiało trafić.

– To mi nasuwa na myśl inną bardzo głośną sprawę pewnego niezwykle groźnego człowieka o zadziwiającym magnetyzmie – odezwał się, przypominając o swojej obecności. Zaskoczenie na twarzy Salomei upewniło go w przekonaniu, że kobieta całkowicie skoncentrowała się na swojej ofierze, zapominając, że jest obserwowana.

– Ach tak? – zapytała, wracając do pozycji obronnej.

– Tak, tak. Kojarzy pani nazwisko Ted Bundy?

Salomea prychnęła głośno i odrzuciła kasztanowe włosy na lewe ramię.

– Oczywiście, że kojarzę, komisarzu, mieszkanie w barokowym pałacu nie oznacza, że nie docierają do mnie informacje ze świata. Poza tym to nazwisko zapisało się już w historii kryminalistyki, a tak się składa, że jest to dziedzina bardzo mnie interesująca.

„Nie wątpię", pomyślał złośliwie Bączek, taksując kobietę lodowatym spojrzeniem.

– Wobec tego musi pani przyznać, pani Morawska, że gdyby w latach dwudziestych dwudziestego wieku profilerzy kryminalni już istnieli, a sprawą Dorothei Rohrbeck zajęli się specjaliści z Quantico, być może udałoby się ją rozwiązać, a przy okazji profil seksualnego drapieżcy korzystającego z metod manipulacji umożliwiłby dużo szybsze rozpoznawanie seryjnych morderców pół wieku później. A także innych niebezpiecznych przestępców, z którymi mamy cały czas do czynienia. – Ton Bączka był zimny, ale brzmiało w nim też pewne ostrzeżenie.

Salomea milczała. Skrzyżowała spojrzenie z policjantem i przez chwilę trwali w tym przedziwnym pojedynku. On już zdecydowany, by ją docisnąć, ona wciąż pewna, że to tylko blef.

Wilczyński w końcu odczuł dziwną atmosferę, jaka zapanowała w rozkosznie urządzonej sali kominkowej, i spojrzał najpierw na gospodynię, następnie na podwładnego, znów na Salomeę, kolejny raz na Bączka. I niczego nie rozumiał.

– Czy coś mnie ominęło? – Nie wiadomo, do kogo skierował to pytanie.

– Ależ skąd, tak tylko rozprawiamy o podobieństwie do siebie wszystkich socjopatów. – Głos Bączka wciąż potrafił zrobić z banana lodowy sopel.

– Jakoś odnoszę wrażenie, że o czymś innym rozmawiacie – mruknął niezadowolony nadinspektor. – I czuję się jakby wykluczony.

– Bynajmniej, drogi nadinspektorze, bynajmniej – odparła Salomea, nie spuszczając wzroku z Bączka. – Pan komisarz jedynie wczuł się w rolę, możliwe, że aż nazbyt.

– Wie pani – rzucił zaczepiony – taka praca. Można wyjść z firmy, ale firma z nas nigdy nie wyjdzie, a instynkty działają, oj, działają.

– No nie, teraz to już jestem pewien, że mówicie o czymś, o czym ja nie mam pojęcia – zbulwersował się Wilczyński. – Tłumacz się, Michaś!

Michaś najwyraźniej nie zamierzał się tłumaczyć ani przed szefem, ani przed gospodynią; miał w planie zupełnie co innego.

– Pani Morawska, chciałbym zapytać o pani powiązania z Mariuszem Żywiuszką – odezwał się całkiem spokojnie, ignorując szefa.

– Z kim? – Za wyraz zdziwienia kobieta spokojnie mogłaby dostać nagrodę którejś ważniejszej gildii aktorskiej. – Ach, pewnie chodzi panu o tego

młodzieńca, o którego wypytujecie w miasteczku. Niestety nie mam z nim żadnych powiązań. – Rozłożyła ręce i przywołała zatroskanie na twarz.

– Nie widziała go pani? Nie było go tu? – drążył Bączek, ani myśląc odpuścić trop.

– Być może był i wówczas prawdopodobnie go widziałam, jednak zupełnie nie kojarzę – odrzekła, nie tracąc rezonu.

– To doprawdy interesujące… – stwierdził z udawaną zadumą komisarz, ale zanim skończył myśl, odczekał długą minutę. – Twierdzi pani, że nie kojarzy kogoś, kogo nigdy pani nie widziała? Nie pokazaliśmy pani fotografii, nasi mundurowi także nie byli u pani ani nie rozmawiali z pani pracownikami.

Salomea poprawiła się w fotelu, jednak nie wyglądała na szczególnie stropioną. W jej ogromnych oczach igrały dziwne ogniki.

– Chyba nie sądzi pan, że nie zainteresowałam się tematem, kiedy co chwilę gdzieś o nim słyszę? I z całą pewnością mogę panu powiedzieć, że nie rozmawiałam z tym chłopakiem, a nawet jeśli weszłam z nim w jakąś interakcję, to przypadkiem i bezwiednie.

Bączek musiał przyznać, że kobieta była naprawdę bystra i jako przeciwnik stwarzała dużo kłopotów. To jednak wcale nie oznaczało, że czuł się pokonany. Z nim było jak z dzieckiem, które gdy już się na coś zaweźmie, nie odpuści, choćby świat dookoła walił się i palił. O nie, nie ma mowy, tu coś było na rzeczy, a Salomea Morawska może kłamać do woli, on i tak wszystkiego się dowie.

– Michaś, a coś ty taki agresywny nagle się zrobił? – Wilczyński, jak przystało na prawdziwego rycerza, poczuł się w obowiązku bronić honoru swojej damy.

– Bynajmniej, Kaziu, ociekam spokojem i łagodnością. Tylko bardzo nie lubię, kiedy ktoś wmawia mi nieprawdę i jeszcze każe uwierzyć, że słyszę zupełnie co innego, niż ta osoba mówi.

Skrzyżowane spojrzenia komisarza i Salomei toczyły ze sobą walkę i brakowało jedynie, żeby strzelały iskry. Wilczyński przyglądał się temu z mieszaniną zdumienia i niepokoju, zupełnie nie potrafiąc pojąć, co tu się właściwie dzieje.

– Czy mógłbym dostać jeszcze kawy? – Bączek cedził słowa przez zaciśnięte jak imadło szczęki, równocześnie usiłując się uśmiechać. Wyszło

dokładnie tak, jak można to sobie wyobrazić. Nikt się nie nabrał, ale Salomea też nie była w ciemię bita i nie zamierzała składać broni.

– Oczywiście, komisarzu. Może ciasteczko do kawy?

– Ciasteczko? – Wilczyński natychmiast podchwycił pomysł i już chyba chrupał w myślach to ciasteczko, bo jego twarz wyrażała w tej chwili jedynie ekstazę.

Gospodyni podniosła się z fotela, dygnęła grzecznie obu policjantom, po czym oznajmiła przepraszającym tonem:

– Panowie wybaczą na minutkę, przekażę zamówienie i zaraz do panów wracam.

Wilczyński pokiwał głową z impetem, Bączek skinął łaskawie, a następnie odprowadził kobietę wzrokiem, usiłując nie widzieć gracji i rozkołysanych bioder w niewątpliwie wystudiowanym chodzie. Gdy tylko Salomea zniknęła za progiem sali kominkowej, komisarz spojrzał na szefa i syknął:

– Kazik, ona coś skrywa!

– Oj, skrywa, Michaś, skrywa, i to ile! – odparł nadinspektor, kiwając głową. I kiedy Bączek już chciał się ucieszyć, dodał: – Chociaż jak dla mnie to takich skarbów nie powinno się ukrywać przed światem, to powinno być ustawowo zakazane!

– O czym ty, do cholery…?

– Te nogi, matko jedyna, jakby je Michał Anioł wyrzeźbił! – kontynuował zachwyty Wilczyński. – Szyja, o jasny gwint, nic tylko całować! Te rączki, ramionka, ten brzuszek płaski jak blat kuchenny!

– O mój borze bagienny… – jęknął Bączek i pokręcił głową. – Kazik, przecież ona cię omotała. Omamiła, zmiękczyła, ulepiła tak samo jak ten cały Grupen. A ty dałeś się na to złapać jak mucha rosiczce…

– No wiesz co? – oburzył się pryncypał. – Czasem jak coś powiesz, to ja naprawdę już nie wiem, czy się śmiać, płakać, czy może skierować cię na badania.

– Teraz powinieneś płakać, bo dałeś się zrobić w bambuko – odrzekł Bączek całkiem spokojnie.

– Bo co? Bo doceniam walory urodziwej kobiety? A od kiedy to jest w ogóle grzech?

– W twoim wieku to niemal grzech ciężki śmiertelny. Jak na doświadczonego specjalistę od wyczuwania kłamstwa kiepsko ci idzie rozpoznanie oszustki. Trochę mi za ciebie wstyd…

Wilczyński gwałtownie nabrał powietrza, a jego pyzata twarz przywdziała odcień kardynalskiej czerwieni. Nie zdążył jednak wyrazić swoich myśli, bo do pomieszczenia wróciła Salomea, kręcąc biodrami i rozsiewając czarujące uśmiechy.

„Kirke, słowo daję", pomyślał Bączek. Gorączkowo się zastanawiał, jak ją zdemaskować, jakiego użyć podstępu, żeby ta manipulatorka musiała odkryć karty. A także nad tym, co mu się nie zgadzało w tak chętnie przytoczonej opowieści.

– Za chwilkę podadzą kawę i szarlotkę – oznajmiła piękność, siadając z niebywałą gracją na fotelu. – Mam nadzieję, że lubią panowie szarlotkę?

– No ba! – Mina nadinspektora wyraźnie mówiła, że nie tylko lubi i nie tylko szarlotkę, ale zjadłby absolutnie wszystko, co poda mu to zjawisko nadprzyrodzone, osadzone na najdłuższych nogach świata.

Prostym ciągiem skojarzeń myśli Bączka powędrowały zaś do baśni skupionej wokół zatrutego jabłka. Olśniewająco piękna kobieta, śmiertelnie niebezpieczna zabójczyni – wszystko się zgadzało. Poza jednym: nie potrafił znaleźć powodu, dla którego bajecznie bogata Salomea Morawska mogłaby zamordować młodego chłopaka. Może zakochał się, biedaczek, a ona akurat nie miała nastroju na umizgi? Nie, raczej wątpliwe. Co zatem? Najczęstszym motywem zabójstw były miłość, zazdrość i pieniądze. Postanowił odrzucić pierwsze i drugie, jakoś mu nie pasowały do osób dramatu, ale co z pieniędzmi? Zwykle ofiarą padają ci bogaci, odwrotnie nie miało to żadnego sensu, a z rozmów z ojcem i wujem Mariusza Żywiuszki wynikało, że chłopak był klasycznym gołodupcem. Coś mu umykało, coś bardzo istotnego, musiał, po prostu musiał to znaleźć. Był pewien, że jest na właściwym tropie, właśnie tu, właśnie w tym miejscu, tylko wciąż nie mógł odnaleźć pęknięcia w fasadzie, w którym grzebałby tak długo, aż doprowadziłby do powstania solidnej wyrwy, przez którą wycieknie prawda.

– A pan, komisarzu? Lubi pan szarlotkę?

– Zazwyczaj tak, ale dziś nie mam ochoty – odparł niemal wrogo. – Miałaby pani coś przeciwko, żebym trochę… pozwiedzał?

– Ależ skąd, proszę się nie krępować – odrzekła z ujmującym uśmiechem i miękkością w głosie.

Prawie dał się nabrać. Prawie.

– To ja sobie pozwiedzam.

Podniósł się z wygodnego siedziska i ruszył ku schodom prowadzącym na piętro. Musiał przyznać, że podczas renowacji wykonano kawał znakomitej roboty, a jej efekty odbierały mowę. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić, że znajduje się w barokowej rezydencji, w której palą się drwa w kominkach, podłogi skrzypią, służba się uwija, a wieczorami pije się herbatę w salonie i dyskutuje o literaturze, sztuce, polityce i obgaduje sąsiadów ze wsi.

Postąpił dwa kroki, co przy jego długich nogach oznaczało, że był już w połowie pierwszej części schodów, kiedy nagle się zatrzymał. Barokowa rezydencja. Barokowa. Czy to słowo pojawiło się w liście Bartmana do Lindy w innym kontekście, niż założyli? Barokowa Wenus? Czy Tycjan tworzył w baroku?

Oparł się o ścianę wyłożoną grubą tapetą w kremowo-czerwone pasy i uruchomił przeglądarkę w telefonie. No nie, Tycjan z całą pewnością nie tworzył w baroku, to już prędzej Rubens, a Lindę z trudem można by określić mianem rubensowskiej piękności, bo brakowało jej krągłości tu i ówdzie. Zatem może właśnie chodziło o wskazanie Wlenia.

Ale był jeszcze „obraz". Bączek miał już pewność, że trzeba będzie ponownie przyjrzeć się kryptogramowi, głębiej wejść w znaczenia poszczególnych słów, a już na pewno nie rozmawiać o tym z panną Miller, która zapewne skłamała. O, też mu niespodzianka…

Odruchowo i trochę podświadomie połączył dwa słowa i wyszukał w internecie hasło „barok w malarstwie". Biorąc pod uwagę wykształcenie i zawód Ajaksa Bartmana, trop w postaci barokowego dzieła sztuki malarskiej wydawał się nawet prawdopodobny. Komisarz nie znał się na sztuce, nie na tyle, na ile chciałby się znać w tym momencie, ale znał kogoś, kto mógł mu pomóc. Jednak telefon do Baczmańskiego w tej chwili był zbyt ryzykowny. Nie mógł pokazać Salomei Morawskiej, że właśnie dokonuje rewizji śledztwa, w którym ona występuje w roli złej macochy Królewny Śnieżki, podejrzanej o odebranie życia młodzieńcowi.

Cofnął się na parter i odszukał wyjście do ogrodu. Kątem oka zarejestrował młodą kobietę niosącą tacę z kawą i ciastem do sali kominkowej,

ale nie zawrócił. Był już jak pies myśliwski, który uchwycił trop jelenia, i instynkt nie pozwoli mu spocząć, póki ofiara nie znajdzie się w parterze.

Kiedy oddalił się na bezpieczną odległość od pałacu, wybrał numer Baczmańskiego, ale nie zdążył zainicjować połączenia, bo na ekranie pojawił się numer komendy.

– Co tam, Kacper? – rzucił nieco zniecierpliwionym tonem, ale szybko go złagodził. Młody technik pracujący nad sprawą Żywiuszki nigdy do niego nie dzwonił, jakby bał się diabelskiego wynalazku Bella, chyba że miał istotne informacje, które należało natychmiast przekazać. – Znaleźliście coś interesującego?

– Jest pan w tym Wleniu, szefie?

– Zgadza się.

– Przed chwilą przyszedł raport od tego toksykologa – zameldował chłopak. – Skonsultowałem się z Baczmańskim i poradził mi, żebym od razu to panu przekazał. Żywiuszko został otruty rycyną, analiza śliny z tej gumy z kieszeni potwierdziła jej obecność.

– Rycyna? – zdumiał się komisarz. – O oleju słyszałem, moja matka stosowała to chyba do włosów.

– O ile dobrze zrozumiałem Remika, to jakaś inna forma jest. Nasiona czy coś, takie duże owoce ma.

– Dobra, dziękuję, zaraz to sprawdzę. – Z ciekawości zapytał jeszcze: – A Remik dlaczego sam nie zadzwonił?

– Szczerze? – Chłopak chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, po czym oznajmił: – Powiedział, że musi dokądś jechać i pilnie porozmawiać z najmniejszym, a zarazem największym geniuszem. Myślałem, że to o panu, ale w sumie trochę to bez sensu…

– Nie o mnie – odrzekł z uśmiechem Bączek. – Ale znam sprawę, dzięki za wieści. – Zakończył połączenie i wybrał numer komórki patologa.

Jeremi skupiał się na drodze, podążając za wskazówkami nawigacji, co mogło – od biedy – usprawiedliwiać jego zmęczenie. Linda siedziała wciśnięta w oparcie fotela, także milcząc, ale w jej przypadku usprawiedliwienie miało nieco odmienną naturę – dziewczyna była wściekła. Pasażer na gapę tymczasem zupełnie nie przejmował się milczeniem ani jednego, ani drugiego, wręcz mogłoby się wydawać, że cisza jest mu na rękę, gdyż nikt mu nie przerywa.

– Kurde, Lin, ja wiedziałem, że ty to wszystko zrozumiesz, no po prostu wiedziałem! – perorował, usiłując przekrzyczeć wiatr. – I że nie pójdziesz do glin, że mnie nie wystawisz, chociaż kto by ci uwierzył? Papiery są w porządku, wszystko prawilnie, na legalu i z prawdziwymi pieczątkami. Bo u nas pieczątka załatwia wszystko: masz na papierze stempel, to załatwione.

Linda przewracała oczami, szczęśliwa, że Ajax nie może tego zobaczyć, a w myślach planowała sposób uśmiercenia tego patałacha tak samo prawilnie i na legalu, tyle że z autentycznymi zwłokami należącymi do nieboszczyka.

– Ale przez chwilę to miałem stracha – ciągnął chłopak tonem radosnym jak dziecko, które otrzymało naklejkę „dzielny pacjent" i nie zamierza zerkać do tyłu na straszny fotel dentystyczny. – Jak gliny zaczęły tu węszyć wokół Mariusza, to serio pomyślałem, że zaraz to wszystko trafi szlag i na nic moje wysiłki. Ale nie powinienem był nigdy w ciebie zwątpić, *shame on me!*

– Co ty masz z tymi glinami? – Linda w końcu nie wytrzymała i ciekawość wzięła górę. – Jakoś nie pamiętam, żebyś wcześniej ich tak nie lubił. Nawet miałeś zapędy, żeby studiować w Szczytnie.

– Stare dzieje, mała! – Ajax machnął ręką i uśmiechnął się szeroko, prezentując dołeczki w policzkach. – Podwórko uczy zasad, policja uczy biegać, to moja aktualna filozofia.

– Bardzo interesująca – mruknęła dziewczyna. – I nie jestem mała, mały to jest Prometeusz, jakbyś chciał wiedzieć.

– Szkoda, że siedzisz do mnie tyłem, bo jak się boczysz, to jesteś taka seksowna, mrrrr.

Tym razem Linda zaszczyciła go jedynie pełnym irytacji sapnięciem.

– To chyba tutaj? – odezwał się Jeremi. – Wnioskuję, że ten mustang z sześćdziesiątego dziewiątego należy do pana.

Przed chwilą skręcili w boczną dróżkę, na której końcu stał stary parterowy domek otoczony zapuszczonym ogrodem. Dookoła posesji ciągnęły się łąki przechodzące w mieszany las.

– Tutaj – potwierdził Ajax. – Może pan zostawić samochód obok mojego, pies z kulawą nogą tu nie zagląda, jest bezpiecznie.

– Co to za dziura? – Linda rozglądała się z mieszaniną ciekawości i zniesmaczenia. – Jakaś twoja meta na upojne randki z biuściastymi blondynami na sterydach?

Bartman spojrzał na dziewczynę ze szczerym zdumieniem.

– Ty tak serio, Lin?

– Nie, trenuję dowcipy do występów w kabarecie.

– To słabo ci idzie, przemyśl repertuar – odgryzł się chłopak. – Gdybyś przestała udawać wredną zołzę i choć raz przeanalizowała, w jaki sposób i z jakiego powodu zakończył się nasz związek, być może darowałabyś sobie takie docinki.

– Niczego nie udaję, ja po prostu jestem wredną zołzą, ale nie będziemy teraz prać naszych brudów, bo Jeremi nie musi tego wysłuchiwać. Wchodzimy czy będziemy tu tak sterczeć, czekając, aż jakiś głodny lis albo wilk się nami zainteresuje?

Organek, chcąc nie chcąc będący świadkiem tej rozmowy, już chciał zauważyć, że lisy raczej nie atakują ludzi, a wilki też wolą się trzymać z daleka, zwłaszcza od ruchliwych dróg, ale ostatecznie ugryzł się w język. W takim stanie ducha Linda była skłonna upierać się nawet przy tym, że dinozaury wcale nie wyginęły, więc zwyczaje łowieckie wilków były najmniejszym problemem.

Stara furtka, na której zielona farba została już chyba tylko symbolicznie w ramach pielęgnowania pamięci o dawnych, lepszych czasach, skrzypnęła okropnie, popchnięta przez Ajaksa. Odgrodzona od reszty świata posesja wyglądała na opuszczoną, ale przy bliższym przyjrzeniu się można było zauważyć całkiem niedawno wymienione okna i solidne zamki w drzwiach wejściowych. Wszystko inne pamiętało pewnie czasy odwilży.

Ajax przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę z pewnością osoby, która otwiera własny dom i doskonale wie, jak działają mechanizmy zabezpieczające oraz czego spodziewać się w środku. Skrzydło uchyliło się do wewnątrz, chłopak przeszedł przez próg i zawołał:

– Marcin, to ja! Gości przywiozłem!

– Kto przywiózł, ten przywiózł – burknęła Linda pod nosem i ruszyła za nim.

Bartman odłożył klucze na stojącą tuż przy wejściu niewielką szafkę i nie oglądając się na pozostałych, pomaszerował w głąb domu. Linda szła za nim, Jeremi zamykał wycieczkę, przy okazji zamykając drzwi. Wewnątrz panował przyjemny chłód, charakterystyczny dla starych budynków wzniesionych ze zdrowej cegły. Pachniało kurzem, drewnianymi podłogami i jakimś ziołem, którego nie dało się od razu zidentyfikować.

Wąski, ciemny przedpokój prowadził do kuchni, przez którą trzeba było przejść, żeby dotrzeć do sporego pokoju, z dużym prawdopodobieństwem stanowiącego serce domu. Znajdował się tam nowoczesny zestaw wypoczynkowy i zawieszony na ścianie ogromny telewizor, który aktualnie był wyłączony. Pomijając wpadające przez otwarte okna dźwięki, w pokoju panowała cisza.

Siedzący na kanapie starszy mężczyzna podniósł się z wyraźnym trudem i uściskał Ajaksa. Linda, która deptała chłopakowi po piętach, przyglądała się z zaciekawieniem tej familiarnej scenie.

– Marcinie, to jest Linda, pewnie pamiętasz, opowiadałem ci o niej.

– Ach tak, nawet podobnie ją sobie wyobrażałem – odrzekł staruszek i uśmiechnął się do dziewczyny. – Ale jednak bardziej przypomina Helenę Trojańską Evelyn de Morgan niż Marię Magdalenę Tycjana.

– Biorę to za komplement, Maria Magdalena była zbyt pulchna. Linda Miller. – Dziewczyna podeszła do mężczyzny i podała mu dłoń, którą on uścisnął z zaskakującą siłą i odparł:

– Zdecydowanie nie jest pani pulchna. Marcin Misiak.

Oczy Lindy, i tak całkiem duże, urosły nagle do rozmiarów piłek golfowych.

– Pan żartuje? Marcin Misiak, profesor sztuk pięknych? Nieeeee…

– W odróżnieniu od ciebie Marcin nigdy nie chciał występować w kabarecie i nigdy nie żartuje ze swojego nazwiska – zakpił Ajax.

– Nigdy, przenigdy! – Staruszek uśmiechnął się ciepło, a na widok wchodzącego do pokoju Organka niemal się rozpromienił. – Ach, a to, jak się domyślam, słynny doktor, detektyw-patolog?

Jeremi zastygł, słysząc, że jest słynny, a przy „detektywie-patologu" wręcz się skrzywił.

– Miło mi… Chyba – wymamrotał.

– Siadajcie, kochani, ja wstawię wodę na kawę, a wy tu sobie porozmawiajcie – rzucił Ajax.

– Zdaje się, że to ty masz nam coś do opowiedzenia – fuknęła Linda.

– Spokojnie jak na wojnie, Marcin was wprowadzi, a ja zaraz dołączę.

I tak nie mieli nic lepszego do roboty, a ciekawość nie bez powodu uznawana jest za grzech. Usiedli na kanapie i pokornie oczekiwali objawienia.

– Trochę się porobiło, prawda? – zagaił Misiak, siadając w pewnej odległości od Lindy. Musiało to być jego ulubione miejsce, bo siedzisko było nieco wytarte.

– Chyba tak, tylko widzi pan, my nie bardzo wiemy co – odparła buńczucznie rudowłosa.

– Skoro tu jesteście, to jednak coś wiecie. – Emerytowany profesor mrugnął filuternie. – Ajax wciąż powtarzał, że „Linda na pewno to zrozumie".

– Łączenie w tym samym zdaniu słów „Linda" i „na pewno" to bardzo zły pomysł – skomentował Jeremi.

– No wiesz co? – oburzyła się dziewczyna. – Przecież tu jesteśmy! Pan profesor sam to powiedział!

– W twoim wypadku jedyne, czego można być pewnym, to tego, że niczego nie można być pewnym – odparł Organek. – Jesteś jak żywioł.

– Heraklit się znalazł – sarknęła dziewczyna, jednak wcale nie wyglądała na obrażoną. – No dobra, poplotkowaliśmy, to teraz do rzeczy. Jakim cudem eks denat jest eksdenatem?

Marcin Misiak, do którego owo pytanie zostało skierowane, zamrugał i zachichotał. Właściwie trudno mu się dziwić, każdy człowiek potrzebowałby czasu, żeby przywyknąć do obejścia Lindy.

– Wbrew pozorom okazało się to nie takie trudne, jak pokazują w filmach – wyjaśnił po chwili. – Ojciec Ajaksa, z racji wykonywanego zawodu, znał całą armię lekarzy, którzy nie takie rzeczy robili w czasach słusznie minionych. Tacy jak oni rzadko zadają pytania inne niż: „Za ile ta pieczątka?".

– I za ile? – zaciekawiła się Linda.

– Wystarczyło wykupić samochód z leasingu. – Odpowiedź padła z ust Ajaksa, który wszedł do pokoju z dzbankiem kawy. – I nawet nie żadne

porsche, tylko najzwyklejsze mondeo, tak że poszło gładko.

– A dlaczego w ogóle musiało pójść? – Jeremi chciał wiedzieć tylko to jedno, wszystko dookoła zdawało się jedynie zbędnymi rozpraszaczami.

– To chyba oczywiste, doktorze. Żebym nie skończył jak Mariusz.

– Czy tylko ja mam wrażenie, że ty nam to opowiadasz od dupy strony? – zirytowała się Linda. – Bądź łaskaw zacząć od początku, w jakiejś sensownej kolejności i z dbałością o skutki wynikające z przyczyn. Tylko bez lania wody! – zastrzegła natychmiast, zanim Bartman otworzył usta. – Śpieszy nam się do Salomei, która Prometeusza nie chciała.

Niewątpliwie imię Salomea nie zrobiło wrażenia na Misiaku i Bartmanie, przy Prometeuszu za to brwi im drgnęły.

– Śpiesz się powoli – stwierdził filozoficznie Ajax. – A już na pewno do Salomei, chyba że śpieszysz się do poznania jej świętej imienniczki. Salomea Morawska to osoba, z którą nie należy igrać, zwłaszcza jeśli nie jest się przygotowanym na kontakty z Matą Hari.

To powiedziawszy, znów zniknął w kuchni, ale tym razem wrócił szybciej, niosąc na tacy cztery białe filiżanki. Najwyraźniej to on, a nie Misiak, był gospodarzem w tym domu i to do jego obowiązków należało dbanie o gości. Rozlał płyn do naczyń, podał każdemu jego filiżankę, nawet nie pytając o cukier albo mleko. Nie musiał, bowiem wszyscy czworo pili kawę dokładnie taką, jaka być powinna: gorącą, czarną i gorzką.

– Czekaj! – odezwała się nagle Linda, uderzona niespodziewaną myślą. – A jak ty teraz się nazywasz? Skoro Ajax Bartman nie żyje.

– Paweł Sakowicz. – Chłopak wypiął pierś, jakby spodziewał się zaraz zawiesić na niej medal.

– Herbu Korwin? – Linda zmrużyła oczy.

– Pomian, ale podobno te dwie linie gdzieś się kiedyś skoligaciły. Moi przodkowie pochodzili spod Wilna, z Pelikanów.

– A jak pan poradził sobie z kwestią majątku? – Jeremi, jak zawsze pragmatyczny, tego jednego nie potrafił wymyślić.

– Wie pan, doktorze, jak działają te wszystkie spółki powiązane osobowo i kapitałowo? – zapytał lekkim tonem chłopak, a mina Organka świadczyła o tym, że jest to temat zupełnie mu obcy. I pewnie chętnie w ogóle by tego nie zmieniał. – Powołuje się kolejne spółki, jedna jest komplementariuszem drugiej, komandytariusze też się wymieniają, każda ma

osobowe powiązania z każdą i na samym końcu tego łańcucha jest beneficjent rzeczywisty. Czyli ja. Załatwiłem to wszystko już dawno temu, na wszelki wypadek. Marcin jest moim plenipotentem, więc trzyma rękę na pulsie. Zmieniliśmy nazwisko, kiedy już miałem papiery, i tyle. Marcin zmienił znaczy.

– Czyżby w sądzie też pan miał znajomych znajomych? – domyślił się Jeremi, a Bartman odpowiedział mu figlarnym mrugnięciem.

– Ty chyba faktycznie miałeś jakichś Sakowiczów wśród przodków – przypomniała sobie nagle Linda. – Gdzieś na Warmii, dobrze kojarzę?

Promienny uśmiech chłopaka wystarczył za odpowiedź.

– Trochę dalej na południe, blisko Hajnówki, ale tak czy siak, całkiem niezła pamięć, Lin – pochwalił ją wylewnie. – Przynajmniej za dużo nie musiałem kłamać, oni tam mieli tych dzieci tyle, że nikt się nie połapie.

– No dobra, Sakowicz, to lecisz – rzuciła dziewczyna. – Przyjechałeś do Wlenia z kolegą, poznałeś Salomeę… Dobrze zaczynam?

Robota wydawała się prosta i przyjemna. Pałac Książęcy we Wleniu, dawnej wsi Gościradz, był ucieleśnieniem marzeń każdego historyka sztuki. Ajax Bartman słyszał o nim wiele, raz czy dwa nawet go odwiedził, jednak telefon od właścicielki szukającej utalentowanego konserwatora do odnowienia kilku obrazów wydawał się darem od losu. Mariusz Żywiuszko, jeden z najlepszych kopistów, z jakimi Bartman kiedykolwiek współpracował, ucieszył się nawet jeszcze bardziej i natychmiast zrezygnował z przyjętego wcześniej zlecenia, żeby tylko zająć się kolekcją we Wleniu. Wszystko jak z baśni, ale podobnie jak w baśni, musiała pojawić się wiedźma.

Początkowo obaj młodzi mężczyźni znajdowali się pod niezaprzeczalnym urokiem Salomei Morawskiej. Nie dość, że niemal nadludzko piękna, inteligentna, wykształcona, to jeszcze znała się na sztuce. Żywiuszko chyba nawet się zakochał, choć wypierał się aż do końca. Dopóki było to nieszkodliwe i w żaden sposób nie wpływało na jakość pracy, Ajax

patrzył na zauroczenie kolegi z pobłażaniem, od czasu do czasu wbijając jedynie jakąś szpileczkę. Tak dla zabawy.

Inwentaryzacja zbiorów poszła migiem – meble, antyki, nawet stolarka – wszystko wydawało się w idealnym stanie, znakomicie odrestaurowane, utrzymane w najwyższej formie. Kłopoty zaczęły się dopiero przy obrazach. O ile większość portretów i ram Ajax ocenił na oryginalne, o tyle przy kilku charakterystycznych dla baroku scenach biblijnych miał pewne wątpliwości. Na początku niczego nie mówił, skupił się na sprawdzeniu podstawowych parametrów, ale gryzło go to tak bardzo, że w końcu podzielił się obawami z Żywiuszką.

– Chcesz, żebym sprawdził skład chemiczny farb w tym tryptyku? – Chłopak wydawał się oszołomiony tym pomysłem. – Nawet nie mam tu odczynników, nie mówiąc o warsztacie. I w ogóle po co ci to?

– Coś mi się nie podoba… – odparł wymijająco Ajax. – Chciałbym się upewnić, zanim rozmówię się z Morawską.

– No daj spokój, możesz jej przecież powiedzieć! – Zakochany i nieświadomy swoich uczuć chłopak uważał kobietę za ideał, który prawdopodobnie pewnego dnia objawi anielskie skrzydła i poleci wprost do nieba, gdzie jej miejsce.

– Nie mogę – upierał się Ajax. – Zrobisz to dla mnie?

– Powiedz mi, czego szukasz.

– Tego też nie mogę zrobić, żebyś się nie zasugerował. Chcę, żebyś zwyczajnie dokonał ekspertyzy barwników. Mam pewne podejrzenia i przy dobrych wiatrach twoje badanie udowodni, że się mylę. Oby.

Żywiuszko, w odróżnieniu od kolegi, mimo wielkiego talentu miał niewielki rozumek, który działał w sposób dość prosty. Co gorsza – bardzo łatwo ulegał manipulacji, zwłaszcza gdy manipulantką była tak sprawna osoba jak Salomea Niebezpieczna, jak na swój użytek nazywał ją Bartman. Pod nieobecność Ajaksa, który musiał coś załatwić, Morawska wyciągnęła z Mariusza wszystkie sekrety i sekreciki, a zrobiła to tak umiejętnie, że chłopak nawet się nie zorientował. Wyśpiewał jej jak na spowiedzi także informację, że kolega poprosił go o zbadanie kilku obrazów.

Następnego dnia Ajax od razu się zorientował, że coś jest nie tak, bo obrazy stanowiące przedmiot jego zainteresowania zniknęły ze ścian, a właścicielka pałacu patrzyła na niego zimnym wzrokiem. Zachowywała się

wobec obu mężczyzn inaczej niż dotychczas i Bartman zaczął odnosić wrażenie, że jest obserwowany. Zrobił kilka prób – a to wyszedł do ogrodu, gdzie przypadkiem natknął się na dziewczynę, która akurat wtedy poszła nazrywać kwiatów, choć zwykle robiła to rano, a to inna polerowała drewnianą barierkę, kiedy on przeglądał obrazki wiszące nad schodami, ale ostatecznego przekonania nabrał, gdy w sklepie dwukrotnie mignęły mu znajome twarze, po czym szybko schowały się za regałami.

O domu, w którym mieszkał jego dawny profesor, a od wielu lat najbliższy przyjaciel, nikt poza Ajaksem nie wiedział. Instynkt podpowiedział mu, że tak będzie lepiej. A na pewno bezpieczniej. I jak czas pokazał, było to rozwiązanie idealne. Oddalony od Wlenia zaledwie o kilka kilometrów, stanowił jednocześnie azyl i świetną bazę wypadową. Od nocowania w pałacu wymówił się obowiązkami we Wrocławiu, do którego jednak nigdy nie dotarł.

Marcin Misiak szybko potwierdził podejrzenia Bartmana, kiedy ten, wykorzystując zamieszanie, jakie wywołała wycieczka zwiedzająca pałac, zabrał jeden z obrazów, które obudziły jego czujność. Nie był to rzecz jasna żaden z tych, które zniknęły, ale cóż… nie wyjawił Żywiuszce wszystkiego.

– To bez wątpienia Willmann – stwierdził profesor, spędziwszy kilka godzin na studiowaniu dzieła. – Trzeba by to porównać ze zbiorami Muzeum Narodowego, ale moim zdaniem nie ma ani grama wątpliwości.

– Skąd ten obraz w pałacu? Przecież on nie mógł znaleźć się tam przez przypadek – zastanawiał się Ajax. – Zwłaszcza że widziałem tych płócien więcej, co najmniej siedem, może dziesięć. To jest warte majątek.

– Wiesz, co tu się działo pod koniec wojny. Dolny Śląsk to studnia bez dna, nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile dzieł sztuki zaginęło.

– Gdyby te obrazy były tu w czasie wojny, to albo Niemcy by je zabrali, albo ruscy ukradli i wywieźli do Ermitażu. Nie, to niemożliwe, żeby one tu były w czterdziestym piątym.

Wtedy właśnie obaj uczeni w piśmie i rysunku zainteresowali się dziejami majątku Kleppelsdorf i poznali historię podwójnego morderstwa. Dowiedziawszy się, że po śmierci Dorothei Rohrbeck pałac otrzymało w spadku rodzeństwo jej ojca, niejaka Jenny Pingel oraz Alfred Rohrbeck, Ajax był pewien, że obrazy nie mogłyby zostać na miejscu po ucieczce Niemców w głąb Rzeszy. Michael Willmann był zbyt wysoko cenionym artystą, żeby ktokolwiek zostawił jego spuściznę na pastwę barbarzyńców, za jakich

uznawano wówczas przesiedleńców ze wschodu. I właściwie słusznie, jak pokazała historia.

Wciąż jeszcze nie mając ugruntowanych podejrzeń odnośnie do Salomei Morawskiej, Ajax postanowił ją wybadać, wykorzystując fakt, że kobieta niemal nie spuszczała go z oka. Ciągle patrzyła mu na ręce, o kieszeniach nie wspominając, jakby mógł upchnąć w tychże kieszeniach obrazy wielkości okna. Niemniej on niczego kraść nie zamierzał – nie musiał przecież, bo majątkiem przewyższał ją co najmniej o jedno zero. Za to bardzo mu się nie podobało, że ta pozornie urocza kobieta tak dziwnie zareagowała na normalne zachowanie historyka sztuki. A jeśli Ajax Bartman czegoś bardzo nie lubił, to było tym udawanie kogoś, kim się nie jest.

Któregoś dnia postanowił zostać na noc, oznajmiając, że chwilowo nie musi pojawiać się we Wrocławiu, kupił wino, żeby było miło, zrobił zakupy składające się z sera i winogron do wina, przez cały dzień był miły i uprzejmy – jednym słowem: strateg. W dwóch słowach: doskonały strateg. Tak przynajmniej mu się wydawało. Nie wiedział jednak, a przekonał się o tym dopiero jakiś czas później, że Salomea na strategii zjadła zęby, co mogło tłumaczyć jej idealnie białe licówki, i szybko rozpracowała oszusta. Jednak jak na wygę przystało, grała w tę grę, dopóki nie widziała zagrożenia.

– W jaki sposób weszła pani w posiadanie tego pałacu? – zapytał Ajax, gdy już wraz z Mariuszem wysłuchali historii „krwawych walentynek", przy czym Żywiuszko raczej niewiele z niej zapamiętał, zahipnotyzowany machającą lewą kończyną dolną Salomei.

– A cóż to za pytanie, panie Ajaksie? – Morawska uśmiechem próbowała pokrywać irytację. I raczej nie chodziło o impertynencję, tylko ton głosu Bartmana.

– Zwyczajne, pani Salomeo. Z doświadczenia wiem, że pałaców nie kupuje się w licytacjach komorniczych za tysiąc złotych, a ten, z tego, co widziałem w archiwach, kosztował całkiem dużo. Za dużo – dodał z naciskiem.

Kobieta mierzyła go wzrokiem, zastanawiając się, po które działo sięgnąć. Doszła do wniosku, że na razie jeszcze nie musi odsłaniać wszystkich kart.

– Było mnie stać, by zapłacić taką cenę, a poza tym ten dom ma dla mnie wartość sentymentalną – odpowiedziała tonem rozleniwionej księżniczki. – Moja babka jako młoda dziewczyna mieszkała tu przez kilka

miesięcy w okresie międzywojennym i wielokrotnie opowiadała o tym pięknym miejscu. Gdy tylko wystawiono je na sprzedaż, wiedziałam, że musi być moje.

– Pani babka? – Mariusz Żywiuszko niespodziewanie odzyskał kontakt ze światem, kiedy uzmysłowił sobie, że międzywojnie przypadało mniej więcej sto lat temu, co oznaczało, że jego uwielbiana Salomea raczej nie mogła mieć trzydziestu lat, skoro jej babka żyła przed wiekiem.

– Tak, moja babka, Maria Mohr – rzuciła niedbale i posłała Mariuszowi zalotne spojrzenie spod gęstych firan czarnych rzęs.

Ajax drgnął, ale szybko zamaskował to poprawieniem się na krześle. Nazwisko Marii Mohr z całą pewnością niedawno widział. Widział wyraźnie, wydrukowane na żółtym papierze…

– Mohr, Morawska – odezwał się, połączywszy kropki. – Niemcy pozostający na Ziemiach Odzyskanych spolszczali nazwiska. Czyli pani babka nigdy nie wyszła za mąż? Znała pani dziadka?

Spojrzenie, jakim przeszyła go Salomea, mogło w jednej sekundzie spopielić dąb Bartek. Na szczęście Ajax Bartman nie należał do strachliwych, a w dodatku bardzo nie lubił być traktowany bez należnego mu szacunku. W końcu porządny strateg zawsze docenia przeciwnika.

– Nie, nie znałam dziadka – wycedziła kobieta, powoli tracąc panowanie nad sobą. – Mój dziadek umarł, zanim urodził się mój ojciec.

– Bardzo mi przykro – powiedział z udawanym smutkiem Ajax. – Tyle się słyszy o tych okropnych cechach przekazywanych w genach, nie mówiąc o chorobach dziedzicznych. Ale pani chyba nie boi się tego potencjalnego dziedzictwa?

W tej chwili atmosferę panującą w salonie można było ugniatać jak dobrze wyrobione ciasto. Zrobiło się tak gęsto i duszno, że nawet idealne czoło Salomei skropliło się potem.

– Przepraszam na chwilę – oznajmiła, patrząc na Żywiuszkę. – Muszę przypudrować nosek.

Mariusz skinął głową, chociaż nie pojmował, czego świadkiem był w ciągu ostatnich minut. Kiedy kobieta zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu, spojrzał na Ajaksa z ogromnym pytaniem w oczach.

– Musimy się stąd ewakuować – szepnął Ajax, pochylając się do kolegi. – Tu się coś dzieje, a ja nie mam ani czasu, ani ochoty na kłopoty. Że aż

zrymuję.

– C-co? – Żywiuszko wciąż nie kontaktował. – Ja nie mogę, zadanie mam.

– Zostaw je, serio.

– Nie mogę, kasę wziąłem – wypalił chłopak, za późno się orientując, że powiedział za dużo.

– Jaką kasę? Za co?

– A to nawet zabawne. – Oczy Mariusza zabłysły na chwilę. – Salomea poprosiła mnie o skopiowanie tych Willmannów, które chciałeś badać.

– Pogrzało cię?! – uniósł się Bartman. – Po co?

Żywiuszko nie zdążył udzielić odpowiedzi, bo Morawska wróciła do pokoju. Po niedawnym wzburzeniu nie było już śladu.

– Proszę mi wybaczyć, ale zostałam pilnie wezwana do Warszawy, muszę zająć się pewną sprawą i wyjeżdżam z samego rana. Pójdę się już położyć, dokończymy rozmowę jutro. – Znów uśmiechała się tym swoim uśmiechem, który rozjaśniłby najciemniejsze kazamaty.

Pożegnali ją w zgoła odmiennych nastrojach – Mariusz zawiedziony i markotny, Ajax pełen podejrzeń. Nie byłby jednak sobą, gdyby nie dostrzegł w tej sytuacji szansy i gdy tylko usłyszał, że drzwi sypialni gospodyni się zamykają, dopił resztkę wina i ruszył do samochodu. W bagażniku miał dwie latarki i właśnie teraz nadarzyła się okazja, by je wykorzystać. Nie mógł czekać do rana, bo właścicielka pałacu z całą pewnością wydała stosowne polecenia personelowi i każdy jego ruch byłby śledzony. Pozostawała więc tylko noc.

– Yyyy, a to po co? – zapytał Żywiuszko, rozciągnięty na sofce niczym pan na włościach. Pogryzał brie i wydawał się trochę ululany.

– Muszę coś sprawdzić. Idziesz ze mną?

Odczekali jeszcze chwilę, by mieć pewność, że nikt ich nie nakryje, i ruszyli na zwiedzanie pałacu. Ajax wraz z Misiakiem w ciągu kilku ostatnich dni zastanawiali się, czy budynek, jak zdecydowana większość tego typu rezydencji, mógł mieć jakieś ukryte pomieszczenia. Schowki, skrytki, przejścia w szafach, księże tunele czy im podobne, w jakich gustowała osiemnastowieczna szlachta. Z pewnością musiały być też windy, ale te mogły zostać zamurowane w trakcie przebudowy pałacu.

Bartman nie podzielił się tą uwagą z kolegą, ale od początku coś mu się nie podobało w zabudowanej werandzie. Odnosił wrażenie, że czegoś było tam

za dużo, jednak nigdy nie miał okazji tego zbadać, ponieważ wiecznie był obserwowany. Postanowił więc zacząć od tego miejsca.

Zabudowana weranda wychodząca na ogród znajdowała się tam już w czasach, kiedy Wilhelm Rohrbeck kupił majątek i przeniósł się z żoną do Kleppelsdorfu. Nie oznaczało to jednak wcale, że ten naturalny łącznik świata pałacowego z zewnętrznym nie mógł zostać przystosowany do innych celów, które Ajax wraz z Misiakiem wypunktowali na kartce w trakcie jednej z wielu burz mózgów, jakie urządzili. Co prawda za składzik dla obrazów raczej nie mogła robić, ale taka na przykład… skrzynka podawcza? Bartman doskonale pamiętał opowieści Lindy o tym, jak francuscy szpiedzy potrafili wykorzystać każdy element domu, żeby przekazać swoim pryncypałom ważne dokumenty. Może więc i tu działy się takie rzeczy?

Niestety drewno, którym zabudowano werandę, poza wzmocnieniem i werniksem nie skrywało żadnych niespodzianek. Ajax poczuł zawód, ale nie zamierzał składać broni.

Przechodzili kolejno z pomieszczenia do pomieszczenia, skupiając się na tych znajdujących się na parterze. W komnatach przerobionych na sypialnie czy toalety raczej nie mieli czego szukać, bo ściany były tynkowane, a miejsc do ukrycia czegokolwiek brakowało. Ani wykuszy, ani loggii, nic kompletnie.

Tknięty nagłym przeczuciem Bartman obejrzał obudowę kominka. Z pewnością nie skrywała żadnego włazu do sekretnego pokoju, ale mogła służyć za schowek. Niestety, poza kolejnymi warstwami bejcy niczego ciekawego nie odkrył.

– Zostały nam jeszcze gabinet i kuchnia – rzucił Żywiuszko, ziewając tak szeroko, że o mało mu żuchwa nie odpadła.

– Gabinet? Ona go zamyka na klucz.

– No wiem. Ale ja mam klucz, bo robię tam kopie Willmannów.

Ajax zatrzymał się gwałtownie i spiorunował kolegę wzrokiem. Co za bęcwał! Idiota, umysłowa rozwielitka!

– I zapomniałeś mi o tym wspomnieć? Kiedy szukamy jakichś sekretów?

Mariusz wzruszył ramionami.

– Jakbyś mi powiedział, po co to robimy, to może powiedziałbym ci wcześniej. Brzuch mnie boli – jęknął i zgiął się wpół. – O Jezu, muszę do kibla!

– Klucz! – syknął Ajax, zatrzymując go w ostatniej chwili.

Kiedy został sam, otworzył drzwi do gabinetu, starając się działać jak profesjonalny włamywacz, ale Arsène Lupin był z niego kiepski. Zamek szczęknął, co w pustym pałacu poniosło się echem. Bartman natychmiast wyłączył latarkę i wstrzymał oddech. Odczekał kilka bardzo długich minut i ostrożnie nacisnął klamkę. Na szczęście zawiasy we wszystkich drzwiach były naoliwione i przynajmniej one działały bezgłośnie.

Chłopak przestąpił próg w całkowitej ciemności, do której oczy zdążyły mu już trochę przywyknąć, po czym zamknął drzwi i dopiero wtedy włączył latarkę. Omiótł jej światłem niezbyt wielkie pomieszczenie, a następnie skupił się na zupełnie niepasującym tu gabarytowo biurku. Wyglądało na antyk, może nawet siedemnastowieczny, wykonane z hebanu, z pięknymi zdobieniami na nogach. Prawdziwe cacko, warte zapewne więcej niż roczna pensja menedżera w korporacji.

Na biurku zaś panował rozgardiasz charakterystyczny dla pomieszczeń służbowych w muzeach. Leżały tam książki, ramy od obrazów, kanwy i płótna. Sztaluga z naciągniętym płótnem, na którym Żywiuszko kopiował obraz Willmanna, stała pod ścianą po lewej stronie. Oryginał umieszczono na drugiej sztaludze, a tę oparto o szafę. I właśnie ta szafa zwróciła uwagę Ajaksa, bo pasowała do gabinetu jak pięść do nosa. Wyglądała na zdobycz z dawnego pegeeru, jego babcia na wsi kiedyś taką miała, w czasach, gdy klasyczne drewniane meble były wypierane przez meblościanki.

Chłopak odsunął szafę – wykonana była ze sklejki, więc nie ważyła dużo – i obejrzał ścianę. Nic, zupełnie nic, gładko i pusto. Już miał przejść na drugą stronę pokoju, kiedy coś przyszło mu do głowy. Odsunął mebel jeszcze bliżej środka gabinetu i położył się na brzuchu. Oglądał każdą klepkę, każdą deseczkę, aż w końcu to wypatrzył. Schowek w podłodze, jakie to proste!

Za pomocą nożyka technicznego podważył zmyślną przykrywkę, po czym poświecił latarką w głąb ujawnionego otworu. Słyszał – naprawdę słyszał – jak wali mu serce, jak kipi w nim krew, nie czuł już nawet potu na plecach, koncentrując się na szumie w uszach i bębnieniu serca. Miał wrażenie, że ten dźwięk, to dudnienie niesie się po posadzce i roznosi drganiem po pałacu.

Nagle dobiegł go odgłos kroków – żwawych, dynamicznych i zbliżających się do niego. W panice, niewiele myśląc, chwycił składające się

na zawartość skrytki kartki, przyłożył klepkę, zasunął szafę i wyłączył latarkę. Wszystkie te czynności zajęły mu kilkanaście sekund, działał jak w transie.

Klamka delikatnie się poruszyła, drzwi powoli zaczęły się uchylać, a chwilę później usłyszał szept:

– Psst, Bartman, jesteś tu? Sorki, ale przeczyściło mnie tak, że chyba straciłem z dziesięć kilo.

Ajax wypuścił powietrze i włączył latarkę. Kierowany intuicją, wcisnął znalezisko za pasek spodni i teraz uśmiechał się niewinnie.

– Niczego tu nie ma, Mario – szepnął, starając się nadać głosowi ton zawodu. – Niezła ta kopia.

– To co, kuchnia?

– Nie, dajmy już sobie spokój. To był głupi pomysł. Chodźmy spać.

Wyszli więc z gabinetu, ale w natłoku wrażeń Ajax zupełnie zapomniał o zamknięciu drzwi na klucz. Kiedy rano zeszli na śniadanie, samochodu Salomei nie było już na podjeździe, ale żaden z nich nie skojarzył, że gabinet znów musieli otwierać kluczem.

– I przez takie małe, ale jakże istotne imponderabilium los mój oraz mojego przyjaciela został przypieczętowany – zakończył opowieść Bartman, obecnie nazywający się Sakowiczem. – Salomea natychmiast się zorientowała, że ktoś był w gabinecie, sprawdziła schowek, zauważyła zniknięcie listów i… – Urwał na chwilę, żeby spojrzeć na Lindę wymownie. – …Ajax Bartman musiał odejść.

– A co z Mariuszem? – Dziewczyna nie kryła oburzenia.

– Ten jego ból brzucha to było działanie rycyny – wyjaśnił chłopak ze smutkiem. – Ta Dalila truła go już od kilku dni, dodawała mu zmiażdżone ziarna rącznika do jogurtów i deserów, a ten zakochany idiota łykał wszystko jak pelikan. „Egzotyczne jagody", tak mu mówiła. Rośnie tego zielska pełno w tej dzikiej części ogrodu, nawet nie musiałem specjalnie szukać winowajcy. Początkowo się nie zorientowałem, ale po kilku dniach on zaczął wyglądać koszmarnie.

– Przecież zniknąłeś – zauważyła Linda.

– Ale niezupełnie. Ona nie mogła mnie wprost oskarżyć, a ja nie zamierzałem dawać jej powodów do knucia. Zacząłem przygotowywać sobie drogę ewakuacji i wymówiłem się pilnymi sprawami. I tak byłem tam zbędny, bo potrzebowała kopisty.

– Którego otruła – przypomniał Jeremi.

– A widzisz, nie tak od razu. To się działo stopniowo, rycyna się kumulowała, ale ten cymbał zrobił, czego od niego oczekiwano. Na słowo „szpital" reagował wrzaskiem, myślę, że ona już wtedy wyprała mu całkiem mózg. A kiedy przyjechałem go zabrać… już wiedziałem. Nie było ratunku.

– Umarł w pałacu? – Jeremi poczuł przypływ współczucia dla chłopaka, który odchodził w tak potworny sposób. Umierał codziennie, na oczach przyjaciela.

– Nie. – Ajax pokręcił głową, a w jego oczach zabłyszczały łzy. – Umarł tutaj. Próbowaliśmy go ratować, płukać żołądek, ale…

– Ale było już za późno. Tkanki jego narządów wyglądały jak zerodowane. – Organek doskonale pamiętał precyzyjny opis Baczmańskiego. – Nic nie mogliście zrobić, na rycynę nie ma odtrutki.

Linda pociągnęła nosem i otarła łzy przedramieniem. Może i chłopak był niezbyt urodziwy i nieszczególnie mądry, ale człowieka zawsze żal.

– A kto go dusił? – zapytała nosowo.

– No ja go dusiłem – przyznał Bartman vel Sakowicz. – Chciałem, żebyście natychmiast zwrócili na to uwagę. Bałem się, że go zakwalifikują jako enena, który się zapił na śmierć, i pies z kulawą nogą się nim nie zainteresuje.

– Zabrała mu dokumenty? – domyśliła się Linda.

– I niech mi ktoś powie, że sadyzm i socjopatia nie są przekazywane w genach! – Chłopak niemal krzyczał, kiedy grube łzy płynęły mu po policzkach. – Może i Grupen nie zamordował tych dziewczynek, ale jego kochanka już tak.

19
DOBRZE SIĘ SKŁADA, BO PRZYJADĄ GOŚCIE

– Może być trochę głośno, bo jadę! – Baczmański krzyczał do zestawu głośnomówiącego, a szum ruchu drogowego trochę go zagłuszał. Bączek doskonale wiedział, że patolog starał się nie używać klimatyzacji w samochodzie, uważając ją, słusznie zresztą, za źródło chorób i dolegliwości, dlatego też jeździł z otwartymi oknami. – Kacper dzwonił?

– Dzwonił, dzwonił – potwierdził policjant. – Czyli rycyna? Nie mam zbyt dużej wiedzy, ale to raczej nie jest bardzo powszechnie używana trucizna?

– Ale mogłaby być, bo występuje powszechnie i jest łatwo dostępna, a do tego szalenie groźna. Na całe szczęście ludzie jakoś się nie garną do żarcia liści i nasion, więc nie mamy pandemii zatruć. Podobno jesteś na wywczasie?

– Chyba na wakacjach z duchami – zakpił Bączek. – Chociaż wolałbym duchy niż potencjalną zabójczynię w skórze pięknej kobiety.

– La Voisin też była piękną kobietą, a okazała się wcielonym złem – przypomniał mu Remik. – Z tego, co kojarzę, to właśnie dzięki urodzie zarówno Lokusta, jak i Katarzyna Medycejska były tak skuteczne. W tamtych czasach pokutowało antropologiczne przekonanie, które Lombroso przekuł

w teorię naukową, że zło jest brzydkie, a dobro piękne. Pamiętasz *Niebezpieczne związki*?

– Jak przez mgłę – skłamał komisarz, który książki nie czytał, a ekranizację niemal całą przespał. – Możliwe, że mam na tapecie taką właśnie… – Zamyślił się, szukając właściwego określenia. – No nie wiem, Tofanę?

– E, na pewno nie, aqua tofana była niemal niewykrywalna, a twoja Lukrecja Borgia raczej zostawia ślady – skontrował Baczmański. – A tak przy okazji, jadę się rozmówić z naszym specjalistą od trucizn. Pozdrowić?

Bączek skrzywił się brzydko na wspomnienie Płomyczka, ale zaraz pojął, że Remik z niego kpi.

– Pocałuj go w czółko, o ile umiesz się tak mocno zgiąć – odparował. – Ale czekaj, bo ja też mam do ciebie temat. Co możesz tak na szybko powiedzieć o baroku w sztuce?

– Europejskim, polskim czy lokalnym?

– No żeby cię drzwi obrotowe przytrzasnęły… – Zacisnął szczęki, dokonując ekspresowego wyboru bramki, za którą kryła się konkretna gałąź wiedzy Baczmańskiego. Postanowił zaryzykować i posłuchać podszeptu intuicji. – Dawaj lokalny.

Doktor Baczmański odchrząknął, a sekundę później w telefonie Bączka nastała cisza. Musiał zamknąć okna. Czyli będzie grubo.

– Ekhm! – odchrząknął jeszcze raz, tyle że teraz zdecydowanie głośniej, co oznaczało nadchodzącą uwerturę.

Bączek rozejrzał się dookoła, żeby znaleźć jakiś kamień, na którym mógłby usiąść. Wypatrzył go w dalszej części ogrodu i skierował tam kroki.

– O baroku na terenie Dolnego Śląska, czy też Śląska w ogóle, mówi się, że był to barok jezuicki, trochę późniejszy niż w całej Europie. A skoro jezuicki, czyli klasztorny, ergo: kościelny w ogóle. Kościoły, kaplice, mauzolea. Bardzo monumentalne, bardzo bogato zdobione i trochę inaczej budowane, ale nie będę cię tym zanudzał. Chyba że chcesz? – zapytał z wyraźną nadzieją.

– Eeee… – Bączek wiedział, że z przyjaciółmi trzeba rozmawiać szczerze, ale wiedział też, że Baczmański lubi chwalić się talentem oratorskim, o wiedzy nie wspominając.

– Czyli nie – zrozumiał w lot patolog i, o dziwo, wcale się nie przejął. – Co konkretnie cię interesuje? Krzeszów? Lubiąż? Henryków? Świdnica?

– Tak po prawdzie to samo malarstwo.

– No to dlaczego nie zaczynasz jak człowiek, tylko mi w głowie mącisz? – zrugał go Remik. – Jeśli chodzi o malarstwo, to właściwie aż tyle tego nie ma. Michael Willmann, tworzący w drugiej połowie siedemnastego wieku, to był najwybitniejszy i najbardziej znany malarz śląskiego baroku. Szkoła flamandzka i włoska. Muzeum Narodowe we Wrocławiu ma całkiem niemałą kolekcję, a poza tym w kościele w Henrykowie wisi *Męczeństwo świętego Andrzeja*, coś jest w Lubiążu, jakieś freski w Krzeszowie. Tyle pamiętam. Poza Willmannem przychodzą mi do głowy jeszcze Asam, Scheffler i Kentum. Więcej grzechów baroku nie pamiętam. Teraz twoja kolej.

– W tym liście do Lindy Miller…

– Z podsufitki? – upewnił się patolog.

– W tymże, padają słowa „barok", „Wenus", a także „obraz". Intuicja kazała mi sprawdzić, czy aby za szybko nie przyjęliśmy wyjaśnienia panny Miller za pewnik, i teraz badam inne możliwości. Bo być może chodziło o barokowy obraz, w końcu Ajax jest historykiem sztuki, więc zapewne się zna. – Nieświadomie mówił o Bartmanie w czasie teraźniejszym, przyjąwszy już teorię, że chłopak żyje.

– Jeśli faktycznie chodziłoby o barokowy obraz, zakładając, że mówimy o baroku śląskim, to stawiałbym na Willmanna. Sporo jego dzieł zniknęło z radaru w dwudziestym wieku, a nie jest wykluczone, że o niektórych w ogóle nie wiemy, ponieważ od początku znajdowały się w prywatnych rękach. Na Dolnym Śląsku było mnóstwo rezydencji magnackich i szlacheckich, a Willmann był znany i szanowany, prowadził bogate życie towarzyskie.

– Dzięki, Remik, mam od czego zacząć. Jedź ostrożnie i całuj to czółko bez miłości, przynajmniej mojej.

Rozłączywszy się, komisarz Michał Bączek rozejrzał się wokoło, wziął kilka głębokich wdechów, przeciągnął się jak po wielogodzinnej podróży i spojrzał na pałac. Budowla, nomen omen barokowa, wyglądała bajecznie. Podobnie jak jej właścicielka, co stanowiło ciekawy przykład zwodniczego działania natury. Myśląc o naturze, policjant przypomniał sobie, że miał sprawdzić tę cholerną rycynę. Skoro to takie powszechne, chwast niemal, to może warto znać sylwetkę wroga i wystrzegać się kontaktów ze śmiercionośnym zielskiem.

Pobieżne przejrzenie zasobów portali internetowych uświadomiło mu, że to zielsko posiada całkiem duże walory wizualne i właściwie w fazie kwitnienia robi doskonałe wrażenie. Przy okazji poznał nowe słowo, które postanowił zapamiętać. Antocyjan, ładne. Na pewno ładniejsze niż ochra. Zdziwił się, odkrywszy, że nasiona wyglądają jak ożłopane krwią kleszcze, ale prawdziwą niespodzianką było odkrycie kwitnącego krzewu rycynusa tuż pod swoim nosem.

Napędzany ciekawością, zbliżył się do niemal trzymetrowej rośliny i pilnując, żeby jej nie dotknąć, obejrzał koralowe kwiatostany. No piękne to było niezwykle! I śmiertelnie groźne, jak zdążył już wyczytać. Cztery nasiona miały zabić królika, pięć owcę, sześć wołu, ale aż osiemdziesięciu było trzeba, żeby pozbawić życia kaczkę. Ciekawostka. Ludzkiemu dziecku wystarczyłoby zaledwie jedno. Ilu było trzeba do uśmiercenia Mariusza Żywiuszki?

Zastanawiając się nad tym zagadnieniem, którego rozwiązania prawdopodobnie nigdy nie uda mu się poznać, ruszył z powrotem do pałacu. Nim jednak dotarł do wewnętrznego dziedzińca, swoją drogą zachwycającego niewielkimi arkadami, znów musiał sięgnąć po telefon.

– Pani Miller? – Odebrał, nie kryjąc zdziwienia. Gdyby miał czas się zastanowić, pewnie wcale nie byłby zdziwiony.

– Panie komisarzu, czy pan może wciąż jest we Wleniu?

Tym razem nawet nie zdążył się zdziwić i jedynie otworzył usta, bo Linda go uprzedziła:

– Niech pan tam na mnie czeka. Niedługo będziemy i mamy dla pana kilka ważnych informacji… – Zamilkła nagle, a Bączek w tle usłyszał niewyraźne męskie głosy. – Co?… A! Dobra! Kazikiem! Przepraszam, to nie do pana – rzuciła w pośpiechu. – To my wyjeżdżamy i zaraz będziemy. Tak za kwadrans.

– Czy ktoś powiedział: „Nie możemy wziąć samochodu Ajaksa”? – zapytał sam siebie, kiedy dziewczyna się rozłączyła.

Przez chwilę jeszcze patrzył na ciemny ekran telefonu, po czym pokręcił głową i ruszył do środka pałacu. Kiedy znalazł się z powrotem w sali kominkowej, Wilczyński pochłaniał drugi kawałek szarlotki i rozprawiał o czymś z roześmianą Salomeą. Na widok Bączka mina jej nieco zrzedła, ale ledwie na moment. Znów była pewną siebie, doskonale przygotowaną do roli właścicielką pałacu, który skrywał koszmarną tajemnicę. Morawska także

skrywała tajemnicę, a Bączek postawił sobie za punkt honoru jej bezwzględne ujawnienie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wilczyński, przełykając kruszonkę jak gąsior.

– W jak najlepszym – odparł Bączek i wyszczerzył się bezczelnie. – A przy okazji, rozmawiałem z Remikiem – rzucił niby od niechcenia.

– I czo? – Po brodzie nadinspektora potoczyły się okruszki ciastka.

– I ciekawe rzeczy mi przekazał, powiedział też, żebyśmy zajrzeli do Lubiąża, podobno jakieś piękne barokowe obrazy tam mają.

Nie spuszczał oka z Salomei, która drgnęła nieznacznie, jednak wciąż uśmiechała się tym najpiękniejszym z uśmiechów zarezerwowanym dla kandydatek do tytułu Miss World.

– To jak nam starczy czasu – odrzekł prostolinijnie pryncypał. – Pani Salomea chce nas jeszcze oprowadzić po pałacu.

– O, jak miło z pani strony! – Bączek uśmiechnął się sztucznie, ale jego oczy pozostawały skupione na kobiecie. – To dobrze się składa, bo przyjadą goście.

Decyzję o wybraniu się do Wlenia poprzedziła wielka awantura, a pierwsze skrzypce grali w niej Linda z Ajaksem, którego dziewczyna uparcie nie zamierzała nazywać Pawłem.

– Paweł-sraweł, nie będę tak się do ciebie zwracać, bo mnie to razi! Znam zbyt wielu Pawłów, których lubię i szanuję, więc to by była dla nich obraza. Ale skoro nie mogę używać Ajaksa, to będziesz eksdenatem. Zadowolony?

Nie wyglądał na takiego, ale nie miał siły na kłótnie. Sprawa wleńskiej trucicielki zdecydowanie była ważniejsza, a wszyscy obecni w domu formalnie należącym do Marcina Misiaka dzielili przekonanie, że muszą działać szybko, żeby przypadkiem Salomea Morawska nie dała nogi, co – jak udowodnił Ajax-

Paweł – było bajecznie łatwe, jeśli dysponowało się odpowiednio zasobnym portfelem.

– Musimy powiedzieć policji wszystko, co wiemy – upierał się Organek.

– Dlaczego mamy ich wyręczać? Płacimy na to solidne podatki, żeby sami sobie rozwiązywali sprawy kryminalne – kontrargumentowała Linda.

– No i co im niby powiem? – zastanawiał się Ajax. – Jeśli ujawnię się jako ja, to pójdę siedzieć, i to pewnie z kilku paragrafów.

– Z tego, co mówił pan… – Jeremi się zaciął, bo już sam nie wiedział, jak powinien zwracać się do chłopaka. Diabli by wzięli tę współczesną modę na zmienianie wszystkiego! Dobrze, że genotypu jeszcze nie potrafią zmodyfikować…

– Eksdenat, Dżer, nie dawaj mu tej satysfakcji. Tego przynajmniej możesz być pewny. – Linda odwołała się do skostniałego racjonalizmu Organka. – Nie dość, że jest moim eks, to w dodatku denatem też już nie jest. Wszystko się zgadza.

Niby się zgadzało, ale jednak zupełnie kłóciło się z wychowaniem Jeremiego. Zaklął pod nosem, westchnął głośno i ciężko, po czym wyraził swoje zdanie i nie zamierzał mówić już niczego więcej. I tak znajdował się za daleko od swojej strefy komfortu.

– Uważam, że powinniśmy powiadomić policję zarówno o znalezionych przez pana listach, jak i o otruciu pana Żywiuszki rycyną, choć to już powinni wiedzieć od Prometeusza, oraz o obrazach, które winny znajdować się w muzeum. O czymś zapomniałem?

– Zapomnieć o niczym nie zapomniałeś, ale wciąż nie wiemy, o co chodzi z tymi Willmannami – skomentowała Linda. Pozioma zmarszczka pod grzywką zdradzała, że proces myślowy jest zaawansowany.

– Ja mam pomysł – odezwał się łagodnie Misiak. Dotychczas przeważnie milczał, ale w końcu przyszła pora i na niego. – Moim zdaniem, a przegadaliśmy to z Ajaksem wielokrotnie, te powstające kopie mają zawisnąć na miejscu oryginałów, a oryginały zostaną wpuszczone w obieg na czarnym rynku.

– Jednak udowodnienie tego może okazać się trudniejsze nawet niż wykazanie, że ta małpa zamordowała Mariusza – dodał Bartman.

– Jeśli powiesz im prawdę, to będzie bardzo proste – docięła mu Linda. – Rozwiązawszy jedną zagadkę, będą mogli przerzucić siły na prześwietlenie działalności Salomei.

– A ja pójdę siedzieć…

– Poproś Salomeę, żeby nauczyła cię hipnozy, i zrobisz jak Grupen – wyzłośliwiała się dziewczyna. – Jestem przekonana, że twoi prawnicy z czasów zimnej wojny poradzą sobie i z tym. W końcu nikogo nie zabiłeś, chyba że ten enen, który leży w twoim grobie…

– Wariatka! – uniósł się Ajax, wyraźnie dotknięty taką insynuacją. – Może jednak szkodzi ci przebywanie w prosektorium, wyobraźnia ci wybujała w niebezpiecznym kierunku.

Jeremi i Misiak wymienili pełne niesmaku spojrzenia i obaj jak na komendę pokręcili głowami.

– Lindo! – zaprotestował Organek.

– Ajaksie! – zawtórował mu Misiak.

Ekspartnerzy zamilkli, zbesztani jak dzieci, ale miny wciąż mieli nadąsane. Żadne nie zamierzało ustąpić, choć oboje byli boleśnie świadomi, że impas nikomu się nie przysłuży.

– Lindo? – Jeremi zabrzmiał miękko, a prośba w jego głosie była aż nadto wyraźna.

– No już dobra! – syknęła z irytacją, jednocześnie kapitulując. – Skoro eks denat nie chce stracić swojego nowego szlacheckiego życiorysu, to pojedziemy we dwoje i przekażemy im listy. A dalej muszą radzić sobie sami, korzystając z własnej inteligencji.

– O, to wróżę spektakularne sukcesy – zakpił Bartman.

Linda spojrzała na niego z czystą nienawiścią i tylko po to, żeby się z nim nie zgodzić, wycedziła:

– Dla twojej wiadomości, komisarz Bączek to jest bardzo inteligentny człowiek, który prawdopodobnie trafił do policji, bo matka go nie kochała albo była strasznie toksycznym babonem, więc ten uciemiężony Michaś musiał znaleźć sobie powołanie połączone z aktywatorem testosteronu.

– Jedna jaskółka wiosny nie czyni – zauważył chłopak.

– Jedno jądro nie czyni z ciebie mniej wartościowego faceta, ale taki durny upór już tak – odwdzięczyła mu się z nawiązką. Ta uwaga musiała mocno zaboleć, jednak Ajax już się nie odezwał. – Mówiłam ci, Jeremi, że

nawet gdyby się nie znalazł żywy, to ja bym łatwo udowodniła, że w tej trumnie leży ktoś inny.

To powiedziawszy, sięgnęła do torebki, wyjęła z niej telefon i wybrała numer Bączka. Była wściekła, chociaż właściwie nie wiedziała, na kogo bardziej: na Ajaksa, bo przypomniał jej, dlaczego oszalała na jego punkcie, czy na siebie, bo ma głupie serce, które znowu zaczęło świrować.

– Panie komisarzu, czy pan może wciąż jest we Wleniu? – zapytała, kiedy Bączek odebrał telefon, a zrobił to po pierwszym sygnale. – Niech pan tam na mnie czeka. Niedługo będziemy i mamy dla pana kilka ważnych informacji… Co? – Odwróciła się do Ajaksa, który coś do niej wołał, jednak robił to bezgłośnie.

– Jadę z tobą! – wyszeptał, na tyle głośno, że wszyscy, włącznie z policjantem, go usłyszeli. – Marcin też!

– Ale samochodem Ajaksa, bo pana mercedes nie ma pasów z tyłu! – syknął profesor.

– Nie możemy wziąć samochodu Ajaksa, bo jest dwuosobowy! – dodał takim samym szeptem Organek.

– A! Dobra! – rzuciła do nich Linda, przysłuchująca się tej dziwnej konspiracji, po czym dodała: – Kazikiem! Przepraszam, to nie do pana – rzuciła w pośpiechu. – To my wyjeżdżamy i zaraz będziemy. Tak za kwadrans.

Dokładnie po kwadransie mercedes SL 280 Pagoda zwany Kazikiem zaparkował obok policyjnego nieoznakowanego, ale znanego Lindzie radiowozu pod Pałacem Książęcym we Wleniu. Siedząca na tylnej kanapie była para (profesor Misiak musiał zapiąć pas, a te Jeremi zamontował tylko z przodu) przez całą drogę nie odezwała się do siebie ani jednym słowem, choć żadne z nich nie potrafiłoby wskazać powodu tego stanu rzeczy.

– Jezu, ciarki mi po plecach latają. – Ajax przerwał ciszę, patrząc z niehamowaną odrazą na bryłę budynku.

– Mnie też, całymi ławicami! – dodała Linda, choć ona odczuwała całkowicie odmienne emocje. Patrzyła na pałac z zachwytem niemal równym temu, z jakim Wilczyński spoglądał na Salomeę.

– No to co? Chyba już nie ma odwrotu? – zapytał drżącym głosem Misiak.

– Nie ma. Teraz możemy iść tylko do przodu. – Głęboki głos Jeremiego odbił się echem i poniósł po ogrodzie. W tle słychać było szum rzeki Bóbr

i odległe dźwięki żyjącego nieśpiesznie miasteczka.

20
TO ONA, PANIE KOMISARZU!

– Zdaje się, że już możemy zaczynać zwiedzanie – oznajmił Bączek, przerywając Wilczyńskiemu opowieść o wczasach w Ustce, której lejtmotywem były bezsprzecznie wyroby cukiernicze, szczególnie pączki.

Nadinspektor zamilkł i spojrzał pytająco na podwładnego, który w tak grubiański sposób wyrwał go z miłych wspomnień.

Salomea tymczasem nie patrzyła na Bączka; jej wzrok badał odległe rejony wejścia do pałacu. Z postawy kobiety komisarz domyślił się ogromnego zdenerwowania, na co liczył i zupełnie się z tym nie krył.

– Niech się pani nie martwi, Mariusza Żywiuszki na pewno nie ma wśród gości – stwierdził jadowicie tonem tak złośliwym, że nawet gdyby słowa nie miały znaczenia, można było dostać gęsiej skórki.

– Miałam o panu lepsze zdanie – odgryzła się Salomea. – Nie posądzałam pana o wisielcze poczucie humoru graniczące z brakiem kultury.

– Pozory mylą, droga pani – odrzekł niewzruszony policjant.

– Michaś, czy ty się szaleju najadłeś? – fuknął rozwścieczony występem Bączka Wilczyński. – To do ciebie zupełnie niepodobne!

– Poczekaj, Kaziu, zaraz zobaczysz, kto tu czego się najadł. Na razie wiemy tylko tyle, że Mariusz Żywiuszko najadł się rycyny, która dziwnym zbiegiem okoliczności rośnie w tutejszym ogrodzie. O, dzień dobry, panno Miller.

Odgłos kroków kilku osób stał się wyraźny i po chwili w sali kominkowej pojawili się kolejno: Linda Miller, Jeremi Organek, Marcin Misiak i Ajax Bartman, którego wejście sprowokowało Salomeę Morawską do krzyku.

– Ty!!! Jak…?! Co?!

– To pani!!! – wrzasnęła Linda, równocześnie stając jak wryta, czym spowodowała nagły ludzki karambol. – To ona, panie komisarzu! To ta kobieta chciała kupić ode mnie Sophię!

– No jasne, że ona – wycharczał Ajax niemal do pleców Misiaka. – Chciała odzyskać listy.

Wilczyński, poza oczywistą w tej sytuacji konsternacją, poczuł nagły przypływ wściekłości wynikający w głównej mierze z niedoinformowania. Znienacka, jakby przez chwilę znajdował się w jakimś innym wymiarze poza czasem rzeczywistym, dotarło do niego, że zabawa trwa gdzieś obok, a on jest skandalicznie niedoinformowany. Podniósł się z fotela, jakby całe życie trenował nagłe powstania, stanął niemal na baczność i wypalił:

– Państwo wybaczą, że ja może trochę nie w temacie, ale czułbym się zobowiązany, gdyby ktoś zechciał mi wyjaśnić, co tu się odp…?

– Odjaniepawla – przyszła mu w sukurs Linda.

– Może być – zgodził się łaskawie. – Od godziny mój podwładny prowadzi jakieś gambity i walki podjazdowe, pani, panno Miller, wpada tu jak po ogień i rzuca oskarżenia, doktor Organek jest jakby w komplecie, więc wlicza się do pani. Ale panów nie znam! – Wymierzył pulchnym palcem w Misiaka i Bartmana. – Proszę się wylegitymować!

– Marcin Misiak, profesor. Emerytowany – wypalił staruszek, przywykły do wypełniania rozkazów władzy bez szemrania.

– Paw… Cholera by cię wzięła, Lindo! Ajax Bartman, denat, były.

– Mój były, bo denat to wcale – dodała Linda dla jasności.

– Aha. Dziękuję. Nic z tego nie rozumiem. – Na twarzy Wilczyńskiego malowała się konfuzja.

– Usiądź, Kazik, ja zaraz wszystko ci powiem – odezwał się łagodnie Bączek. – Pani też niech siedzi, Salomeo. I ani myśli o ucieczce.

– Jezusie Nazaretański, co ty znowu wymyślasz? – jęknął nadinspektor, ale usiadł zgodnie z radą.

– Wszystko zaraz będzie jasne – uspokajał komisarz. – Niczym się nie przejmuj, pij kawkę. Państwo też się napiją? Znakomita i raczej nie zawiera

wkładki z rycyny. Nie mam pewności co do ciasta, ale za kawę ręczę własnym organizmem.

Mimo zapewnień Bączka przybyli goście odmówili przyjęcia poczęstunku w jakiejkolwiek postaci, co wydawało się w zasadzie zrozumiałe.

– A co z tym ciastem niby jest nie tak? – zapytał Wilczyński, który skonsumował trzy kawałki i miał jeszcze miejsce na czwarty. Ale już tylko malutki!

– Z ciastem wszystko jest w porządku – warknęła Salomea, zaskakując nadinspektora tonem głosu, a pozostałych swoją obecnością, o której trochę zapomnieli.

Bączek nie zapomniał i z satysfakcją obserwował, jak z pięknej twarzy odpłynęła krew, najpierw na widok Lindy, a powtórnie po ujrzeniu Bartmana. „Szkoda, że ten Żywiuszko jednak nie może tu wmaszerować", pomyślał z żalem. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest zdolny do takiej okrutnej złośliwości. Jednak to prawda, że kobiety potrafią zmienić mężczyzn w najgorsze bestie.

– Możliwe, że z tym ciastem wszystko jest w porządku – odezwał się łagodnie – ale Mariusz Żywiuszko nie miał tyle szczęścia. Prawda, pani Morawska? Teraz chyba już się pani nie wyprze, że nie miała żadnych powiązań z tym człowiekiem? Zdaje się, że uznany za zmarłego pan Bartman może potwierdzić odmienną wersję wydarzeń. Dobrze zgaduję?

– Całkiem dobrze – pochwaliła go Linda. – Tylko nie „uznany za zmarłego", ale eksdenat, panie komisarzu. A ja potwierdzę, że ta pani chciała ode mnie wyłudzić corvettę w Topaczu.

– Zakup starego samochodu, nawet od osoby prywatnej, to nie jest przestępstwo, panno Miller – pouczył ją Wilczyński, coraz mniej cierpliwie czekający na wyjaśnienia. – Za to udawanie nieboszczyka już tak.

– A nie mówiłem? – westchnął Ajax.

– Zamordowanie człowieka tym bardziej – odparła zimno rudowłosa dziewczyna. – I sądzę, że nielegalna sprzedaż dzieł sztuki także. Ale mogę się mylić, panie nadinspektorze, może faktycznie powinniśmy się skupić na chłopaku, który uratował swoje życie, odbierając je sobie na papierze. Pewnie, niech tak będzie, co tam morderczyni, zajmijmy się Ajaksem! Co tam, że pomógł w odkryciu zbrodni, olejmy to, że wpadł na trop przestępstw natury gospodarczej, najważniejsze, że ma dokumenty na nowe nazwisko!

Żarliwość, z jaką Linda wyrzuciła z siebie te zdania, uderzyła zwłaszcza Bartmana. Nie spodziewał się, że stanie w jego obronie, w dodatku z taką stanowczością. No i, właściwie, musiał przyznać, że miała rację.

– Spokojnie, spokojnie, proszę opanować zbędne emocje. – Bączek wkroczył w roli rozjemcy. – Usiądźcie, proszę, może chociaż wody się napijecie, bo chyba czeka nas dość długa pogawędka. – Jego telefon zawibrował, policjant odebrał, przyłożył aparat do ucha, wysłuchał zwięzłego komunikatu i schował komórkę z powrotem do kieszeni. – Panno Miller, potwierdzam: przemyt dzieł sztuki jest przestępstwem gospodarczym i nasi specjaliści od tej gałęzi już badają pani trop. A teraz, Kaziu, pora, żebyś dowiedział się, kim naprawdę jest ta sylfida, bo z całą pewnością nie tym, za kogo ją uważasz.

– Sylfida? – Wilczyński nie zrozumiał. Patrzył na Lindę, która bardziej wyglądała teraz na Amazonkę, wściekłą i żądną mordu, aniżeli na delikatną, efemeryczną istotę.

– Masz rację, powinienem był powiedzieć: zła królowa, macocha Królewny Śnieżki, Królowa Śniegu, syrena. No wiesz, taki potwór w pięknym ciele.

– Mówimy o Salomei? – upewnił się nadinspektor. – Pani Salomei Morawskiej?

– O niej, Kaziu, o niej. O hochsztaplerce, morderczyni, złodziejce i manipulantce godnej sławy swojego dziadka Petera Grupena, a jeszcze bardziej babki, Marii Mohr, której udział w zabójstwie Dorothei Rohrbeck i jej kuzynki tak doskonale przemilczała. – Wszyscy uczestnicy spotkania zajęli już miejsca, więc Bączek także opadł z powrotem na fotel. – Nie zdążyłem jeszcze wypełnić kilku luk, ale zapewne obecni tu pan Ajax Bartman i pani Linda Miller bez problemu wszystko wyjaśnią. Mniemam, że niejaki Michael Willmann, choć nie osobiście, odegrał ważną rolę w „krwawych walentynkach". Mam rację, pani Morawska?

Blada jak świeżo zagruntowane płótno kobieta już nie wyglądała na pewną siebie. Właściwie w ogóle nie wyglądała, jeśli chcielibyśmy oddać sprawiedliwość. Wielkie oczy sarny zapadły się, uwidaczniając promieniste zmarszczki, usta zacisnęły się w wąską linię, policzki nieco obwisły. Po sylfidzie nie było śladu.

– Dobra, proszę mówić – polecił grobowym głosem Wilczyński. – Po kolei, chronologicznie, najpierw pan Bartman, później pani Salomea co nieco wyjaśni, a pan Organek może naświetlić kwestie trucizny, z racji zawodu. Ale tego Willmanna chcę na początek, bo gość wcześniej nie występował. Powinienem znać? – zwrócił się do Bączka służbowym tonem.

– Nie ma konieczności. Nie żyje od ponad trzystu lat, ale zostawił po sobie całkiem sporo malunków. I o te malunki chyba był ambaras, jeśli moje rozumowanie jest prawidłowe.

– O te malunki – potwierdził Ajax. – Mariusz, to znaczy ten denat z bagażnika corvetty…

– O jeryny, jak ty tak będziesz zaczynał, to pan inspektor nigdy się nie dowie, o co chodzi w tym burdelu! – przerwała mu Linda. – Ja opowiem, w końcu to moja historia. I zaznaczam, że jeśli nawet zmartwychwstaniesz, to nie oddam ci samochodu! – Łypnęła groźnie spod grzywki, a w odpowiedzi otrzymała piękne dołeczki. – Grupen nie mógł zastrzelić Dorothei i Urszuli, najprawdopodobniej nie zahipnotyzował też pasierbicy, jak domniemano, bo praworęczna dziewczynka nawet pod wpływem hipnozy nie strzelałaby lewą ręką. W listach, które Ajax ukrył razem z zaszyfrowaną wiadomością, Dorothea wspomniała swojej opiekunce, Bercie, że zauważyła zniknięcie obrazów. Miała przeszukać pokoje, a następnego dnia nie żyła. Na domiar złego po aresztowaniu Grupena panna Maria Mohr, jego ukochana, zniknęła nie tylko z Kleppelsdorfu, ale w ogóle ze społecznej świadomości. Trochę dziwne, ale być może wtedy nie wzbudziło podejrzeń.

– Albo potrafiła wykorzystać dar do manipulowania ludźmi – podpowiedział Bączek, patrząc z litością na Wilczyńskiego. – Wiemy na pewno, że jej wnuczka doskonale nim się posługuje.

– No i włada majątkiem, którego pochodzenia raczej nie da się wytłumaczyć – dodał Ajax.

– Czekajcie, czekajcie! – Wilczyński myślał tak szybko, że pot nie nadążał spływać mu ze skroni. – Czternastego lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku kochanka Grupena, Maria Mohr, zastrzeliła Dorotheę Rohrbeck i jej kuzynkę Urszulę Shade, a następnie zniknęła z majątku Kleppelsdorf razem z wartą fortunę kolekcją obrazów. Dobrze zrozumiałem? Tak brzmi początek tej historii?

Odpowiedziało mu skinienie pięciu głów. Na szóstą tym razem nawet nie spojrzał.

– Po latach jej wnuczka Salomea Morawska nabyła pałac we Wleniu i prowadzi w nim przestępczą działalność polegającą na nieregulowanym obrocie dziełami sztuki?

Znów kiwanie. I przełknięcie wody, na którą zdecydowała się Linda.

– I kiedy na jej drodze staje Mariusz Żywiuszko, Salomea go morduje?

– Najpierw umiera Ajax – poprawił go Misiak. – Przepraszam, miało być chronologicznie, a ja jestem historykiem…

– Lokusta zaczyna truć, potem Ajax musi umrzeć, żebym ja dostała samochód, dopiero wtedy Salomea morduje Mariusza na śmierć – dodała Linda, w końcu też historyczka.

– Racja, to było wcześniej – zgodził się Misiak.

– Może ustalmy chronologię co do dnia? – zasugerował emerytowany profesor, czym wzbudził niepotrzebną wrzawę. Linda się zgadzała, Ajax wręcz przeciwnie, Organek dowodził, że on lubi systematykę, ale czasu szkoda.

Komisarz Bączek zostawił dyskutujących, bo jego kieszeń znów wibrowała. Wyszedł z sali kominkowej i skierował się wprost do drewnianej werandy.

– Oddzwonię, Remik, chyba że pilne – rzucił do telefonu.

– Nie wiem, czy pilne, zależy, jak stoisz z tym śląskim barokiem. Tak się dziwnie złożyło, że w rozmowie z Płomyczkiem wyszedł nam temat tego Willmanna i od słowa do słowa dowiedziałem się, że jakaś Salomea, chyba wyjątkowa piękność, kiedyś proponowała Prometeuszowi nabycie jednego z jego obrazów. Chciała ogromnych pieniędzy, a pracownicy publicznej służby zdrowia, jak wiesz, są raczej biedni, więc się nie skusił. Ale jakbyś chciał, to on może ci załatwić namiar na faceta, który w imieniu tej Salomei organizuje aukcje. Chcesz?

Rechot Bączka poniósł się po bryle pałacu, a gdy dotarł do uszu Salomei Morawskiej, serce w niej zamarło i po raz pierwszy od wielu lat poczuła prawdziwy strach.

EPILOG

Trwająca przez trzy czwarte lata pora monsunowa niezauważenie ustąpiła afrykańskim upałom i z dnia na dzień wytrzymywanie rekordowo wysokich temperatur stawało się coraz trudniejsze. Kto mógł, zaszywał się w grubych murach, montował klimatyzację albo siedział w wannie z chłodną wodą. Niektórzy, na przykład Jeremi Organek, cieszyli się, że z racji wykonywanego fachu mogą spędzać dnie w chłodzie. Dosłownym i metaforycznym. Chłód bijący od jego „partnerów", jak zwykł o nich myśleć, polegający w głównej mierze na milczeniu i wstrzymywaniu się od wykonywania czynności życiowych, działał kojąco na znerwicowany i nieco rozkojarzony umysł patomorfologa. I mogłoby tak zostać aż do jesieni, jak życzył sobie Jeremi, ale czy ktokolwiek spotkał w życiu kogoś, kogo życzenia spełniały się bezwarunkowo?

Sączące się z głośników dźwięki *Wasting Love* zostały brutalnie zakłócone przez grubiańskie walenie do drzwi sali sekcyjnej, a następnie otwarcie tychże. W niewielkiej szparze pojawiła się okrągła głowa Prometeusza Płomyczka, jak zawsze karykaturalnie wyszczerzona w szerokim uśmiechu, co przy wzroście toksykologa sprawiało wrażenie, jakby uśmiechał się nie dorosły mężczyzna, ale kilkunastoletni podrostek. Niepodrośnięty w dodatku.

– Można? Nie przeszkadzam? – zapytał, ale zrobił to jedynie z kurtuazji, bo odpowiedź wcale go nie interesowała.

– Nie i owszem – burknął Jeremi, jednak zrobił to na tyle cicho, że dotarło wyłącznie do uszu leżącego na stole nieboszczyka, a ten raczej go nie wyda przed szefem.

– Kończysz, widzę? No i jak tam nasze słoneczko, wszystko gra? – Płomyczek wszedł już do środka, nie troskając się zamknięciem drzwi, co jeszcze bardziej zirytowało Organka. Ostatnio szybko się irytował, zwłaszcza w towarzystwie swojego pryncypała.

– Raczej nie gra, skoro trzydziestosiedmioletni mężczyzna odchodzi z tego świata wskutek przegranej walki z nowotworem, ale medycyna w takich przypadkach jest bezradna – odpowiedział, starając się, by jego głos brzmiał jak najmniej wrogo. – Mogę ci w czymś pomóc, Prometeuszu?

– Pomóc? Mnie? – Płomyczek spojrzał na Organka z figlarnym uśmiechem. – Nie, u mnie wszystko jak w szwajcarskim zegarku, tak tylko, pogadać chciałem. Ale jeśli nie masz czasu…

– Mhm. – Patolog odetchnął w myślach i wrócił do przerwanego zszywania klatki piersiowej denata.

– A wiesz co, skoro i tak już tu jestem… – Prometeusz podszedł do stołu sekcyjnego, nie zwracając uwagi na przewracanie oczami w wykonaniu Jeremiego. – Tak sobie o tej sprawie myślałem, jakiś taki niesmak mam, wiesz? – To powiedziawszy, wyjął z kieszeni fartucha batonik z nadzieniem toffi i bezceremonialnie rozpoczął jego konsumpcję.

– O której sprawie? – zapytał Jeremi, niemal odruchowo, żeby słowa Płomyczka nabrały sensu.

– No o tym podwójnym morderstwie we Wleniu – wyjaśnił toksykolog, mlaszcząc przeokrutnie. – No bo zobacz, słoneczko, wychodzi na to, że kowal zawinił, cygana powiesili, zgadza się? Niewinny człowiek na prześcieradle się wyhuśtał, a prawdziwa morderczyni nie dość, że kary uniknęła, to w dodatku niezły majątek zbiła.

– Raczej nie nazwałbym Grupena „niewinnym” – zaprotestował Organek. – Poza tym muszę cię zasmucić, bo udział Marii Mohr w zabójstwie Dorothei Rohrbeck jest właściwie nie do udowodnienia. Równie dobrze prawda może nigdy nie ujrzeć światła dziennego.

– O to bym się raczej nie martwił – odparł Prometeusz z szerokim uśmiechem.

Jeremi podniósł, to znaczy opuścił wzrok na swojego szefa i już miał zapytać, kiedy nagle go olśniło.

– Linda! – wykrzyknął i natychmiast zasłonił usta rękawem fartucha. Dłonią nie mógł, bo aktualnie używał jej do zszycia ciała nieboszczyka. Wyprostował się jak struna i wbił ostry jak skalpel wzrok w rozbawione oczy Płomyczka. – Powiedz, że ona tego nie zrobiła!

– Coś ty najlepszego zrobiła?! – Ajax Bartman vel Paweł Sakowicz herbu Pomian ze zgrozą przyglądał się ekranowi komputera. – Gliny cię za to zjedzą żywcem!

– Phi! Nie boję się ich – odparła dziewczyna i na potwierdzenie swoich słów przyjęła nonszalancką pozę na kanapie.

– A powinnaś! Aresztują cię za utrudnianie śledztwa albo coś podobnego.

– Niby za co? Przecież to jest śledztwo historyczne, pies z kulawą nogą się tą sprawą nie interesuje, sprawcy i tak nie uda się ukarać.

– Po co więc to zrobiłaś? – Ajax ani myślał ustąpić. Naprawdę bał się o tę wariatkę i za nic nie chciałby, żeby coś jej się stało. Zwłaszcza przez taką archaiczną sprawę, o której nikt poza szalonymi pasjonatami już nie pamięta.

– Obrażasz mnie, zadając to pytanie, a przede wszystkim uwłaczasz sobie jako historykowi – odparowała, wypinając pierś. – Jaki byłby ze mnie historyk, gdybym nie usiłowała dotrzeć do prawdy? A prawda jest taka, że to nie Grupen był mordercą, ale jego kochanka. I świat musi się o tym dowiedzieć!

– Koniecznie, w przeciwnym wypadku Ziemia przestanie się obracać… – zakpił Bartman.

Zapowiadało się na to, że awantura dopiero się rozkręca, jednak siły wyższe musiały tego dnia czuwać nad zmartwychwstałym eks denatem. Dzwonek do drzwi zabrzmiał w ten upalny poranek jak gong obwieszczający apokalipsę.

Linda oderwała się od komputera i ruszyła, by otworzyć. Ajax poszedł za nią, po drodze chwytając solidny nóż santoku leżący na blacie kuchennym. Tak dla bezpieczeństwa. Zatrzymał się dwa kroki za dziewczyną i przyjął pozycję do ataku.

– Spocznij, żołnierzu – rzuciła Linda przez ramię, obejrzawszy przybyłych przez niedawno zamontowany wizjer. – Tamci mają broń palną, więc niewiele tym kozikiem zdziałasz. – Otworzyła drzwi na całą szerokość, po czym ukłoniła się aż do podłogi i powitała gości słowami: – Jaka niezbyt miła niespodzianka, ale mogło być gorzej! Panowie wejdą.

Panowie – czyli dwaj przedstawiciele służb mundurowych, tyle że bez mundurów – weszli, zupełnie niezrażeni nieuprzejmym powitaniem. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że mało kto cieszy się na widok policji, a już na pewno nie wtedy, gdy ten widok staje się codziennością. Wówczas nawet tak niezrównane piękno, jakie biło z twarzy nadinspektora Wilczyńskiego i komisarza Bączka, może spowszechnieć. Nauczeni doświadczeniem nie zrażali się więc, nie szukali dziury w całym, tylko zwyczajnie skorzystali z zaproszenia i od progu zażyczyli sobie kawę, co także było stałym punktem scenariusza.

– Nie spodziewaliśmy się tu pana zastać, panie Bartman – rzucił Bączek, podając rękę Ajaksowi. Wbrew słowom, które właśnie wypowiedział, nie wydawał się zaskoczony obecnością chłopaka.

– No to mamy remis, komisarzu, bo ja także nie spodziewałem się tu panów. Ale skoro już się spotkaliśmy, to musimy przyjąć tę niespodziankę z dobrodziejstwem inwentarza, czyż nie?

Uszczypliwość chłopaka odrobinę rozbawiła Bączka, który jednak zachował wrażenia dla siebie, a doskonale panując nad swoją mimiką i głosem, odpowiedział:

– Skoro już o inwentarzu mowa, to może przejdziemy do rzeczy… – Nie dokończył, bo z ust jego pryncypała wydobył się jęk. – Co jest, Kaziu?

– No nic, nic… Ale że tak przed kawą chcesz psuć atmosferę? Nie możesz poczekać pięciu minut, Michaś?

– No przecież tak pięknie mi się temat wpasował! – bronił się komisarz, jednak coraz mniej przekonany, że powinien.

Linda, pozornie zajęta obsługą ekspresu, którego brzęczenie, warczenie, mruczenie i grzechotanie skutecznie odwracało od niej uwagę,

wysłała wiadomość do Jeremiego. Liczyła na to, że patolog jest u siebie, zaledwie kilka minut od jej domu, i zdoła szybko się zjawić. Niestety odpowiedź ją rozczarowała. „Przetrzymaj ich pół godziny, już jadę".

Ustawiła dwie filiżanki z czarną kawą na tacy, wygrzebała z szafki jakieś ciastka, które uchowały się przed Igą, po czym rozłożyła je na talerzyku i cały czas kątem oka obserwowała scenę przed sobą. A działo się tam niewiele, choć nawet z pozorów można było wiele wyczytać.

– Jak tu przyjemnie. – Wilczyński delektował się dobrodziejstwem klimatyzacji, równocześnie odklejając koszulę od pleców.

– Tak, aż miło na chwilę schłodzić skórę – poparł go Bączek.

Ajax stał obok nich, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i z rosnącą nieufnością spoglądał to na jednego, to na drugiego. On także, podobnie jak Linda, zastanawiał się, co sprowadziło tu policjantów. Od kilku dni był już spokój, niekończące się przesłuchania w końcu ustały. Ileż można mówić w kółko o tym samym?!

Linda nabrała pewności, że sprawa, w której przybyli gliniarze, musiała zaliczać się do tych „grubych". Nigdy wcześniej nie widziała, żeby strugali aż takich wariatów, a już to idiotyczne zachowanie Bączka…

– Dobra, panowie, kawa na ławę, że się tak wyrażę, stawiając kawę na stół – rzuciła, zebrawszy się na odwagę. – Jeśli przyjechaliście mnie aresztować za opublikowanie wyników śledztwa historycznego, to ostrzegam, że będę stawiała opór. Moim zdaniem rozwiązanie zagadki zbrodni we Wleniu okaże się przełomem w mojej karierze i nie dam się wywieźć na dołek, dopóki mój blog nie uzyska miliona odsłon. Czy to jasne?

Ze wszystkiego, co do tej pory zaprezentowali policjanci, zaskoczenie wydało się szczere i naturalne. Patrzyli na dziewczynę, jakby właśnie oznajmiła im, że jest Lucyferem. Właściwie w to mogliby nawet uwierzyć, kiedy już minąłby początkowy szok.

Bączek zreflektował się jako pierwszy, zamknął buzię, otwartą ze zdziwienia, i skierował wzrok na leżący na stole laptop.

– Opublikowała już pani? Mogę zerknąć? – zapytał wyraźnie zaintrygowany.

Linda skinęła głową, zastanawiając się, czy aby policjant z niej nie kpi, po czym ruszyła w ślad za komisarzem, który usiadł na krześle i zabrał się do

lektury świeżo opublikowanego artykułu. Treść była długa, bo Linda przyłożyła się do zbadania źródeł i postarała oddać wszystkie szczegóły sprawy.

– No, no, całkiem zgrabnie to pani wyszło – pochwalił ją Bączek, gdy skończył czytać. Odwrócił się przez ramię i dostrzegł, że wszyscy troje czytali publikację razem z nim. – Kazik, co powiesz?

– Może być – mruknął nadinspektor. Tak właściwie to artykuł bardzo mu się podobał, ale wciąż nie potrafił pozbyć się złości na samego siebie za to, że dał się podejść Salomei.

– I nie macie nic przeciwko? – upewniła się dziewczyna. – To nie dlatego tu jesteście?

– A dlaczego mielibyśmy mieć coś przeciwko? – Bączek wydawał się autentycznie zaskoczony. – Nie wspomina pani ani o Salomei, ani o Żywiuszce, jedynie naprowadza czytelników na trop wynikający z nowo odnalezionych źródeł historycznych. Wszystko się zgadza.

– Poza tym, że wciąż nie wiemy, co panowie tu robią – wtrącił się Ajax.

– A to już na kawę nie można tak zwyczajnie przyjechać? – Wilczyński coraz bardziej się irytował, choć trudno było zrozumieć dlaczego.

– Nie no, można; rozumiem, że panowie mają w zwyczaju odwiedzać wszystkich obywateli i pić z nimi kawę – zakpił Bartman. – Może powinniście publikować daty i godziny tej waszej „kolędy" na jakiejś lokalnej grupie na Facebooku, a nie tak brać ludzi z zaskoczenia.

– Panowie wybaczą eksdenatowi, na kretynizm nie ma lekarstwa – rzuciła Linda, miażdżąc Ajaksa wzrokiem. – Naczytał się Cervantesa i teraz mu się roi, że jest rycerzem ratującym swoją *damsel in distress*.

– Ja to bym się raczej martwił o tych, którzy panią w te opały wpakowali – stwierdził Wilczyński, ani trochę nie przesadzając.

– Tym razem muszę panu przyznać rację – poparł go Ajax.

– Przepraszam, czy ja mogę zadać niedyskretne pytanie? – wtrącił znienacka Bączek. – Bo gdy tak państwa słucham, to zachodzę w głowę i zastanawiam się, dlaczego właściwie państwo… no… nie są razem?

– „Też chciałbym to wiedzieć, Stefan" – rzucił Ajax, ale zanim żart dotarł do mózgów policjantów, Linda oznajmiła:

– Niedające się pogodzić różnice w poglądach religijnych.

– Myślałem, że jest pani ateistką – zdumiał się komisarz.

– Jestem. Pan Bartman uważał się za boga, a ja odmawiałam przyjęcia tego do wiadomości. Sami więc panowie rozumieją. – Linda rozłożyła ręce i udała smutek. – Fundamentalna różnica światopoglądowa. To o czym jeszcze chcą panowie poplotkować? Śmiało, pytajcie, bo widzę, że prawdziwego celu waszego przybycia nie wydobędziemy.

Policjanci wymienili zakłopotane spojrzenia, ale nie na tyle szybko, żeby spostrzegawcza panna Miller ich nie wychwyciła. Nie spodobało jej się to ani trochę.

– Oni coś knują – stwierdziła półgłosem, nie odrywając wzroku od czerwieniejącej twarzy Bączka. – Widzisz to, eksdenacie? Ci dwaj coś kombinują.

– Jasno i wyraźnie – potwierdził Ajax.

Dzwonek do drzwi uratował biednego komisarza, który z trudem zachowywał kamienną twarz, a na dźwięk dzwonka doznał tak wielkiej ulgi jak, nie przymierzając, skazaniec w pomieszczeniu z krzesłem elektrycznym, który doczekał się wymodlonego telefonu od gubernatora.

– Hop, hop, to my! – Rozległo się od drzwi, które ktoś sobie otworzył.

Linda po sekundzie zrozumiała, że owym ktosiem był Jeremi.

– Już minęło pół godziny? I jacy „my”?! – zawołała, odwracając się w kierunku wejścia do domu.

I zamarła.

Skąpanym w cieniu korytarzem kroczył dumnie Jeremi Organek, trzymając w dłoniach tort w kształcie czerwonego chevroleta corvette, model z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego. Na widok tego cacka Linda poczuła rosnącą w gardle gulę.

– A co ty… Dżer…? – Nagle odwróciła się do policjantów i spojrzała na ich wyszczerzone twarze. – Wy też? Wy… to… razem?

Wilczyński z dumą wypiął pierś i skinął głową, jakby to on był pomysłodawcą owej niespodzianki. Bączek się uśmiechał – całkiem szczerze – a ulga wynikająca z tego, że nie musiał już kręcić i silić się na rozmowy o niczym odjęła mu kilka zmarszczek.

– Ja nie miałem pojęcia – zaperzył się Ajax, trochę z przyganą, a trochę z żalem.

– Ani ja! – odezwał się głos za plecami Organka.

Dopiero teraz towarzystwo zorientowało się, że Jeremi nie przybył sam.

Kompaktowy Prometeusz Płomyczek, całkowicie zasłonięty pokaźną posturą kolegi, usiłował go wyminąć, jednak korytarz był na to zbyt wąski, a Jeremi nie palił się do ustąpienia miejsca szefowi.

– Przepraszam, musiałem wziąć go ze sobą, bo miauczał i miauczał, a gdy się zorientowałem, że już pora, uczepił się jak rzep – tłumaczył obecność dodatkowego gościa Organek.

– No trudno… – Wilczyński wzruszył ramionami i natychmiast pogłaskał się po okrągłym brzuchu. – Dawajcie to ciasto, bo specjalnie dziś sobie odpuściłem deser.

Przez następny kwadrans Linda czuła się jak w wirtualnej rzeczywistości. Pięciu mężczyzn krzątało się po jej kuchni, usadziwszy ją na sofie i pod groźbą użycia środków przymusu bezpośredniego zabroniwszy się z niej podnosić. Wielkimi jak talerzyki deserowe oczami śledziła ich ruchy i przysłuchiwała się prowadzonej w atmosferze radości rozmowie. Co tu się, u diabła, działo?!

Nie wiadomo skąd nagle pojawiły się butelka wina musującego i dzbanek wody z owocami, Ajax biegał wokół stołu jak kot z pęcherzem, a Organek sypał anegdotami.

– Albo oszalałam, mózg mi się rozpuścił od tego upału, dostałam czymś w głowę i umarłam, albo coś tu się odjaniepawla na jakąś niewiarygodną skalę – szepnęła do siebie.

– Lindo, jesteśmy gotowi! – obwieścił tubalnie Jeremi, wyrywając ją ze stuporu.

– Zapraszamy, panno Miller! – zawtórował mu nadinspektor, który w myślach już konsumował bagażnik słodkiego samochodu.

Następne minuty zlały się w pamięci rudowłosej Lindy Miller w oniryczny ciąg scen, które ledwo błyskały jej przed oczami, gdy usiłowała je sobie później przypomnieć. Było chóralne „sto lat!” odśpiewane w najdziwniejszym rytmie, jaki kiedykolwiek słyszała, było składanie życzeń, było obcałowywanie, głównie policzków, choć Ajax zapędził się nieco dalej, były wiwaty i peany, a w samym środku tego cyrku ona: nic nierozumiejąca historyczka, która odziedziczyła samochód po żyjącym ekschłopaku, znalazła

w nim zwłoki, odkryła tajemnicę sprzed wieku, udaremniła kradzież dzieł sztuki, zdemaskowała morderczynię…

– Wiecie co, panowie? – odezwała się po bardzo długiej chwili milczenia. Tak długiej, że Jeremi zaczął się martwić, czy aby nie przesadzili. – To najfajniejsze spóźnione urodziny, jakie miałam w całym swoim dwudziestoszścioletnim życiu. Szkoda tylko, że świeczek nie załatwiliście, pomyślałabym sobie życzenie.

– Kto powiedział, że nie załatwiliśmy? – żachnął się Organek i wystrzelił od stołu jak z katapulty. – Zwyczajnie zapomnieliśmy je zapalić.

Chwilę później Linda, trzymając włosy jedną ręką, pochylała się nad tortem uszczkniętym już przez Wilczyńskiego i zamknąwszy oczy, powiedziała w myślach: „Wiem, że teraz jestem samolubna, ale to w końcu moje urodziny, a więc życzę sobie, żebym nigdy nie przestała trafiać na zwłoki!”.

K O N I E C

OD AUTORKI

No i mamy to! Druga przygoda Jeremiego Organka i Lindy Miller, uroczo nazwanych Jeremindą przez pewną Recenzentkę (dzięki, Mariolu!), dobiegła końca. Mam nadzieję, że podobała się Państwu tak samo jak mnie. Piszę to, ledwo skończywszy ostatni rozdział, a więc przede mną jeszcze kilka etapów myślenia o książce, na razie królują radość i zadowolenie.

Kiedy zaczynałam obmyślać fabułę, najwięcej trudności sprawiło mi znalezienie właściwego miejsca, w którym mogłabym osadzić wątek historyczny. Ci z Was, którzy tworzyli razem ze mną *Gdzie są moje zwłoki?*, doskonale wiedzą, że staram się znajdować lokalizacje z własną historią do opowiedzenia. Co prawda na Dolnym Śląsku rezydencji, dworów i pałaców jest bez liku, jednak nie każdy może poszczycić się tak ciekawą przeszłością jak Pałac Książęcy we Wleniu. I kiedy przestudiowałam tę historię, poszperałam, pokopałam w literaturze, już wiedziałam, że „krwawe walentynki" wrosły w moją wyobraźnię.

Przy okazji poszukiwań trafiłam na książkę Magdy Knedler zatytułowaną *Nikt ci nie uwierzy*, która została wydana w setną rocznicę tragedii we Wleniu, i przez chwilę – dłuższą chwilę – zastanawiałam się, czy może nie zmienić tematu. Po lekturze książki Magdy doszłam jednak do wniosku, że mnie interesuje zupełnie inna kwestia niż te, które ona porusza w swojej niezwykle sugestywnej powieści. Mnie, jak na rasową kryminalistkę przystało, zaciekawiła sprawa morderstwa i tego, że Peter Grupen nigdy nie przyznał się do jego popełnienia. Oraz – co następnie przekazuję słowami moich bystrych bohaterów – że jego kochanka nagle znika i ślad po niej ginie.

Przedstawiona w tej książce wersja wydarzeń jest absolutną fikcją, swoistym gdybaniem i zastanawianiem się, czy jest możliwe, aby skazany został niewinny człowiek. No dobrze, nie niewinny, Peter Grupen był potworem i prawdopodobnie zabójcą swojej żony Gertrudy, jednak w sprawie

„krwawych walentynek” jest zbyt dużo niedopowiedzeń i niewiadomych. A to woda na młyn autorki kryminałów.

Oddaję w Państwa ręce opowieść o tragedii, która się wydarzyła, i zbrodni, która mogłaby się wydarzyć, wszak ludźmi kierują żądze i chciwość. Na szczęście my jesteśmy po tej dobrej stronie i wierzymy, że takie rzeczy to tylko na papierze.

Dziękuję za kolejną wspólną przygodę i za to, że czekacie na moje książki. I kto wie, kto wie, może się zdarzyć, że życzenie Lindy się spełni.

Redakcja: Krystian Gaik
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Magdalena Matuszewska

Projekt okładki i stron tytułowych: White Doe
Zdjęcie autorki: Wojtek Biały

Skład i łamanie: Cyprian Zadrożny
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67690-98-0